

JOANNA LAMPARSKA

# IMPERIUM MAŁYCH PIEKIEŁ

MROCZNE TAJEMNICE OBOZU GROSS-ROSEN



Josef Mengele,

eksperymenty medyczne

i sekrety najstraszniejszego obozu śmierci

HORYZONT  
**znak**

JOANNA LAMPARSKA

**IMPERIUM  
MAŁYCH  
PIEKIEŁ**

MROczne TAjEMNICE OBOZU GROSS-ROSEN

ZNAK HORYZONT  
KRAKÓW 2019

# ZAMIAST WSTĘPU

Pani doktor habilitowana spojrzała na mnie lodowato.

- Naukowcy nienawidzą pani książek.
- Dlaczego? – Zdziwiłam się. – Nie pozuję na naukowca.
- Właśnie! Pani pisze w taki sposób o skomplikowanych sprawach, że każdy to potem rozumie! W badaniach nie ma miejsca na emocje!

Lata wcześniej, zanim pani doktor habilitowana mi wygarnęła, stałam obok naskalnych fresków sprzed ośmiu tysięcy lat wraz z dwoma światowej sławy badaczami, profesorem X (Sorbona) i profesorem Y (Uniwersytet Kairski). Młodszy X orzekł: malowidła przedstawiają pływających ludzi, którzy odurzali się ziołami i wydawało im się, że płyną. Wiekowy już Y spojrzał na X pogardliwie i ze stoickim spokojem oświadczył: „profesorze X, jest pan idiotą”. Na tej pustyni tysiące lat temu było morze, więc ludzie malowali to, co widzieli.

A potem chwycili się za włosy, okulary i wszystko, co mogło pomóc w rozwiązaniu naukowego sporu.

Być może kogoś urazi ta książka. Piszę o sprawach ważnych i strasznych, ale chciałam to zrobić tak, żeby wszyscy zrozumieli. Choć staniemy przed tym samym obrazem, każdy zobaczy w nim coś innego, a pewnie będą i tacy, którzy zupełnie niczego nie zauważą. Najwyżej to, że naukowiec zrobiłby to inaczej.

## ROZDZIAŁ I



## KRZYKI ZMARŁYCH

Jasiu mówi, że zmarli wołają go w nocy.

Krzyczą spod ziemi, żeby ich wyciągnąć, bo dość mają gnicia w zapomnianym dole. W krzykach zmarłych nie ma niczego dziwnego, można nawet powiedzieć, że dla niektórych są codziennością. Rozstrzelani i zagłodzeni proszą, żeby odnaleźć ich groby, pochować, zostawić krzyż lub kamień, tak żeby inni wiedzieli, gdzie leżą. Ludzie słyszący takie głosy niechętnie o nich opowiadają. To najczęściej historycy lub archeolodzy, którzy nagle stają przed dziwacznym dylematem: pójść za wołaniem zmarłych czy je zbagatelizować? Pójście może oznaczać przyznanie się do szaleństwa. Nikt nie chce być wariatem, szczególnie naukowiec albo szacowny obywatel miasteczka, w którym wszyscy się znają. Jasiu należy do drugiej grupy, ale słucha krzyków z zaświatów, bo wie, że ich lekceważenie również może przyprawić o obłąd. Zmarli się nie poddają, lubią powracać w myślach, walczyć i wzbudzać wyrzuty sumienia. I tak w końcu postawią na swoim. Pewien eksplorator z Opoła opowiadał kiedyś, że śnił mu się nawet esesmani żądający, żeby zlokalizował ich zwłoki. Nie wiem, ile w tym prawdy, mówią jednak, że chłopak ten trafił na ludzkie szkielety w lesie, który wcześniej mu się przyśnił.

Ale zmarli od Jasia są po drugiej stronie tej historii. To bezbronne ofiary – rzucone do rowów między ruinami o sterczących kominach a placem zabaw, gdzie

dzieci bujają się na huśtawce. Jesień tego roku jest taka piękna. Słoneczna. Idealna, żeby brodzić w pordzewiałych liściach. Młode matki popychają więc kolorowe wózki, czule doglądają pociech, poprawiają kocyki. Rudowłosa dziewczynka rozrzuca łopatką piasek. Światło tworzy na jej loczkach aureolę. Zmarli ją omijają, bo wiedzą, że jeśli taki maluch ich posłucha, narobi sobie tylko kłopotów. Szkoda im dzieciaka.

W tym sielskim momencie, tuż obok huśtawek, siada kobieta w szaliku z jaskrawymi frędzlami. Ma mocno pomalowane usta, łapczywie zaciąga się papierosem. Co chwilę wyrzuca z siebie kłęby dymu, który rozprasza się, żeby umknąć ponad budynki.

Dziwnie tu jakoś. Gdyby polecieć w górę za dymem z papierosa, tam, skąd świat obserwują duchy zmarłych, łatwiej byłoby dostrzec, że miejsce zabaw zostało wciśnięte w kompleks dawnych koszar. Część bloków jest zdewastowana, brak im okien i drzwi, wyglądają jak podstarzali pracownicy firmy ochroniarskiej, którzy prędzej sami dostaną łupnia, niż znokautują przeciwnika. W szpary dziurawych dachów wdarła się zieleń, tynk odpada ze ścian, nieznane ręce rozbiły w pył stare progi. Domy otaczają upstrzony samosiejkami plac. W jego rogu stoją huśtawki. Przy jednym z bardziej zadbanych budynków snują się mężczyźni ubrani w dresy albo płaszcze narzucone na pasiaste piżamy. Wcale się nie uśmiechają. Są jakby osowiali, złota jesień ich nie cieszy. Za to za szybami co chwilę pojawia się inna twarz, ciekawe oczy wyglądają na zewnątrz i, spłoszone, cofają się szybko w głąb pokoju.

– To nasz szpital psychiatryczny – rzuca niedbale Jasiu, ten, który słyszy zmarłych. – Ale powstał dopiero wiele lat po wojnie.

Szpital psychiatryczny? Od kilku godzin biegam za tym niespokojnym facetem po labiryncie zniszczonych obiektów. Jasiu (jakby za sprawą jego charakteru, koledzy używają jego imienia zawsze w formie wykrzyknika) pokrzykuje nerwowo, wyrzuca z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego, choć nieregularnie. Co chwilę zmienia temat. I nie przestaje mówić ani przez chwilę.

– W kronikach miasta zachował się wpis z marca 1945 roku o tym, że szalejące oddziały SS dokonały tutaj masakry. Za placem zostało pogrzebanych trzysta osób! To jedyne miejsce w okolicy, gdzie nic nie rośnie. Rozumiesz, Asia? Nic! A w tamtych oknach – ręka mojego przewodnika celuje teraz w ruiny po drugiej stronie skweru – mieszkały te kobiety! Przykładały tylko twarze do szyb i patrzyły! Ale z budynku nie mogły wychodzić. A potem przyjechał tu Josef Mengele!

Mengele w tym miejscu? Swoje królestwo miał przecież w obozie koncentracyjnym w Auschwitz. Tam prowadził okrutne eksperymenty. Jakie kobiety? Dlaczego dzieci bawią się koło trupów pogrzebanych w dołach śmierci? Skąd Jasiu wie o mogile? Ze snu?

– Zobaczysz, zaraz zobaczysz!

Mój przewodnik radośnie wita się ze szpitalnym stróżem, który czeka, żeby otworzyć nam drzwi. Na samym końcu budynku, tam, gdzie pacjenci już nie docierają, schodzimy po kilku schodkach do opuszczonej piwnicy. Ciemny szeroki korytarz ciągnie się w nieskończoność, w ostatniej chwili omijam dziury w posadzce. Są tak głębokie, że wpadając do którejkolwiek z nich, bez trudu można sobie skrócić kark. Jasiu opiekuńczo zapala latarkę, ostrzega na każdym kroku, niemal tańczy podniecony możliwością pokazania tego, co za chwilę mam zobaczyć.

– A tu są te stoły! I wcale nie powstały na potrzeby szpitala! Zbudowano je znacznie wcześniej!

Weszliśmy właśnie do opuszczonej... sali sekcyjnej. Już sam kolor jasnozielonych kafelków, którymi została wyłożona, daje wrażenie chłodu. Przez pokryte pajęczyną okno wpada nieco światła. Kwadratowa kolumna umieszczona na samym środku pomieszczenia stoi pomiędzy dwoma stołami – je również pokrywają kafelki. Czasami ogląda się takie na starych horrorach i aż dziw, że nie leżą na nich żadne ciała. Samo pomieszczenie jest dość ciemne, niezbyt wysokie, ale na tyle przestronne, żeby łatwo można było wnieść do niego zwłoki i wygodnie nad nimi pracować. Jasiu z głowy podaje wymiary sali, zaznacza, że kafelki zostały

położone dopiero po wojnie, wcześniej ich miejsce zajmował surowy beton. Buduje napięcie, zapowiada, że to dopiero początek zwiedzania piwnic.

Z „zielonym pokojem” sąsiaduje kolejna sala. Niegdyś można było do niej przejść bezpośrednio, po wojnie wejście zostało jednak zamurowane. Musimy więc wrócić na korytarz i dopiero z niego dostać się do drugiego pomieszczenia. Jest całkowicie surowe, ma tylko kilka małych okienek. To już nie wyłożona kafelkami scenografia do filmu, tu wieje prawdziwą grozą. Pokój wypełniają dwa ogromne betonowe koryta. Wyglądem przypominają otwarte trumny. W rogu wmontowana została kadź, podobną widziałam na zdjęciu z któregoś z obozów. Leżały w niej odcięte nogi i ręce.

Jeszcze tego samego dnia wysłałam zdjęcia z piwnic prof. dr hab. Tadeuszowi Doboszowi, jednemu z najwybitniejszych specjalistów medycyny sądowej w Polsce.

– Wygląda mi to na fabrykę preparatów anatomicznych. – Słyszę po chwili. – Nazistowskie preparaty należały do najlepszych, często były robione z jeszcze ciepłych zwłok. Niekiedy nawet antropolodzy wybierali ludzi, których należało zamordować i wypreparować. – Profesor mówi z beznamiętną łagodnością, jak to naukowiec, którego nie dziwi nic, co dotyczy jego dziedziny.

Preparaty anatomiczne? W mojej głowie nagle pojawiają się obrazy z czasów II wojny światowej. Oprawcy eksperymentujący na dzieciach, karłach i kobietach w ciąży. Kolekcja szkieletów Augusta Hirta, na której potrzeby „badacz” kazał zagazować ponad sto osób. Abażury z ludzkiej skóry produkowane w obozie w Buchenwaldzie. Ale takie rzeczy działy się gdzie indziej, nie na tym zrujnowanym zadupiu!

Pewnego dnia zapytam pracownicę szpitala psychiatrycznego, czy to wszystko dookoła nie ma przypadkiem złego wpływu na pacjentów. No bo jak na ruinach obozu skleić rozbitą duszę, do tego śpiąc w pokojach nad trumnami z betonu? Nawet żywi mają prawo tu krzyczeć, a co dopiero umarli.

## ROZDZIAŁ II



## DZIEŃ DOBRY W OBOZIE

Jasiu, czyli Janusz Witek (w dowodzie Witka widnieje imię Jan, ale poszukiwacz wszędzie funkcjonuje właśnie jako Janusz), napisał do mnie list. Zanim go wysłał, w 2009 roku, założył z kolegą Łużycką Grupę Poszukiwawczą. Przed powstaniem grupy, wiele lat wcześniej, kiedy jeszcze był chłopcem, razem z rówieśnikami bawił się wśród ruin. W chowanego grali w starej hamowni, długim budynku, w którym w czasie II wojny światowej inżynierowie Hitlera testowali silniki do samolotów. Dzieci z okolicy z szeroko otwartymi oczami słuchały opowieści o podziemiach, skarbach i tajemnicach budynków na wzniesieniu za wioską. Ale żeby napisać list, Jasiu czekał, aż skończy czterdziestkę. Miał już żonę, dorosłą córkę i pracował w Kopalni Węgla Brunatnego Turów w Bogatyni.

*Dzieciństwo spędziliśmy w cieniu szpitala w Sieniawce. Zawsze kiedy wchodziliśmy na teren szpitala, towarzyszył nam mały dreszczyk emocji związany z tajemnicami, jakie kryją te tereny. Dzisiaj, kiedy już troszkę podrośliśmy, chcielibyśmy wyjaśnić owe tajemnice. Niestety, jesteśmy zupełnymi laikami w dziedzinie rozwiązywania tajemnic historycznych, a już zupełnie nie mamy pojęcia, jak dobrać się do tajemnic ukrytych głęboko pod ziemią. Niektóre źródła podają, że nasze podziemia znajdują się na głębokości siedemnastu metrów.*

*Oprócz bardzo dobrej orientacji w terenie oraz znajomości lokalnych świadków niczym więcej nie dysponujemy. No, może mamy dużo zapału i determinacji.*



*Prowadząc lokalne śledztwo, udało nam się ustalić, że niespełna trzy lata temu obywatel Niemiec (plotka niesie, że syn komendanta dawnego obozu) uzyskał pozwolenie na szukanie skarbów na terenie szpitala w Sieniawce. Niemiec dostał pozwolenie na prowadzenie wykopalisk. Miał kopać za dnia, i to pod nadzorem konserwatora, a kopał głównie nocą i bez nadzoru.*

*Świadkowie twierdzą, że wykopał dużej wielkości rurę o średnicy do jednego metra, długości czterech metrów, zaślepioną z obu stron. Zapakował na samochód i wywiózł do Niemiec. Była interwencja w tej sprawie u wojewódzkiego konserwatora zabytków w Jeleniej Górze. Po interwencji Niemiec przepadł i już więcej się nie pokazał, mimo że miał wciąż ważne pozwolenie na „szukanie skarbów”. Marzeniem naszym jest odkopanie ewentualnych podziemi, może utworzenie muzeum jeniectwa...*

Janusz Witek podpisał się razem z kolegą Jarosławem Parkitnym, wówczas jednym z kandydatów na burmistrza Bogatyni.

Często dostaję takie listy. Od lat piszę książki o tajemnicach II wojny światowej, penetruję zamki, pałace i podziemia. Czytelnicy widzą we mnie szansę na spełnienie marzeń, odkopanie złota ukrytego przez Niemców, dotarcie do magazynów z zabytkami czy odkrycie podziemnej fabryki. Najczęściej wszystko, czym dysponują, to zaledwie domysły, nie informacje. Jakieś niejasne przekazy sąsiada, który słyszał coś od ojca, ten zaś podsłuchiwał wujka, bo wujek rozmawiał kiedyś z właścicielem pewnej mapy... Na Dolnym Śląsku, gdzie mieszkam, każda wioska ma swoją legendę o ciężarówkach ze skrzyniami pełnymi skarbów. Pod koniec II wojny światowej takie transporty przyjeżdżały nocą, po cichu, dyskretnie, ciężko toczyły się za ostatnie zabudowania, potem mieszkańcy słyszeli wybuch. Po jakimś czasie kolumna wracała tą samą drogą. Ale bez skrzyń – tych już nikt potem nie znalazł. Czy to znaczy, że wciąż czekają na odkrywców? Tajemnica pociąga, uwodzi, daje obietnicę wielkiej nagrody, a jeśli nawet fortuna się nie pojawi, to po drodze może czeka chociaż jakaś przygoda. Najczęściej jednak marzenia z listów i telefonów umierają po cichu. Marzyciele wybierają życie nadzieją. Sprawdzanie strzępków informacji przynosi na ogół rozczarowanie, wymaga również nieco

trudu, więc entuzjaści poszukiwań szybko tracą zapał i zapada cisza. W końcu piękniej żyć w kolorowym świecie snów o złocie niż wykopać zardzewiałą puszkę zamiast Bursztynowej Komnaty.

Tym razem było inaczej. Janusz Witek napisał list, a potem zaczął dzwonić. Bez przerwy, niemal codziennie. Był gadatliwy i tak entuzjastyczny, że miałam go serdecznie dosyć. W końcu skapitulowałam. Obiecałam, że przyjadę. Dla świętego spokoju obejrzę „szpital, w którego cieniu czuje się dreszczyk emocji”, a potem zobaczymy.

Do Sieniawki jest zawsze daleko. Z niemal każdej perspektywy ta wioska leży na końcu świata, zaledwie trzy kilometry od granicy z Niemcami i sześć kilometrów od granicy czeskiej. Bliżej stąd do Pragi i Berlina niż do Warszawy. Jedyna stacja kolejowa w pobliżu to Zittau (Żytawa) w Niemczech. Bóg umieścił Sieniawkę na południowym zachodzie kraju, w tak zwanym Worku Turoszowskim – tym kawałku Polski, który wygląda na mapie jak skrawek gliny dolepiiony przez przypadek do reszty kraju. Historycznie to część Łużyc. Praktycznie zaś miejsce niemal zapomniane, ozdobione przez piękne jak z bajki domy przysłupowe[1]. Niektóre po renowacji, ale wiele pochyła się już ku ziemi lub ginie wśród nowszej zabudowy.

Żeby od polskiej strony dotrzeć na sam kraniec Worka, najłatwiej najpierw przejechać przez Zgorzelec. Potem minąć Radomierzyce. Kryje się w nich potężny, otoczony podwójną fosą pałac. Ma niechlubną historię, według niektórych spekulacji to przez jego wojenną tajemnicę miał zostać zamordowany premier Piotr Jaroszewicz. Dalej krajobraz staje się coraz mniej zachęcający, już dawno zagarnęła go Kopalnia Węgla Brunatnego Turów z Bogatyni. Drogi pomiędzy Bogatynią, siedzibą władz gminy, a Sieniawką zaatakowały dziwaczne skrzycone konstrukcje, które laikowi kojarzą się z przestarzałym filmem science fiction, fachowcy wiedzą zaś, że to zwykłe rury ciepłownicze. W Bogatyni należy się zdecydować, czy brnąć dalej wyboistą drogą z setkami dziur czy jechać nową, ale za to dłuższą. Obydwie prowadzą obok jednej z największych na świecie dziur – gigantycznego kopalnianego wyrobiska o powierzchni ponad dwudziestu czterech

kilometrów kwadratowych. To coś tak wielkiego, że trudno sobie nawet wyobrazić. Prawie jak zejście do piekła. Sama trasa wokół niego ma ponad dwadzieścia pięć kilometrów. W 1642 roku w miejsce dzisiejszej kopalni uderzył piorun, który spowodował „pożar ziemi”. Złóża węgla tliły się przed dwa lata, wywołując strach wśród mieszkańców. Obecny kompleks przemysłowy powstał w 1917 roku po obu stronach Nysy Łużyckiej, ale ustanowiona po wojnie nowa granica pomiędzy Polską a Niemcami rozdarła zakłady na pół. Dziura przypadła Polsce.

Szef Łużyckiej Grupy Poszukiwawczej czekał z kolegą w umówionym miejscu. Męska sylwetka, stalowoszare oczy – bez przerwy kontrolujące sytuację. Od razu zaczął wyrzucać z siebie mnóstwo informacji. Robił to niemal bez wdechów, gwałtownie, chaotycznie, a jednocześnie czujnie. Miał melodyjny głos, cały czas nieco podniesiony, rozemocjonowany. Wystarczyło wtrącić słowo, żeby niczym za naciśnięciem guzika w szafie grającej wyskoczyła płyta z odpowiednim utworem. Po chwili płyta się zacinała, wskakiwała inna. Dziennikarze znają ten rodzaj rozmówcy, który nie potrzebuje zadawania pytań, a czasem nawet słuchacza. Porwana opowieść zaczynała jednak układać się w intrygującą całość. Coś było na rzeczy.

Przed II wojną światową w Sieniawce (niem. Klein-Schönau) powstały koszary, potem mieściły się w nich zakłady lotnicze Junkersa. Pracowali tam robotnicy przymusowi, jeńcy wojenni, a następnie więźniowie obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Niby wszystko powinno być oczywiste, ale... Helena Kosik, która w 1940 roku została wywieziona w te okolice na roboty, zapamiętała pewną niecodzienną rozmowę. Kiedy zbliżał się front, niemiecki oficer powiedział do niej: „Zanim dotrą tu Ruscy, w Sieniawce wszystko musi iść pod wodę”. Helena nie mogła tego pojąć. Przecież w miejscu, o którym mówił oficer, stały koszary zamienione na fabrykę. O co chodziło – tu Jasiu zawiesił głos – zrozumiała wiele lat później. Wtedy ekipa nurków rzekomo zlokalizowała w Sieniawce podziemną halę. Była zalana i nie udało się jej spenetrować. Wszyscy w okolicy mówili już wówczas, że w potężnym kompleksie znajduje się nie tylko zbiorowa mogiła – podobno zostały tam schowane również „skarby ogromnej wartości”. Kiedy Witek

z kolegami zaczęli interesować się koszarami, pojawiły się groźby i anonimy. Starszy Niemiec, który pamiętał czasy wojny, oświadczył im: „Nigdy nie uda wam się wejść do Sieniawki”. To znaczy: do jej podziemi.

Amen.

Nagle wystraszyłam się, że grupa oszołomów będzie mnie męczyć opowieściami o tajemniczych podziemiach, eksperymentach na ludziach, skarbach, podczas gdy to po prostu zwykłe koszary. Wszystko jest oczywiste.

– Nie jestem oszołomem, a tu nic nie jest oczywiste. – Jasiu chyba czytał mi w myślach. Ale przecież wyrastał w atmosferze fascynacji ponurym wzgórzem. Nie było go jeszcze na świecie, gdy różne instytucje usiłowały dobrać się do rzekomych podziemi. Pierwsze, zaledwie kilka miesięcy po wojnie, było wojsko, ale warunki nie pozwoliły na szersze badania. W 1949 roku przyjechali przedstawiciele Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych. Ta utworzona rok wcześniej, w całości państwowa jednostka miała za zadanie penetrację tak zwanych Ziemi Odzyskanych. Urzędnicy PPT interesowali się głównie zakładami przemysłowymi, fabrykami, magazynami, ale również zbierali informacje o niemieckich depozytach. Wypytywali o ukryte skarby, tropili ślady dokumentów. W Głogowie trafili na zabezpieczone zbiory tamtejszego muzeum. Kiedy stanęli w Sieniawce, wtedy na chwilę noszącej nazwę Łąki, zobaczyli kompleks „kilkunastu zabudowań naziemnych, w tym dziewięciu dużych, murowanych systemem koszarowym dwupiętrowych budynków, po drobnym remoncie nadających się do zamieszkania”[2]. Obiekt nazywali fabryką „V” i uznali, że jej główne linie produkcyjne znajdują się prawdopodobnie pod ziemią. To wystarczyło, żeby rozbudzić wyobraźnię. Ludzie w Sieniawce zaczęli szeptać, że „od początku były sprawy, o których nie należy głośno mówić”. Zaledwie cztery lata po wojnie pamięć mieszała już fakty z fikcją.

Dopiero kiedy sama zobaczyłam kompleks w Sieniawce, zrozumiałam, dlaczego tak działa na wyobraźnię. Góruje nad okolicą niczym średniowieczny zamek. Mroczny i nieprzystępny. No i ma te straszne piwnice z salami sekcyjnymi.

## ROZDZIAŁ III



## PIWNICA

Słowo „mroczny” pasuje do wielu rzeczy i w dzisiejszych czasach jest mocno przereklamowane. Mroczne są zamki, horrory, bajki, tajemnice również bywają mroczne, ale nie jestem pewna, czy rzeczywiście można użyć takiego przymiotnika do określenia Sieniawki.

Znajomy policjant mówi bez ogródek: ta okolica nie ma dobrej opinii. Bogatynia, siedziba gminy, znana jest z produkcji metamfetaminy, jednego z najdroższych narkotyków na rynku. Od 2016 do 2018 roku w mieście wpadło aż pięć laboratoriów, na początku 2019 okazało się, że w proceder wmieszani byli nawet policjanci. Nikogo nie dziwią tu luksusowe samochody na ulicach ani kradzieże aut. Pojawiają się też informacje o gangach, które w pobliskich lasach przekopują wojenne magazyny z pociskami.

– Szukają skarbów? – pytam z nadzieją, że może będzie to ciekawy trop.

– Nie, z ponemieckich pocisków pozyskują materiały wybuchowe.

„Dreszczyk emocji”, o którym napisał w swoim liście Jasiu, można więc poczuć nie tylko za sprawą tajemniczych podziemi. Tutaj, w okolicach Sieniawki, skarbem może być wszystko. Jeden z mieszkańców wykopał kiedyś zupełnie unikatowy fragment Enigmy, maszyny szyfrującej z czasów II wojny światowej. Wyczyścił go pastą z supermarketu. Z części niezamieszkałych koszar na wzgórzu zniknęły podłogi, drzwi, krany – wszystko, co można było wyrwać przez lata, gdy

nikt się tym miejscem nie opiekował. Całość kompleksu ma powierzchnię prawie dwudziestu siedmiu hektarów. Jest jak wymarzona scenografia do horroru albo cel dla miłośników urbexu eksplorujących opuszczone, choć nie zawsze dostępne zakątki. Tyle że tutaj prawie wszystko jest dostępne aż za bardzo.

Powoli zaczynam się orientować w topografii terenu. Wejście tworzą zadbane bloki ustawione w podkowę, której ramiona otwierają się na miasto. Po prawej stronie mieszkania. Po lewej przychodnia i szpital. Przejście przez środkowy budynek prowadzi do głównej części kompleksu, tam gdzie bawią się dzieci. Betonowa droga wiedzie do gigantycznych hal. Budynek mają prawie trzysta osiemdziesiąt metrów długości! Rosną przy nich krzaczki jeżyn, ale najdziwniejsze są jabłonie. Kto je zasadził w takim miejscu? Ludzie spacerują betonowymi drogami, jakby przechodzili przez park. Udało się nawet wygospodarować miejsce na wiejską świetlicę. Wystarczy ogrodzić teren, żeby zamienić całość w niewielkie miasteczko.

Szpital, który „wzbudza dreszczyk emocji”, to oficjalnie Wojewódzki Szpital dla Nerwowo i Psychiczenie Chorych im. Dr. Michała Marzyńskiego. Mieszczą się w nim między innymi nowoczesny oddział dla dzieci i młodzieży, a także oddział dla osób uzależnionych od alkoholu. Plotki mówią, że chętnie leczą się w nim celebryci. Sieniawka jest malutka, odległa, więc szanse na to, że znajdą ich tutaj dziennikarze, są minimalne.

– Jak byłem chłopakiem, to każdy rekrut, który uciekał przed wojskiem, ratował się Sieniawką. Symulował chorobę psychiczną albo ciężką depresję i dawał się zamknąć w szpitalu – opowiada mi kolega ze studiów. – Tutaj zabrali też mojego wujka. Całe życie, pięćdziesiąt lat, mieszkał z żoną pod jednym dachem, na emeryturze też wszystko robili razem. Od rana do wieczora, zawsze we dwójkę. I pewnego razu ona musiała pójść na jakieś badania. Była w szpitalu tylko trzy tygodnie, ale wujkowi pokręciło się w głowie z samotności. I skierowali go do Sieniawki. Przyjeżdżałem go odwiedzać, siedział taki uśmiechnięty w parku, nawet mnie nie poznawał. Tylko jadł tabletki. Dziennie chyba ze dwadzieścia sztuk.

Pewnie teraz to już inne mają metody na taką samotność i nie trzeba wciskać ludziom tyłu pigułek.

Pewnie tak, choć szpital emanuje niebywałym smutkiem. Pacjenci widzą z okien plac z samosiejkami, a za nim kolejne domy, częściowo w ruinie. Może dlatego, gdy wychodzą na papierosa albo pogawędki, zatrzymują się zawsze z drugiej strony budynku. Do szpitala należą trzy obiekty ustawione w rzędzie. Jeden z nich jest pusty, w żadnym nie użytkuje się piwnic. Dzisiaj idziemy do tego ostatniego, całkowicie pustego. Za każdym razem gdy Jasiu chce tam wejść, musi prosić o pozwolenie. Tym razem drzwi otwiera Marta Sikora, kierowniczka techniczna placówki.

– Marta jest na mnie trochę zła, że robię takie zamieszanie. Ale tu nikt nie ma pojęcia, co naprawdę się działo w tym miejscu – szeptem konfidencjonalnie Jasiu.

– Żadnej sensacji tu nie ma, po co robić zamieszanie? – rzuca pani Marta, jakby czytała w myślach Witka.

Czy w Sieniawce wszyscy mają jakiś szósty zmysł?

Dopiero teraz mam szansę na spokojne obejrzenie szpitalnych piwnic w ostatniej części kompleksu. Ciągną się pod całym budynkiem, mają wzmocniony strop. Wzdłuż korytarza, po jego obu stronach, znajdują się pomieszczenia o niemal identycznej powierzchni. Schodzimy po schodach, skręcamy w lewo, po drodze Marta Sikora usiłuje – bo przy gadatliwym Janku to niełatwe – przekazać swoją wiedzę o obiekcie.

– Wiemy, że w Sieniawce coś produkowano. W czasie wojny więźniowie pracowali na strychach koszar. Ten budynek powstał dopiero po 1939 roku.

– Czy to możliwe, że pomieszczenia do sekcji zwłok i betonowe trumny stanęły tu dopiero po wojnie, bo takie były potrzeby szpitala? – pytam. Teoria profesora Dobosza o fabryce preparatów anatomicznych ciągle wydaje się zbyt straszna.

– Szpital zaczął działać w latach 60. XX wieku. Korzystaliśmy z sali sekcyjnej, która była tu już wcześniej, w budynku obok. Przechowywano tam ciała zmarłych. Dlatego stare stoły zostały obłożone kafelkami. O pozostałych pomieszczeniach

niewiele wiem – tłumaczy Marta. Trochę rozumiem jej niechęć do sensacji Łużyckiej Grupy Poszukiwawczej. Na górze ma pracę, chorych, obowiązki, przepisy. Tutaj, w zimnych pustych piwnicach, niewiele ją interesuje. Nieco zrezygnowana idzie więc za pokrzykującym Jasiem.

– Patrz! – Szef LGP wskazuje wejście po prawej.

Potężne zawiasy sugerują, że drzwi otwierały się tu na dwie strony, jak w saloonie na Dzikim Zachodzie albo w restauracyjnej kuchni. Zaraz, co to jest? Pokój podobny do poprzedniego, okno na tej samej wysokości, mało światła, ale zaraz przy wejściu po prawej stronie zaczyna się cementowa rynna, na tyle szeroka, że można do niej włożyć na przykład sporą plażową piłkę. Rynna ma w tym miejscu ponad półtora metra wysokości, następnie biegnie w dół wzdłuż ściany pod kątem około trzydziestu, trzydziestu pięciu stopni, zakręca w lewo, wzdłuż ściany leżącej naprzeciwko drzwi i kończy się na poziomie podłogi na ścianie przeciwległej do swojego początku. Po lewej stronie od wejścia również zaczyna się identyczna konstrukcja, tyle że znacznie krótsza, bo nie obiega pomieszczenia, tylko kończy się w tym samym miejscu co pierwsza rynna. Ich końcówki zostały połączone tak, żeby wszystko, co do nich wrzucano, wypływało przez otwór tuż nad posadzką, przedostawało się do następnego pokoju i dopiero stamtąd odpływało do ogólnej kanalizacji. Dziwaczne.

– Tu już było wielu specjalistów i nikt nie wie, do czego to służyło! – Głos Jasia, jak zwykle, pracuje na wyższych tonach.

– A może to do czyszczenia warzyw? Najprostsze rozwiązania są zawsze najlepsze – zastanawiam się na głos.

Mój pomysł wyraźnie nie przypada do gustu Jasiowi. Rynna zaczyna swój bieg zbyt wysoko, trudno byłoby unieść wiadro z ziemniakami i wysypać jego zawartość na górę. Przed wejściem zerwałam jabłko, czerwone, jesienne. Jasiu wrzuca je do rynny i owoc jak rakietka pędzi na dół z zawrotną szybkością. Dopiero teraz widać, że rynny zostały wyprofilowane bardzo starannie, niemal jak tor saneczkowy.



– A ja myślę, że to pomieszczenie typowo gospodarcze... pospolite. – Na Marcie nie robią wrażenia nawet eksperymenty z pędzącym jabłkiem.

– Pani Marto, a proszę mi powiedzieć... – w głosie Jasia słychać zdenerwowanie – ...naprzeciwko jest pomieszczenie. Trzy panie, które pracowały tu jako salowe w latach 80., opowiadały mi, że naprzeciwko rynien stał betonowy stół. Był okrągły, miał średnicę około trzech metrów, grubą nogę i wyźłobienia w kształcie odwróconej choinki. Został tak skonstruowany, żeby jego blat układał się pod dość ostrym kątem. Rzekomo kształtem przypominał współczesne anteny satelitarne, był czymś w rodzaju płytkiej miski.

– Ale ja niczego takiego nie mam w dokumentach. – Pani Marta nie odpuszcza.

– A panie ze szpitala to mówiły, że boją się schodzić do piwnic, bo czują, że jest tu coś złego! – Ten, wydawałoby się, ostateczny argument nie przekonuje kierowniczkę. Zrezygnowana milknie. Szybko porządkuję fakty. Szpital ma trzy budynki, dwa czynne. Powstały w czasie II wojny światowej. W piwnicach środkowego bloku, tuż przy bocznym wejściu, znajduje się sala sekcyjna, obok pomieszczenie, w którym oglądaliśmy betonowe koryta (na swoje potrzeby nazywam je trumnami). Jest tu też betonowy zbiornik o kształcie prostokąta. Stoi bezpośrednio na ziemi. W trzecim, pustym obiekcie również stoją „trumny”. Na ich brzegach znajdują się jednak otwory, a z końca większości stołów wystaje metalowy pręt, który może sugerować, że było na nim zainstalowane jakieś urządzenie. Kran, stolik? A otwory? Jeżeli wleje się do nich wodę, wycieka dołem i przez podłogę przelewa się do odpływu. Dość prymitywne rozwiązanie. Zaraz obok mieszczą się te dziwne rynny, a kiedyś stał jeszcze pochylony stół z betonu. Jeżeli funkcjonował tu obóz, mały oddział szpitalny nie byłby żadną sensacją. Tyle że to nie są pomieszczenia zwykłego szpitala.

– Wszyscy goście, którzy tu byli, a byli tu nawet historycy z Niemiec, mówili, że pierwszy raz coś takiego widzą. Sprawdzali betony, czy to niemiecki, czy ruski. Jak im się coś nie podobało, to powiedzieli, że to rosyjskie, a jak nie było związane z żadnymi podejrzanymi działaniami, to że niemieckie. Jeden z tych panów stwierdził, że stoły sekcyjne z pewnością zrobili Rosjanie. I że niby Rosjanie

przeprowadzali tu jakieś eksperymenty na Niemcach zaraz po wojnie. Rzeczywiście, do września 1945 roku Rosjanie przetrzymywali w Sieniawce trzydzieści tysięcy Niemców. A ja ich pytam – bo to byli panowie z tytułami doktorskimi: „A po czym panowie poznają, że to beton niemiecki, a to radziecki?”. „Może panowie jeszcze polizecie?”, powiedziałem. „I datę dokładną podacie?”. A przecież te wszystkie konstrukcje są z tego samego betonu! Przynajmniej tak to wygląda! – podniesiony głos Jasia obija się o ściany piwnicy.

Jest tylko jedna możliwość. Dokładnie musi to obejrzeć fachowiec. I to taki, który na historii medycyny zjadł zęby.

## ROZDZIAŁ IV



# MÓJ JEST TEN KAWAŁEK WĄTROBY

Na stole stoi słój z zatopionym człowieczkiem. To jeden z przedwojennych preparatów anatomicznych. Od czasu do czasu trzeba uzupełnić w nich płyny i wtedy naukowcy zdejmują je z muzealnych półek.

– Kiedy oglądam zdjęcia martwych noworodków, które przyszły na świat tuż przede mną, nachodzi mnie pewna refleksja. Urodziłem się trzy lata po wojnie, kiedy we Wrocławiu odbywał się Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju. Przeżyłem tylko dzięki temu, że zoperowali mnie dwaj wybitni lekarze, w tym Amerykanin zaproszony na kongres. Gdyby los zrządził inaczej, jeden z tych lekarzy mógłby prezentować mnie jako preparat podczas swojego wykładu. – Głos Tadeusza Dobosza jest tak cichy, że muszę się skupić, by usłyszeć ostatnie słowa.

Profesor Dobosz jest legendą. Od 2004 roku kieruje Zakładem Techniki Molekularnych Katedry Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu. Był jednym z pionierów wprowadzenia technologii związanych z badaniem DNA w ustalaniu spornego ojcostwa oraz w badaniach kryminalistycznych w Polsce. Dokonywał inspekcji serca Chopina zatopionego w koniaku, przebadał serce Jana III Sobieskiego, martwi się zaginionym mózgiem Piłsudskiego. To jego zespół jako pierwszy badał cudowną hostię z Legnicy, na której w 2013 roku pojawiały się krwawe plamy. Do profesora trafiły również

relikwie świętego Jacka i błogosławionego Czesława, a także pasiak ojca Maksymiliana Kolbe. Jestem przekonana – zapożyczam tu tylko stylistykę profesora – że mózg Tadeusza Dobosza może stać się kiedyś mrocznym przedmiotem pożądania jakiegoś adepta sztuki lekarskiej. Na dodatek profesor ma fioła na punkcie historii medycyny i lubi śmietniki, co – jak się okaże za chwilę – dla mojej historii będzie miało niebagatelne znaczenie.

– Co pani tam dla mnie ma? – Naukowiec otrząsa się z zadumy. Chyba zamyka w wyimaginowanym słoju myśl o tym, że mógłby być preparatem. Profesor ma łagodną twarz, lubi szelki, zawsze jest elegancki. Jego niewielki, artystycznie zabałaganiony gabinet emanuje atmosferą starej uczelni. Całą powierzchnię zabiera biurko, a za nim – wnęka z fotelikiem, krzeselkiem, stoliczkiem oraz szafką z setkami dokumentów. Zakład Technik Molekularnych też jest malutki, mieści się w parterowym budynku tak wciśniętym pomiędzy uczelniane obiekty, że za każdym razem od nowa szukam go w uniwersyteckim labiryncie. Na profesorskie włości wchodzi się przez sekretariat niemalże połączony z gabinetem. Pachnie tu trochę przychodnią.

Wyciągam pendrive z nowymi zdjęciami z Sieniawki i z filmem, który zrobiłam.

Profesor przybliżyła twarz do ekranu komputera i powoli przegląda fotografie. Nic nie mówi. Cofa się do pierwszych zdjęć. Przypatruje się uważnie szczegółom. Wstaje i przesiada się na stary fotelik we wnęcie. Na twarzy ani jednego grymasu. Spokojnie sięga po filiżankę i bierze łyk herbaty. Dla kogoś takiego jak ja, czekającego na opinię jak na wyrok, trwa to wieczność. Panie profesorze, naprawdę musi pan TERAZ pić tę herbatę?

– Może czekoladkę?

Panie profesorze, błagam...

– Potwierdzam swoją wcześniejszą opinię. Moim zdaniem to część większego zakładu produkcyjnego zajmującego się pozyskiwaniem preparatów anatomicznych. Mamy tu salę sekcyjną, a obok pomieszczenie z głębszymi stołami,

salę preparacyjną. To takie słynne niemieckie podejście z tamtych czasów: nic nie może się zmarnować. Nawet zwłoki mogą się przydać...

Wciąż nie mogę uwierzyć. Fabryka preparatów anatomicznych? W Sieniawce?

– Te głębokie stoły mogły zostać również skonstruowane do sekcjonowania pod wodą. W przypadku zatruc, eksperymentów z truciznami czy ofiar broni chemicznej ciało zmarłego leży pod osłoną wody, żeby nie ucierpiał wykonujący sekcję. Trudno byłoby pracować w masce przeciwgazowej. Tu nie ma żartów. W zakładzie mamy całą półkę preparatów z I wojny światowej, głównie to płuca zmarłych po zatruciu gazami bojowymi. Dysponujemy płucami zarówno niemieckich żołnierzy, jak i aliantów. Jeden z tych preparatów wymagał jakiś czas temu konserwacji, a ja jestem człowiekiem starej daty i nie lubię pracować w rękawiczkach. Mam w nich gorsze czucie. Po otwarciu słoika i obejrzeniu preparatu chciałem dodać płynu konserwującego. Płyn ze słoja chlapnął mi na dłoń i na drugi dzień miałem krwawe wybroczyny. Po stu latach trucizna zadziałała na mojej skórze! Konsekwencje mogą być naprawdę straszne, stąd ludzie, którzy wykonywali takie sekcje, musieli się chronić. – Profesor Dobosz mówi głosem tak ciepłym, jakby tłumaczył dziecku zawiłości dorastania.

Badacz nie ma żadnych wątpliwości, w Sieniawce trwały – choć nie wie, w jakim stopniu zaawansowania – prace nad preparacją zwłok. Fragmenty ludzkich ciał lądowały w słojach bądź w innych pojemnikach i wyjeżdżały. Może na uczelnie, może do muzeów? Ale co w takim razie ze zbiornikiem bez żadnego odpływu? Tym, który stoi w rogu pierwszej z sal obozowych piwnic.

– To na nieciekawe zwłoki.

– Nieciekawe zwłoki?

– Takie, które nie będą w żaden sposób preparowane, a mogą się przydać na przykład tym, którzy dopiero się uczą. Taki zbiornik nie musi mieć odpływu, kolejne zwłoki lub ich fragmenty wrzuca się do tej samej formaliny.

Literatura obozowa pełna jest okropnych obrazów. Kadzie z ludzkimi nogami, fragmenty ciał przygotowanych do preparacji, słoje z mózgami i przepołowionymi

głowami. Na chwilę muszę odłożyć na bok emocje i na zimno przetworzyć to, co mówi Tadeusz Dobosz. Połączenie sal sekcyjnych z salami do preparacji wydaje się mieć sens. Ale co dalej? Do czego w takim razie w tym „zakładzie” miały służyć betonowe rynny w sąsiednim pomieszczeniu? A okrągły stół z wyłobieniami, o którym opowiadali pracownicy szpitala?

– To będzie tylko hipoteza – zastrzega profesor Dobosz. – Kiedy szuka się złota, wrzucamy piasek do miski i wypłukujemy cenny kruszec. Tutaj podobnie, w rynnach mogły być płukane rozkładające się zwłoki. Dzięki temu cięższe rzeczy, na przykład pociski albo kości, zostawały z tyłu, a lekkie, na przykład bryłki tłuszczu, kawałeczki wątroby i tak dalej, spływały. To mogła być metoda preparacji szkieletów. Płukane były pod prądem wody, w rynnie zostawały kości, a miękkie tkanki spływały do kanalizacji. No bo żeby wypreparować głowę, to musimy ją już ugotować, wtedy oddziela się tkankę od kości, trochę tak jak przy gotowaniu rosółu.

Naukowe porównania wydają się czasem dość... szokujące.

– Nie potrafię obronić intuicyjnej tezy, że cały mechanizm służył do czyszczenia elementów szkieletu. Oczywiście pozostaje problem tarabanienia zwłok na rynnę, ale dwie osoby dadzą sobie z tym radę. Natomiast jeśli chodzi o ten okrągły stół, to pokażę pani coś z mojej kolekcji.

To może oznaczać tylko jedno. Tadeusz Dobosz wyciągnie teraz skarby wyłuskane z najsłynniejszego śmietnika Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu.

W latach 80. XX wieku na uczelni zepsuł się epidiaskop, na którym studenci przeglądali jeszcze przedwojenne fotogramy o wymiarach dziewięć na dwanaście centymetrów. Służyły jako materiały dydaktyczne. Ktoś nierozgarnięty doszedł do wniosku, że jeśli brakuje odpowiedniego sprzętu, to najłatwiej będzie pozbyć się też szklanych fotogramów. Ponad tysiąc zdjęć na szkle wylądowało na śmietniku. Zauważył je profesor Dobosz, wówczas młody pracownik, poczekał do wieczora i kiedy się ściemniło, pozbierał te, które się nie potłukły. O znalezionych zdjęciach zrobiło się głośno dopiero ponad trzydzieści lat później. Wtedy Tadeusz Dobosz przekazał je Zakładowi Medycyny Sądowej we Wrocławiu. Okazało się, że to

prawdziwe skarby. Najstarsze szklane fotogramy pochodzą z 1900 roku. Przedstawiają nie tylko ofiary okrutnych morderstw, ale i wygląd ówczesnego prosektorium, preparaty, sfałszowane dokumenty oraz rysunki z rekonstrukcjami zbrodni. Większość ma niezwykle drastyczny charakter, choć są i takie ciekawostki jak autograf Owidiusza. Prawie wszystkie fotogramy pozostają zagadką. Nie mają opisów, nie wiadomo, kto został na nich upamiętniony. Trudno sobie wyobrazić, co zaległo się w głowie mordercy, który w kilkuset miejscach podziurawił nożem ciało niemowlaka. Nie wiadomo, dlaczego oprawca wyrębał jednej z ofiar na czubku głowy swastykę. Udało się natomiast rozpoznać wnętrze domu z jednego z fotogramów, pełne upiornych narzędzi. To mieszkanie pierwszego opisanego w światowej literaturze fachowej seryjnego mordercy – Karla Denke z Münsterbergu (Ziębic) na Dolnym Śląsku. Denke, który zabijał wyłącznie bezdomnych i żebraków, uważany był potem za pierwszego „czyściciela” Niemiec z niepożądanych elementów.

– Wtedy pacjenci nie mieli takich praw jak dzisiaj, dlatego niektóre zdjęcia mogą trochę szokować – tłumaczy mi dr n. med. Jakub Trnka, starszy wykładowca w Zakładzie Medycyny Sądowej we Wrocławiu, kiedy zastanawiamy się, dlaczego nie szanujemy ludzkich kości, podczas gdy świeży trup wzbudza w nas bojaźń. W końcu to ciągle ten sam człowiek. – Dzisiaj wola pacjenta jest sprawą nadrzędną, w tamtych czasach lekarz nie pytał pacjenta o zgodę, nie informował go o wszystkim. Stąd w kolekcji zdjęcia transseksualistów, przykłady hermafrodytyzmu. Niektóre z nich nawet dla lekarzy były szokujące. Fotografie zostały wykonane tak, że umożliwiają identyfikację przedstawionych na nich osób. Nie sądzę, żeby ktokolwiek zastanawiał się wtedy, co czuje pacjent, kiedy naprzeciwko staje fotograf z wielkim oldschoolowym aparatem.

Przed zrobieniem zdjęcia nie mógł się obronić człowiek, którego fotografię pokazuje mi teraz profesor Dobosz. Trup mężczyzny zawieszony został na czymś w rodzaju stołu, może drzwi, tak, żeby sprawiał wrażenie osoby stojącej. Podtrzymuje go sznur przeciągnięty pod brodą i zaczepiony na szczycie blatu, na którym oparte jest ciało.

– Może do tego służył stół ustawiony pod kątem? – mówi naukowiec.

Mam wrażenie, że gram w jakimś koszmarnym filmie. O takich rzeczach czyta się w książkach. Nawet ktoś obyty z najstraszniejszymi wspomnieniami więźniów nie jest w stanie zachować dystansu, kiedy nieoczekiwanie staje się częścią takiej historii. Trochę za dużo jak na jeden raz. Trzeba to jakoś przetrwać, pozwolić sobie na zebranie myśli.

Ufam profesorowi, ale czuję, że muszę iść dalej za nitką, którą właśnie mi podał. Do labiryntu nie da się wejść w połowie drogi, należy odbyć ją od samego początku. Żeby zrozumieć, po co w rzuconej na koniec świata małej Sieniawce powstała pracownia preparatów z ludzkich ciał, muszę zapytać, komu były potrzebne, kim były ofiary i – przede wszystkim – kto na to wszystko pozwolił.



## ROZDZIAŁ V



# ZABIĆ MAŁEGO POTWORA

Trzydziestego stycznia 1933 roku prezydent Niemiec Paul von Hindenburg powierzył funkcję kanclerza cholerycznemu Austriakowi o śmiesznym wyglądzie. Nazywał się Adolf Hitler. Nowy przywódca, niedoszły malarz dwukrotnie starający się o przyjęcie do wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych, śnił o potędze kraju bez względu na metody, jakimi przyszłoby ją osiągnąć. Jak pisał Manuel Moros Peña, Niemcy postawili na Hitlera i zaprosili do domu narodowy socjalizm, zaprzędając w ten sposób duszę diabłu. Ceną za ten układ miały być życia kilkudziesięciu milionów ludzi, które pochłonął najbardziej wyniszczający konflikt w dziejach świata. Zaraz po objęciu władzy Hitler utworzył w opuszczonej fabryce amunicji w Dachau koło Monachium pierwszy obóz koncentracyjny. Nad jego wejściem znalazł się napis: „Arbeit macht frei”[3]. Trafiali tu przeciwnicy polityczni rządzących, duchowni, homoseksualiści, Romowie, świadkowie Jehowy oraz Żydzi. Sam obóz stał się wzorem dla następnych jednostek tego typu, dlatego od 1938 roku odbywały się w nim szkolenia dla obsługi kolejnych łagrów.

Hitler zaczął rządy w osłabionym kraju. Po I wojnie światowej, zgodnie z wytycznymi traktatu wersalskiego, Niemcy zostały częściowo zdemilitaryzowane, a liczebność ich armii nie mogła przekraczać stu tysięcy żołnierzy. Rojenia Hitlera dotyczące ekspansji wymagały jak najszybszej odbudowy lotnictwa wojskowego i przekształcenia go w wiodący sektor przemysłu

zbrojeniowego w Niemczech. Zajął się tym Hermann Göring, nowy minister lotnictwa. Musiał zaczynać od zera. Siły powietrzne praktycznie nie istniały, przemysł lotniczy zatrudniał zaledwie cztery tysiące osób. Trzecia Rzesza zlekceważyła więc traktat wersalski i rozpoczęła budowę zakładów militarnych oraz obiektów wojskowych. Był jednak kłopot. Ówczesny model niemieckiej gospodarki opierał się na wielu firmach, które produkowały różne modele samolotów. To zmniejszało wydajność, na dodatek zakłady lekkomyślnie marnowały surowce. Mimo że kupowane za granicą aluminium potrzebne było do produkcji samolotów, wytwarzano z niego również manierki. Wyglądające jak cylindry pokrowce na maski gazowe zrobione były z tego metalu, choć wystarczyło uszyć je z tańszego i lżejszego płótna. Mimo tych i wielu innych problemów do 1936 roku powstało kilka znanych niemieckich samolotów: myśliwiec Messerschmitt Bf 109, bombowiec Heinkel He 111 i budzący strach nurkujący Junkers Ju 87 Stuka. Göring wiedział jednak, że to ciągle zbyt mało.

„«Okres tak zwanych zaskoczeń jest już zamknięty» – oświadczył Hitler w swoim przemówieniu w Reichstagu 30 stycznia 1937 roku. Zdanie to obiegało całe Niemcy. Zgotowane przez Hitlera «zaskoczenia» w latach poprzednich, na przykład utworzenie 26 lutego 1936 roku Luftwaffe jako trzeciego samodzielnego rodzaju sił zbrojnych, wprowadzenie 16 marca 1935 roku powszechnego obowiązku służby wojskowej, wejście 8 marca 1936 roku wojsk niemieckich do zdemilitaryzowanej Nadrenii spotkały się z wielkim entuzjazmem narodu niemieckiego i w dużej mierze z jego aprobatą. Wszystkie posunięcia, które rzuciły pęta traktatu wersalskiego, były popularne. Jego zapowiedź, że w roku 1937 niczego nie przedsięwzięmie, co mogłoby znowu wprowadzić świat w zdumienie i go zaniepokoić, przyjęta jednak została z zadowoleniem”[4] – wspominał Nicolaus von Below, w czasach II wojny światowej adiutant Adolfa Hitlera do spraw Luftwaffe. Ale Hitler nie zamierzał posłuchać nawet sam siebie i parł do wojny.

Również Sieniawka musiała przygotować się na zmiany. Jak każda, nawet najmniejsza wieś w III Rzeszy, była naoliwionym trybikiem, gotowym w każdej

chwili wspomóc maszynę nadchodzącego konfliktu. W oddalonym o trzy kilometry Zittau od 1896 roku stały koszary. Ten potężny, wyglądający jak twierdza kompleks w latach 30. XX wieku służył jednak jako budynek mieszkalny. Teraz ponownie wprowadziło się do niego wojsko, batalion 52 Pułku Piechoty. Na rok przed atakiem na Polskę Wojskowy Urząd Budowlany z Bautzen[5] zaplanował powstanie w tym miejscu kolejnych budynków dla żołnierzy z Zittau. Miały powstać na wzniesieniu pomiędzy Klein-Schönau a należącym do Zittau osiedlem Poritsch, obecnie Porajowem, gdzie mieściło się małe lotnisko z czasów I wojny światowej. Miejsce tylko pozornie nadawało się na budowę. Dookoła tereny po kopalniach węgla brunatnego, ziemia pełna dziur... Urząd budowlany zlecił więc odwierty, które wykazały, że – co prawda – mogą tu stanąć ciężkie budynki, niemniej jednak należy zachować specjalne środki ostrożności przy ich wznoszeniu.

W 1939 roku łagodne wzgórze nad Klein-Schönau pokryło się rusztowaniami. Zaczęły rosnać budynki, które po kilku miesiącach – wciąż w stanie surowym – dostały dachy. Tyle że żołnierze nigdy nie zostali w nich zakwaterowani.

\*

II wojna światowa długo omijała Śląsk. Przez pierwsze trzy lata konfliktu ten rejon Niemiec funkcjonował w miarę stabilnie. Życie toczyło się swoimi torami. Młodzi mężczyźni jechali na front. Kobiety czekały. W Klein-Schönau śmierć przychodziła naturalnie lub razem z listem przesłanym przez wojsko. Na pocztówkach z tamtego okresu widać ludzi siedzących w kawiarniach albo beztrąsko spacerujących ulicami. Armia III Rzeszy parła na wschód, a naród ufał wodzowi. Jesienią 1942 roku całe Niemcy myślały, że są niezwyciężone. Ich wojska dotarły do Kaukazu, Rzesza panowała nad ogromnym terytorium, ale Hitler chciał, by Niemcy byli królami całego świata. Nigdy nie był zadowolony z postępów. Obiecał nie tylko spektakularny sukces, ale też... oczyszczenie zdobytych terytoriów z mniej wartościowych elementów. I bezwzględnie zamierzał dotrzymać słowa. Ujmując sprawę najprościej, jak można – w końcu setki autorów poświęciły jej wiele

uwagi – Romowie i Żydzi mieli zniknąć z powierzchni ziemi, w dalszej kolejności podobny los miał spotkać Polaków. Przeznaczeniem ludów słowiańskich była niewolnicza praca w krajach kolonizowanych. Ale to nie wszystko.

– Narodowy socjalizm to nic innego jak biologia stosowana – oświadczył jeszcze w 1934 roku podczas partyjnego zebrania Rudolf Hess, zastępca Hitlera. Trzecia Rzesza zaczęła wprowadzać politykę inżynierii rasowej.

Dwudziestego lutego 1939 roku w Pomssen koło Lipska urodził się Gerhard Herbert Kretschmar. Chłopczyk był ciężko chory, ociemniały, cierpiał na konwulsje, nie miał nóg bądź jednej nogi oraz ręki. Jego akta medyczne się nie zachowały, niemniej ojciec Gerharda Richard Kretschmar, uważany za „żarliwego nazistę”, dodatkowo określił malucha mianem „idioty”. Tatuś, któremu nie odpowiadał „wybrakowany” synek, zabrał dziecko do Wenera Catela, pediatry z Lipska i poprosił, żeby... Gerharda uśpić.

Lekarz odmówił, bo... nie było to zgodne z prawem. Zasugerował jednak, żeby napisać list do samego Hitlera. Kretschmar zwrócił się więc do wodza, prosząc, aby ten uchylił prawo, które nie pozwala na zabicie małego „potwora”. Wódz pochylił się nad petycją zmartwionego ojca i wysłał Karla Brandta, swojego osobistego lekarza, aby zbadał sprawę. Brandt był chirurgiem, do partii nazistowskiej wstąpił w 1932 roku, mając dwadzieścia osiem lat. W tym samym roku spotkał się osobiście z Führerem dzięki swojej narzeczonej Annie Reborn, mistrzyni świata w pływaniu, którą wódz III Rzeszy podziwiał. Dzięki serii przypadków Brandt został włączony do najbliższego kręgu Hitlera. Wstąpił do SS, żeby wspinać się za kilka lat na stanowisko głównego komisarza do spraw zdrowia i higieny Rzeszy, a co za tym idzie – zaangażować się w eksperymenty na ludziach. Sprawa chorego chłopca była jednym ze szczebli do jego kariery. Brandt obejrzał pięciomiesięcznego Gerharda i kazał go przewieźć do szpitala, gdzie 25 lipca doktor Catel podał dziecku śmiertelny zastrzyk z luminalu. Wkrótce Hitler wydał Brandtowi ustne polecenie, żeby w podobnych przypadkach działać dokładnie tak samo.

Trzy tygodnie później wódz III Rzeszy pozwolił na tworzenie list dzieci z ciężkimi wadami oraz lekarzy, którzy mogli zdecydować o ich dalszym losie. Rozpoczął się program fizycznej „eliminacji życia niewartego życia”, który został rozciągnięty również na dorosłych. Do 1944 roku lekarze SS wymordowali ponad dwieście tysięcy chorych psychicznie, niepełnosprawnych, cierpiących na padaczkę bądź z zaburzeniami rozwojowymi. Likwidacja „podludzi” miała wpłynąć na „utrzymanie czystości niemieckiej krwi” oraz „wyeliminowanie elementów obniżających pulę genetyczną społeczeństwa”. Akcją T4 – nazwa ta powstała od adresu biura kierującego programem śmierci przy berlińskiej Tiergartenstraße 4 – miał początkowo kierować Leonardo Conti, późniejszy naczelny lekarz III Rzeszy (Reichsärzteführer) w randze ministra zdrowia Rzeszy, którego nazwisko pojawi się jeszcze w tej książce. Ostatecznie Hitler przekazał komuś innemu nadzór nad – jak to określił – procesem łaskawej śmierci. Ludzkie życie kończyli ci, którzy przysięgali to życie chronić. Ale „łaskawa śmierć” przez uduszenie w komorze gazowej bądź za sprawą zastrzyku nie kończyła upokorzenia ofiar. Mózgowia „najciekawszych przypadków” kierowane były do placówek naukowych, gdzie w specjalnych pojemnikach służyły jako „kolekcje” pomocy medycznych dla studentów. Ludzie stawali się preparatami anatomicznymi. Z czasem pożądane stało się, aby komendanci większych obozów byli weteranami akcji T4. Takie doświadczenia wzmacniały przecież charakter. W kwietniu 1941 roku zbrodniczy program został rozszerzony na psychicznie chorych oraz niepełnosprawnych więźniów obozów koncentracyjnych nie pochodzących z Niemiec.

Równocześnie obozowi lekarze testowali na bezbronnych ofiarach nowe leki. Poziom krzepnięcia krwi, wytrzymałość na różne choroby – obozy zaczęły współpracować z gigantami farmaceutycznymi, dla których taka wiedza była bezcenna. Swoje wymagania miał też przemysł wojenny, nowe technologie wymagały testów, a „królików doświadczalnych” było pod dostatkiem. Profesor Dobosz słusznie zauważył, że nic (a właściwie nikt) nie mogło się zmarnować. W obozach pojawiły się laboratoria, pomieszczenia doświadczalne, stoły sekcyjne...

## ROZDZIAŁ VI



# ZEMSTA GÖRINGA

W listopadzie 1941 roku, kiedy Hitler jeszcze grzał się w blasku militarnych sukcesów, a mieszkańcy Niederschlesien[6] spokojnie chodzili na spacer, w niedokończonych koszarach Klein-Schönau powstawał obóz jeniecki. Lotnisko na łąkach, z którego korzystał między innymi właściciel położonego czterdzieści kilometrów dalej zamku Czocha, zostało zamknięte dla cywilów. Od teraz mogła go używać wyłącznie armia – do wsi zaś zaczęły przyjeżdżać transporty z jeńcami z Rosji, Belgii, Francji, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Danii, Czech, Jugosławii, a od 1943 roku również z Włoch. Zaczął się pierwszy etap dramatycznego rozdziału w historii wioski. Jeńcy zamieszkali w szopach postawionych na gołej ziemi i kończyli budowę koszar. Zima dawała im się we znaki. Szczególnie trudno mieli Rosjanie. „Bolszewizm jest śmiertelnym zagrożeniem narodowosocjalistycznych Niemiec. Na jego skutek żołnierz bolszewicki utracił wszelkie prawa do traktowania go jako prawnego żołnierza według zasad Konwencji Genewskiej” – instruowało tajne zarządzenie z 28 września 1941 roku w sprawie traktowania jeńców załączone do pisma Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu[7]. Jeńcy z zachodnich krajów dostawali paczki żywnościowe, Włosi i Rosjanie nie mieli do nich prawa. Z głodu jedli trawę. Być może zrywali ją w miejscu, gdzie dzisiaj bawią się dzieci, a może koło szpitalnych ławek?

– Niewiele wiadomo o pierwszym etapie działania obozu – tłumaczy Jasiu. Wszystko, co udało się zebrać, pochodzi z relacji gromadzonych od lat przez Romana Zgłobickiego, autora książki *Dzieje koszar wojskowych w Sieniawce*.

Koszary pewnie zostałyby ukończone, gdyby nie nadszedł rok 1943, pierwszy niespokojny rok wojny dla III Rzeszy. Konflikt wkroczył na nowe tory, bombowce aliantów częściej pojawiały się nad niemieckimi miastami. Kłopoty się piętrzyły. Joseph Goebbels, minister propagandy i oświecenia publicznego w rządzie Hitlera, w pierwszym kwartale 1943 roku narzekał, że niemiecka „technika zbrojeniowa zarówno na odcinku morskim, jak i lotniczym pozostaje wyraźnie w tyle za Anglosasami. Mści się teraz na nas nasze złe kierownictwo w sektorze naukowym, które nie potrafiło wykorzystać naszego aktywu odkrywców. [...] Straszne rzeczy opowiadają mi o warsztatach samolotowych Messerschmitta. [...] Konstruktorzy są tak zajęci sobą, że zapomnieli zupełnie o potrzebach frontu, który od półtora roku mało co otrzymał, a to, co już wysłano ze starych modeli, też niewiele było warte”[8].

Tymczasem w marcu „całe Zagłębie Ruhry «rozwalili» i nie można przewidzieć, czy i kiedy przestaną”[9] – zapisywał Nicolaus von Below, adiutant ds. lotnictwa Hitlera. Trzy miesiące później połączone komitety szefów sztabów sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii wydały dyrektywę dla brytyjsko-amerykańskiej ofensywy bombowej o kryptonimie Pointblank. Lotnictwo aliantów z całą siłą uderzyło w fabryki związane z przemysłem lotniczym, stocznie, produkcję paliw oraz wytwórnie łożysk tocznych. W lipcu po raz pierwszy na masową skalę alianci użyli bomb zapalających, niszcząc niemal w połowie Hamburg. Zginęło ponad czterdzieści dwa tysiące niemieckich cywilów, więcej niż padło ofiarą bomby atomowej zrzuconej na Nagasaki. W sierpniu naloty na Pennemünde, gdzie produkowane były rakiety, zebrały łącznie ponad 700 ludzkich istnień. Hitler robił się nerwowy. „Niemcy stawały się coraz bardziej bezradnym celem nalotów lotniczych”[10] – notował von Below, wyrażając równocześnie zdanie, że Luftwaffe nigdy już nie dogoni Anglików, Amerykanów i Rosjan w dziedzinie uzbrojenia. Hitler uważał jednak, że nawet niemożliwe jest

możliwe, szczególnie ufał obietnicom Göringa. Tymczasem kolejne bombardowania łamały morale Berlina. Najwyższe władze wiedziały, że wstrzymanie produkcji militarnej będzie wyrokiem dla III Rzeszy, zausznicy wodza z niepokojem obserwowali docierające coraz głębiej naloty. Powstało coś w rodzaju błędnego koła. Żeby zniszczyć alianckie lotnictwo, należało się przed nim ukryć i produkować jak najszybciej, bo głównym celem aliantów było zniszczenie przemysłu lotniczego wroga. Dlatego w końcu zapadła decyzja: ze względów bezpieczeństwa produkcja wojenna ma zostać zdecentralizowana i przeniesiona w region, gdzie wciąż jest spokojnie. Ministerstwo do spraw Uzbrojenia uznało, że takim miejscem będą południowo-wschodnie tereny Rzeszy. Zaczęła się bezprecedensowa migracja trzystu zakładów na krańce kraju, głównie do Niederschlesien i Reichsgau Sudetenland[11]. Wśród przenoszonych przedsiębiorstw był również producent samolotów cywilnych i wojskowych Junkers Flugzeug- und Motorenwerke AG z Dessau[12].

Przenoszenie produkcji wojennej nie obyło się bez ofiar. Zakłady potrzebowały pomieszczeń, te zaś były przejmowane lub „pożyczane” od działających cały czas przedsiębiorstw, głównie tekstylnych. Zmuszani do współpracy właściciele mogli tylko zacisnąć pięści. I to tak, żeby nikt tego nie widział. Początkowo Junkers wydzierżawił hale w Zittau, w tkalni braci Morasów, niezbyt z tego zadowolonych. Dwudziestego dziewiątego kwietnia 1943 roku zarząd niemieckich zakładów wydelegował na rekonesans inżyniera Fausta, który „zwiedził” między innymi niedokończone koszary w Klein-Schönau. Uznał, że to miejsce godne uwagi, tym bardziej że przedsiębiorstwo miało również zadanie koordynowania pracy innych fabryk współpracujących z Junkersem na wschód od Łaby. Cztery miesiące później przedstawiciele Junkersa osobiście obejrzeliby wzgórze w Klein-Schönau i podjęli decyzję, że właśnie w tym miejscu zlokalizują swoje zakłady. W ciągu dwóch tygodni inżynier o nazwisku Möszner rozpoczął prace nad przystosowaniem surowych obiektów do roli biur konstrukcyjnych i hal montażowych. Wymagało to sporego nakładu pracy, a czas gonił. Junkers potrzebował bocznic kolejowej, nowych dróg, basenów przeciwpożarowych, koszary należało ogrodzić



i przygotować się na ewentualne naloty. Budynki mieszkalne musiały pomieścić pięć tysięcy pracowników, choć zdaniem urzędu ochrony przeciwlotniczej bezpieczniejsze było ulokowanie w nich jedynie do trzech tysięcy sześciuset osób. Möszner projektował doprowadzenie wody i gazu, układ rur grzewczych, zakładał także drążenie sięgających ośmiu metrów studni – wszystkie te elementy potrzebne były zarówno do przeżycia, jak i do efektywnej produkcji (to drugie było zresztą nawet ważniejsze). Pomysł był prosty: po wykończeniu koszary będą służyły jako mieszkania dla załogi, obory i hale garażowe zostaną przebudowane bądź dostosowane na potrzeby produkcji. Na planach obiektu pojawiła się też potężna kotłownia z kominem (jak potem będą twierdzić więźniowie – wykorzystywana również jako krematorium)[13].

Niektórzy opowiedzą po latach, że w zakładach było nawet ładnie, bo Niemcy, czując, że alianckie bombowce mogą pewnego dnia dotrzeć i tutaj, a cudowna broń może nie poradzić sobie w starciu z konwencjonalną, starannie maskowali teren. Na placu między budynkami zasadzili brzoźki, robotnicy plantowali też teren, który zarastał krzaczkami.

Rodził się perfekcyjny, samowystarczalny organizm. Odizolowany od świata zewnętrznego, a równocześnie – w razie trudności – wcale go niepotrzebujący. Nad całością czuwał zaledwie trzydziestotrzyletni dr inż. Jürgen Ulderup, niezwykle uzdolniony fachowiec, który w 1935 roku wydał pracę o stanie światowego lotnictwa i jego problemach ze szczególnym uwzględnieniem Niemiec. Ojciec Jürgena Wilhelm w czasie I wojny światowej zajmował się lądowymi i morskimi dostawami dla wojska, był współpracownikiem Hugona Junkersa, został również konsultantem do spraw transportu w Chinach pod rządami Czang Kaj-szeka.

W latach 40. XX wieku przedsiębiorstwo założone przez Hugona Junkersa, inżyniera i wynalazcę, miało już długą tradycję. Powstało w 1895 roku i początkowo funkcjonowało ze zmiennym szczęściem, produkując podgrzewacze wody (kto pamięta jeszcze junkersy w Polsce?) i grzejniki, jednak w 1915 roku Junkers – entuzjasta robienia wszystkiego z metalu – zbudował pierwszy na świecie całkowicie metalowy samolot. Cztery lata później skonstruował Junkersa

F13. Ta maszyna – również w całości z metalu – miała kursować w ruchu pasażerskim, dlatego genialny konstruktor pomyślał o własnych liniach lotniczych. W 1927 roku w imieniu Junkers Flugzeugwerk AG dr Wilhelm Ulderup wraz z dwiema innymi osobami powołał Internationales Luftfracht- und Maklerkontor Air Express GmbH. Sam Hugo Junkers był bez wątpienia wizjonerem, jego kolejny samolot Junkers W 34 osiągnął pionierski pułap, 12 729 metrów! Pojawił się jednak pewien problem. W ówczesnych Niemczech nawet wielcy wynalazcy musieli mieć słuszne poglądy. Junkers nie sprzyjał nazistom, więc kiedy do władzy doszedł Hitler, wizjoner został wywłaszczony, a jego zakłady i patenty zagarnęło bez odszkodowania Ministerstwo Lotnictwa Rzeszy Hermanna Göringa. Małe i niestety deficytowe linie lotnicze Junkersa zostały połączone z inną firmą, która dała później podwaliny funkcjonującej do dziś Lufthansie. Dodatkową zadrą były osobiste animozje Junkersa i Göringa. Panowie doskonale się znali, Albert Göring, młodszy o dwa lata przyrodni brat Hermanna, notabene zdeklarowany antynazista, pracował przez jakiś czas u Junkersa. Hermann Göring, as myśliwski Cesarstwa Niemieckiego z czasów I wojny światowej, bywał również na oficjalnych prezentacjach nowych samolotów. Podobno w 1923 roku chciał się zatrudnić w zakładach wynalazcy jako pilot oblatywacz, ale nie został przyjęty. Swoją drogą, miał pecha, podobnie jak Hitler, który nie dostał się na Akademię Sztuk Pięknych.

Göring zapamiętał zniewagę. Dawny uraz przypieczętował los Junkersa. Od 1933 do śmierci w 1935 roku wynalazca został zamknięty w areszcie domowym w Bawarii. Zakłady, których właścicielem już nie był, pełną parą zaczęły produkcję na potrzeby wojny. Bella Gutterman, autorka monografii Gross-Rosen, twierdzi, że w październiku 1943 roku do Klein-Schönau Hermann Göring przyjechał osobiście. Duma i pycha musiały go teraz rozpierać. Minęło kilka miesięcy i w koszarach na stałe zainstalowano produkcję lotniczą. Przedsiębiorstwo otrzymało nazwę Zittwerke Aktiengesellschaft, czyli Zakłady Zittau SA.

– U nas były składane podzespoły do Messerschmitta Me 262. Junkers Jumo 004 były pierwszymi silnikami odrzutowymi na świecie, które trafiły do seryjnej produkcji! – tłumaczy Jasiu jak zwykle podniesionym głosem.

Mała wieś, o której nikt nie pamiętał, miała zmienić losy wojny.

## ROZDZIAŁ VII



## BLONDYNKA U HITLERA

Hitler miał obsesję na punkcie cudownych broni, ale dość długo nie wierzył w silniki odrzutowe. Tymczasem w walce z aliantami realną siłą mógł stać się szybki myśliwiec. Już przed wybuchem wojny Niemcy pracowali nad koncepcją samolotu odrzutowego, ale prototyp przełomowego Messerschmitta Me 262 „Schwalbe” (Jaskółka) wzniósł się w powietrze dopiero w 1941 roku. Pierwszy lot odbył się jeszcze z silnikami tłokowymi, kolejny – z silnikami turboodrzutowymi – 18 lipca 1942 roku. Próba nie była jednak udana, bo silniki wyprodukowane przez BMW przestały pracować wkrótce po starcie. Konstrukcyjnie Jaskółka była przygotowana do seryjnej produkcji już pod koniec 1942 roku, ale po drodze piętrzyły się problemy. Brakowało odpowiednich materiałów, zwłaszcza wolframu i chromu, co wymuszało technologiczne zmiany, silniki były wciąż awaryjne, a Hitler upierał się, żeby Me 262 był samolotem bombowym, a nie myśliwcem.

Z czasem jednak projekt Jaskółki, od którego – jak wierzyli Niemcy – zależeć miały losy wojny, został uznany za najbardziej przyszłościowy. Zamiast silnika BMW 003 w maszynie zastosowany został bardziej niezawodny Junkers Jumo. Ten pierwszy na świecie seryjnie produkowany silnik odrzutowy miał imponujące parametry i mimo niewielkich rozmiarów dysponował ogromną mocą. W ważącym siedemset pięćdziesiąt siedem kilogramów silniku ośmiostopniowa sprężarka osiowa zasilala turbinę odrzutową, która wytwarzała ciąg o wielkości prawie

dziewięciu kiloniutonów dla każdego silnika. Docelowo pozwoliło to Me 262 osiągnąć prędkość wznoszenia dwadzieścia metrów na sekundę i pułap prawie jedenaście i pół tysiąca metrów. Naziści pokładali więc w nowym samolocie wielkie nadzieje. Wierzyli, że nawet jeśli nie zapewni on ostatecznego zwycięstwa, to przynajmniej pomoże ukrócić amerykańskie naloty.

22 maja 1943 roku do ośrodka doświadczalnego Messerschmitta koło Augsburga przybył Adolf Galland, charyzmatyczny pilot, który w wieku dwudziestu dziewięciu lat został mianowany generalnym inspektorem lotnictwa myśliwskiego. Galland miał już wtedy na koncie prawie setkę zwycięstw, był niemalże ikoną Luftwaffe, uczestniczył między innymi w bitwie o Anglię. Naziści go uwielbiali, sporą popularność przyniósł mu gest, który wykonał w kierunku Douglasa Badera i sam nazwał rycerskim. Ten brytyjski as lotnictwa stracił nogi jeszcze przed wojną, miał wtedy dwadzieścia jeden lat. Dzięki umiejętnościom i uporowi wstąpił do Royal Air Force (RAF) i latał z założonymi protezami. W sierpniu 1941 roku został zestrzelony nad Pas-de-Calais we Francji i wzięty do niemieckiej niewoli. Ratując się skokiem ze spadochronem, zgubił jedną protezę, a drugą zniszczył. Galland zainteresował się kolegą z konkurencji i zaproponował Brytyjczykom, żeby drogą lotniczą dostarczyli mu nową parę protez. Göring wyraził zgodę i 19 sierpnia 1944 roku, w ramach Leg Operation (Operacja Noga), bombowiec RAF-u zrzucił skrzynię z pomocą dla Badera.

Teraz „szlachetny” Galland miał przetestować wielką nadzieję III Rzeszy. Był podekscytowany i choć nie wiedział, z czym przyjdzie mu się mierzyć, zdawał sobie sprawę z ryzyka. W maju 1943 roku Wilhelm Emil Messerschmitt, konstruktor samolotów, niemalże ubłagał pilota, żeby ten wydał swoją opinię o możliwościach Me 262. Messerschmitt wierzył w ten model samolotu, a wsparcie Gallanda mogłoby mu pomóc w przekonaniu najwyższego dowództwa do seryjnej produkcji myśliwca odrzutowego.

„W czasie gdy aliancka przewaga przykrywała cieniem nasz kraj, rósł zasięg samolotów wroga i liczba amerykańskich myśliwców eskortujących formacje bombowców, Messerschmitt Me 262 dawał nadzieję na wyposażenie naszych

dywizji w lepsze maszyny” – zapisał Galland w swoich pamiętnikach pisanych już po wojnie.

„Nigdy nie zapomnę 22 maja 1943 roku, kiedy po raz pierwszy w życiu poleciałem samolotem odrzutowym. Wczesnym rankiem spotkałem Messerschmitta na jego testowym lotnisku Lechfeld, w pobliżu głównych zakładów w Augsburgu. Czekwały tam dwa myśliwce odrzutowe Me 262, powód naszego spotkania i wszystkie nasze wielkie nadzieje. Co za niezwykły widok: samoloty bez śmigieł! Okryte opływowymi osłonami gondole mieszczące się pod skrzydłami skrywały silniki odrzutowe. Żaden z inżynierów nie potrafił jednak określić, jaką moc mogły rozwinąć. W odpowiedzi na nasze pytania gorączkowo liczyli, używając suwaka logarytmicznego, ustalając jedynie, że określony ciąg o wartości X kilogramów przy prędkości Y na wysokości X, biorąc pod uwagę określoną masę samolotu, odpowiadałby jakiejś określonej mocy klasycznego napędu śmigłowego. Budziło to nieufność pilotów, nieznających właściwości nieznanego jeszcze wtedy napędu. Ale inżynierowie mieli rację. Porównania właściwości nowego napędu do napędu śmigłowego były niewystarczające. Jeżeli parametry nowych silników odrzutowych, wyliczone przez konstruktorów, były tylko w przybliżeniu prawidłowe, pojawiały się przed nami możliwości, o jakich nawet nie śniliśmy. A to wynikało z obliczeń! Prędkość w locie horyzontalnym wynosząca 520 węzłów, jaką osiągał ten samolot, była w tym czasie fantastycznym wynikiem. Przekraczała o 120 węzłów najszybsze samoloty z napędem śmigłowym. I co ważne, silniki odrzutowe wykorzystywały o wiele gorsze paliwo w postaci oleju napędowego w miejsce wysokooktanowej benzyny, której zdobycie stawało się z każdą chwilą coraz trudniejsze [...]”[14].

Galland wszedł w końcu do kabiny. Pierwszy silnik zadziałał bezproblemowo. Drugi zapalił się i w mgnieniu oka cały stanął w ogniu. Pilot wykazał się zimną krwią, szybko wyskoczył z kokpitu i bez zbędnych komentarzy przesiadł się do drugiego samolotu.

„Po raz pierwszy leciałem odrzutowcem! Brak wibracji silnika. Brak momentu reakcyjnego i braku odgłosu pchnięcia śmigła. Przy akompaniamencie

świszczącego dźwięku mój samolot wystrzelił w powietrze. Później, gdy zapytano mnie, jakie to uczucie, odpowiedziałem: «To było tak, jakby popchnęły mnie anioły».

Nigdy wcześniej nie byłem pod takim wrażeniem i pełen entuzjazmu, jak po wylądowaniu. Ale uczucia i wrażenia nie stanowiły żadnego kryterium, potwierdziły jednak spodziewane osiągi i cechy nowego napędu. To nie był krok naprzód; to był skok! Pojechaliśmy z powrotem do fabryki na ostatnią dyskusję. Z daleka widziałem na pasie startowym dwa Me 262. Wydawały mi się srebrnymi smugami na horyzoncie. Dzisiaj nadal uważam, że oczekiwanie od Me 262, że zasadniczo zmieni niemiecką obronę powietrzną, nawet w tak późnym okresie wojny, nie było przesadnym optymizmem.

Po pierwszym locie próbnym wysłałem do feldmarszałka Milcha [Erhard Milch był w tym czasie Inspektorem Generalnym Lotnictwa – przyp. J.L.] telegram o moim pierwszym locie próbnym: «Samolot 262 jest bardzo wielkim przebojem, który zagwarantuje nam niewiarygodną przewagę, jako że wróg bazuje cały czas na silniku tłokowym. Poza samym startem i lądowaniem nowe silniki przekonały mnie zupełnie.

Ten model otwiera zupełnie nowe możliwości taktyczne»[15].

Galland był młody, zapalczywy, chciał, żeby Me 262 stał się jeszcze mocniejszy i szybszy. Jaskółka rozwijała w końcu prędkość ponad ośmiuset kilometrów na godzinę, czyli o sto dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę więcej od prędkości alianckich samolotów śmigłowych. To dawało niemieckiej Luftwaffe ogromną przewagę nad bombowcami wroga. Maszyna tego typu miała większą szansę, by przedrzeć się przez osłonę wroga i zniszczyć jego bombowce, atakując z czterech działek kalibru trzydzieści milimetrów. Me 262 oznaczał dla lotnictwa początek zupełnie nowej epoki, dla III Rzeszy był symbolem ostatniej szansy, choć jeszcze na początku 1944 roku zaufani ludzie Hitlera nie byli pewni, kiedy uda się wprowadzić samolot do gry. Nerwowość wzbudzały raporty niemieckiego wywiadu: amerykańskie maszyny są coraz lepsze i technologicznie coraz bardziej zaawansowane. Czasu było coraz mniej.

28 lutego 1944 roku rezydencję wodza w Obersalzbergu odwiedziła Hanna Reitsch, niemiecka pilotka i oblatywaczka, która jako pierwsza kobieta w historii odbyła lot Messerschmittem Me 163 Komet z silnikiem rakietowym. Jej piąty lot tą maszyną skończył się wypadkiem podczas lądowania i Reitsch musiała spędzić pięć miesięcy w szpitalu. Malutka, mierząca zaledwie sto pięćdziesiąt cztery centymetry i bardzo drobna blondyneczka zaproponowała Hitlerowi, aby – na wzór Japonii – również w Niemczech wprowadzić do walki lotników kamikadze. Miała własne pomysły, czyniła już nawet jakieś starania i chciała tylko zgody Führera.

„Hitler był całkowicie przeciwny wszelkim pomysłom zmierzającym do samopoświęcenia, wypowiedział się szczegółowo przeciwko tej akcji, powołując się na nowe zamierzenia zbrojeniowe marynarki i lotnictwa i bliskie już akcje samolotów odrzutowych. Hanna Reitsch potrafiła wytworzyć sobie lepszy obraz tego trudnego urzeczywistnienia owych zamiarów i wiedziała, że potrwa to jeszcze całe miesiące, zanim Luftwaffe będzie mogło wprowadzić do akcji Me 262”[16].

Ten brak spektakularnych sukcesów zaowocował powstaniem grupy operacyjnej o nazwie Jägerstab (Sztab Myśliwski). Albert Speer, ówczesny minister uzbrojenia i amunicji, wykorzystał możliwości, jakie dawał nazistowski magiel towarzyski, i doprowadził do tego, że kontrola nad produkcją lotniczą została przekazana jego ministerstwu. Układy na najwyższych szczeblach władzy III Rzeszy przypominały plan Wilczego Szańca, były tak skomplikowane, że wystarczył moment nieuwagi i już ktoś podkładał bombę. „Do tej pory najbardziej efektywne były przedsięwzięcia, w które angażowało się SS” – oświadczył Speer, cytując niejako swojego bezpośredniego zwierzchnika Heinricha Himmlera. „Wierność, honor, posłuszeństwo i nieustraszonosc charakteryzują czyny SS-owca. [...] Posłuszeństwo absolutne, przyjęte dobrowolnie w służbie naszej ideologii i gotowe do poniesienia każdej ofiary [...]. Od żołnierza wymaga się posłuszeństwa rano, w południe i wieczorem” – perorował 4 października 1943 roku w Poznaniu Himmler, robił to przez trzy bite godziny, co rzeczywiście wymagało ofiary cierpliwości od żołnierzy. Na czele Jägerstabu stanął najdoskonalszy przedstawiciel zakonu SS. Sprawdzony, zdolny i bezwzględny inżynier Hans Kammler.



Nazwisko Kammlera wzbudza wśród eksploratorów i miłośników sensacji XX wieku zawsze spore emocje. Jeżeli jakieś miejsce wydaje się szczególnie interesujące, warto podkreślić, że „przyjechał tu Kammler, ten od podziemi!”. I rzeczywiście, jeden z największych hitlerowskich zbrodniarzy, nazywany technokratą zniszczenia, był przedstawicielem dowódcy SS przy programie raketowym V-2 i pomysłodawcą przeniesienia wojennych linii produkcyjnych do podziemnych fabryk w Turyngii. Pod górą Kohnstein koło Nordhausen wydrążone zostały dwie sztolnie, każda miała prawie dwa kilometry długości! Wcześniej Kammler wykazał się, tworząc obóz koncentracyjny Mittelbau-Dora, którego więźniowie aż do śmierci mieli pracować pod tonami skał. Jako że częścią niemieckiego planu przenoszenia produkcji w bezpieczne miejsca było również zejście pod ziemię, podziemne obiekty zaczęły powstawać w różnych, często ekstremalnych miejscach. Działały zgodnie z zasadą decentralizacji produkcji. Największa z fabryk odrzutowców została ulokowana w wyrobiskach kopalni kaolinu w masywie góry Walpersberg. Na szczycie wydłużonego wzniesienia konstruktorzy z SS zaprojektowali pas startowy. Zmontowane w podziemiach samoloty wciągane były na pas za pomocą specjalnej platformy jadącej po zboczu wzniesienia. Sztolnie, choć nie o takiej skali, drążyli też więźniowie w okolicach zamku Czocha, czterdzieści kilometrów od Sieniawki. W Górach Sowich miał się za chwilę rozpocząć projekt „Riese”, czyli Olbrzym, budowa podziemnych kompleksów na niespotykaną na Dolnym Śląsku skalę. Riese zarządzała Organizacja Todt Franza Xavera Dorscha, z którym Kammler współpracował.

– Wygląda na to, że podczas przebudowy koszar w Sieniawce powstały równocześnie jakieś obiekty pod ziemią – opowiada Jasiu. Tym razem spotykam się również z jego kolegami z Łużyckiej Grupy Poszukiwawczej: Piotrem Rodzikiem i Arturem Zabłotnym. Po kilku latach od napisania listu ze sporej grupy zostali w trójkę. Każdy ma jakieś swoje życie. Tylko oni postanowili dzielić je z tajemnicą. Piotrek, łagodny i cichy, Artur, wyważony i skupiony; są przeciwieństwem szefa grupy. Dobrze się uzupełniają. Tam, gdzie Jasiu pędzi za szybko, oni idą nieco z tyłu, dodając potrzebne informacje, tłumaczą, a także

dokumentują. Piotrek robi sporo zdjęć. Od początku działalności wielokrotnie obeszlili teren dawnych koszar, ufając, że znajdą ślad świadczący o istnieniu podziemi. Zaintrygowały ich dziwne wejścia, studnie, zapadliska, a także historie o widzianych tu poszukiwaczach skarbów z Niemiec. Jasiu napisał o tym zresztą w swoim pierwszym liście do mnie.

Już po wojnie z wieloma świadkami minionych wydarzeń rozmawiał Roman Zgłobicki, który poświęcił dwadzieścia pięć lat na rozwiązanie zagadki koszar. Ludzie bez mrugnięcia okiem wskazywali miejsca wejść do podziemnych hal. Aniela Jarmała z rodziny lekarza pracującego na terenie koszar zeznała Zgłobickiemu: „Praca była pod ziemią. Mówiono, że produkowano tam podzespoły do V-1 i V-2. Zatrudniano zaufanych Niemców oraz grupę ludzi całkowicie odciętych od świata”.

– W podziemiach miały być również prowadzone badania nad nową „cudowną” bronią – mówi, jak zwykle podniesionym głosem, szef ŁGP.

– Skąd to wiadomo? – pytam.

– No... skoro Kammler i podziemia...

Kammler często pojawia się w publikacjach o niemieckich UFO i podobnych im dziwactwach. W rzeczywistości zakłady podlegające Jägerstabowi rzeczywiście produkowały Wunderwaffe, czyli cudowną broń Hitlera. Z jej wsparciem żołnierze III Rzeszy, niczym biblijna szarańcza, mogliby spadać na terytorium wroga i zmieniać losy wojny. W końcu sama nazwa wskazywała, że można było liczyć na cud. Tajemnica broni kryła się w niezwyklej technologii i ogromnej sile rażenia. Za sprawą mediów Wunderwaffe kojarzy się dzisiaj głównie z nazistowskimi latającymi spodkami, ale tak naprawdę była po prostu propagandowym chwytem. O ile cel tworzenia nowych, a nawet eksperymentalnych konstrukcji był oczywisty, o tyle zaliczanie ich do grupy cudownych miało charakter wysoce uznaniowy. Istnienie cudownej broni nie wychodziło zazwyczaj poza obszar pobożnych życzeń. Naprawdę cudowne były te maszyny, które po prostu działały i dzięki którym osiągnano sukcesy.

Zdaniem Adolfa Gallanda Me 262 działał doskonale, mimo że na sukcesy trzeba było jeszcze czekać. Zittwerke SA w Klein-Schönau miały być częścią tego sukcesu.

\*

„Myśliwiec odrzutowy Me 262, najszybszy samolot myśliwski na świecie, stał się faktem. Leciałem nim. Wiedziałem, że dzięki niemu pokonamy każdy inny samolot myśliwski”<sup>[17]</sup> – zapisał Galland, zwracając tym samym uwagę na jeszcze jedno zagadnienie: zarówno odrzutowce Me 262, jak i rozwijane równolegle myśliwce raketowe Me 163 dawały nowe możliwości walki, zmieniając całkowicie taktykę ataku. A to musiało mieć wpływ na zdrowie pilotów.

Można powiedzieć, że raketowy Messerschmitt Me 163 spadał na swoją ofiarę niczym drapieżny ptak. Najpierw w ciągu kilku minut pilot wzbijał się na wysokość znacznie przekraczającą maksymalny pułap maszyny przeciwnika, a następnie, po wyczerpaniu zapasu paliwa, lotem ślizgowym atakował ją, wykorzystując przewagę wysokości i olbrzymią prędkość w locie nurkowym. Nikt nie wiedział dokładnie, co dzieje się w organizmie człowieka, który – narażony na bardzo niskie ciśnienie powietrza, jakie panuje na dużych wysokościach – osiągając maksymalny pułap w bardzo krótkim czasie, znajduje się nagle w tak ekstremalnie niekorzystnych warunkach. Było to szczególnie istotne, jeśli wziąć pod uwagę możliwość zestrzelenia samolotu na dużej wysokości. Podczas walk nad morzem pilot mógł w takiej sytuacji długo przebywać później w zimnej wodzie. W obozie koncentracyjnym w Dachau rozpoczęły się więc bestialskie testy medyczne, podczas których sprawdzane były reakcje organizmu na rozrzedzone powietrze oraz niskie temperatury. Doświadczenia odbywały się na ludziach. Więźniowie poddawani byli skrajnie trudnym warunkom w kabinach ciśnieniowych, które powstały specjalnie na zamówienie obozu. „Niektóre eksperymenty wywoływały pod wpływem ciśnienia takie zmiany w głowach, że badani stawali się obłąkani, wrywali włosy, drapali głowę i twarz paznokciami, bili w ściany rękami i głowami, krzyczeli, aby zmniejszyć ciśnienie na przewody

uszne. Eksperymenty prowadziły tak pewnie do śmierci, że w wielu wypadkach komora była używana raczej do egzekucji niż do badań” – zeznawał po wojnie ich obserwator, były więzień obozu Anton Pacholegg[18]. W ten sposób „naukowcy” z SS usiłowali dowiedzieć się, jak uratować życie zestrzelonym niemieckim pilotom. W tym celu właśnie powstał Luftfahrtmedizinisches Forschungsinstitut des Reichsluftministerium (Instytut Badawczy Medycyny Lotniczej Ministerstwa Lotnictwa w Berlinie), którym od 1935 roku kierował prof. Hubertus Strughold. Ten niebywale zdolny naukowiec, oskarżany po II wojnie światowej o eksperymentowanie na ludziach, skupił się na badaniu odporności żywych organizmów na niedotlenienie, hipotermię oraz działanie niskiego ciśnienia. W latach 70. XX wieku wybitny polski reporter Krzysztof Kąkolewski dotarł do Strugholda w Stanach Zjednoczonych. Wówczas były nazistowski „badacz” współpracował już z NASA. Przyznał wtedy, że zajmowały go między innymi zagadnienia drgań występujących w czasie lotów.

„Wiedziałem, że drgania będą miały znaczenie. Nasz instytut został zbombardowany, więc ewakuowano go na Śląsk. Ta miejscowość teraz należy do Polski. To był zamek baronowej. Nie pamiętam już, jak się nazywała. W podziemiach zamku próbowałem lotu w rakiemie. Badałem swoje reakcje. [...] Pamiętam, wszystko drżało, wibrowało, aż niebezpiecznie. [...] Po pewnym czasie nie można było kierować, traciło się panowanie nad sterem” – opowiadał.

„Baronowej nie przeszkadzały hałasy?” – pytał Kąkolewski.

„Nie. Ona oddała nam zamek, żeby, jak naziści zwyciężą, nie zabrali jej” – odpowiedział profesor.

Przez wiele lat badacze uważali, że Hubertus Strughold przeprowadzał badania w zamku Książ. Jednak z listu wystosowanego 8 marca 1944 roku przez Instytut Badawczy Medycyny do dolnośląskiego konserwatora zabytków Günthera Grundmanna wynika, że instytut w ramach przedsięwzięć ewakuacyjnych został przeniesiony z Berlina do Welkersdorf (Rząsiny) koło Greiffenberga (Gryfów Śląski). List zawiera zgodę na przewiezienie do pałacu w Rząsinach biblioteki

wojskowo-medycznej, rzekomo największej w Europie, „bez której działalność instytutu nie jest możliwa”[19].

Trudno powiedzieć, dlaczego Strughold wybrał akurat zamek w Rząsinach leżący zaledwie sześćdziesiąt kilometrów od Sieniawki. Skromny obiekt z grubymi murami pamiętajacymi XV wiek wbrew pozorom miał spore przestrzenie, w których można było zorganizować badania. Dysponował również ogromnym folwarkiem, gdzie mogli być przetrzymywani więźniowie – do listopada 1944 roku Włosi, a przez jakiś czas radzieccy jeńcy. Nie ma dowodu, że byli ofiarami eksperymentów, jednak współpracownicy profesora, opowiadając o prowadzonych przez niego badaniach, wspominali o „królikach doświadczalnych”.

„Większość zarządzeń dotyczących medycznych przedsięwzięć w obozach koncentracyjnych należała do kategorii spraw tajnych wagi państwowej”[20]; podobnie zresztą wyglądał status dokumentacji dotyczącej przebudowy koszar w Klein-Schönau na zakłady Junkersa. Naukowiec nigdy by tego nie zrobił, ale dziennikarzowi wolno zadać pytanie: czy „fabryka preparatów medycznych” w piwnicach obecnego szpitala w Sieniawce mogła mieć jakiś związek z produkcją części do odrzutowców? A może tutejsi lekarze również przygotowywali się do badań? Jeśli tak, to do jakich?

\*

Odpoczywam w pobliżu placu zabaw i wpatruję się w okna przyziemia najbliższego budynku. Kompletnie nic nie przychodzi mi do głowy, idea przeprowadzania eksperymentów w tym miejscu ciągle do mnie nie przemawia. Czasami domy rozmawiają z ludźmi, tak jak zmarli usiłują coś przekazać Jasiowi. Wsłuchuję się więc w ciszę, licząc na... sama właściwie nie wiem na co.

Cicho siada koło mnie kobieta z pomalowanymi czerwoną pomadką ustami. Ta sama, którą widziałam pierwszego dnia przy huśtawkach. Teraz też pali papierosa. Jej szminka jest tak intensywna, że wydaje się fantazyjnym kwiatem przyklepionym do zmęczonej twarzy nieznajomej.

– Jak pani myśli, dlaczego zmarli tu krzyczą? – Wiem doskonale, że może wziąć mnie za wariatkę, ale impuls każe zadać to pytanie.

– Jak będą cicho, to ludzie pozapominają – odpowiada tak naturalnie, jakbym pytała o godzinę. Upuszcza na ziemię niedopałek, przyciska czubkiem buta. Przez chwilę spogląda na mnie nieobecny wzrokiem i odchodzi w kierunku szpitala. To miejsce sprawia, że człowiek naprawdę czuje się dziwnie.

## ROZDZIAŁ VIII



## PREPARAT

Preparat anatomiczny – odpowiednio przygotowane martwe ciało ludzkie lub zwierzęce, służące do doświadczeń w celach naukowych.

*Słownik ilustrowany języka polskiego Michała Arcta, Warszawa 1916*

„Niemcy doby Republiki Weimarskiej były pierwszym zachodnim krajem, który wprowadził ustawodawstwo dotyczące doświadczeń na ludziach, i [...] naziści nigdy tego prawa nie znieśli. Dwudziestego ósmego lutego 1931 r. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przygotowało szczegółowy przewodnik «o nowych metodach leczenia i eksperymentach na ludziach» na podstawie dyrektywy, którą pruskie Ministerstwo Spraw Religijnych, Edukacyjnych i Medycznych przesłało 29 grudnia 1900 r. do wszystkich szpitali i klinik.

Uczyliło to po skandalu wywołanym rok wcześniej, kiedy to opinia publiczna dowiedziała się, że w 1892 r. Albert Neisser, profesor dermatologii i wenerologii Śląskiego Uniwersytetu Fryderyka Wilhelma w Breslau (Uniwersytetu Wrocławskiego), odkrywca dwoinki rzeżączki, szukając sposobu na zapobieganie kile, wstrzyknął surowicę pobraną od chorych pacjentów ośmiu kobietom w wieku od 10–24 lat, przyjętym do szpitala z innych powodów. Neisser nie poinformował ich o eksperymencie ani nie prosił o zgodę, a gdy cztery z nich zaraziły się chorobą, doszedł do wniosku, że szczepienie surowicą nie wytworzyło w nich żadnej odporności. Został postawiony przed sądem, gdzie bronił się, twierdząc, że

kobiety zaraziły się chorobą w sposób naturalny, trudniąc się prostytutką. Kiedy zapytano go, dlaczego nie poprosił o zgodę, odpowiedział, że takowa miałaby wartość tylko «w przypadku ludzi zdolnych, dzięki swoim doświadczeniom i wiedzy, do zrozumienia prawdziwego znaczenia możliwych zagrożeń»[21].

Mimo że został skazany „za niezyskanie zgody [pacjentek] lub ich przedstawicieli prawnych”, ukarano go tylko grzywną w wysokości trzystu marek. Manuel Moros Peña przypomina o tym w książce *Lekarze Hitlera. Zbrodnicza medycyna*[22]. W samym Wrocławiu to mało znana historia, przeciętnemu mieszkańcowi miasta Neisser kojarzy się z jego bajkową willą w stylu renesansowego zameczku[23] niedaleko Scheitniger Park[24]. Zachowały się jedynie zdjęcia rezydencji – po śmierci właściciela w 1916 roku mieściła ona muzeum, potem została skonfiskowana przez nazistów ze względu na żydowskie pochodzenie lekarza.

„Aby uniknąć powtórzenia się podobnych przypadków, ministerstwo opracowało zestaw norm etycznych dotyczących badań na ludziach, w którym ostrzegano dyrektorów medycznych, że jakiegokolwiek działania lekarskie inne niż diagnoza, leczenie i szczepienie są zabronione, jeśli «istota ludzka jest niepełnoletnia lub nieuprawniona z innych powodów» albo gdy nie udzieliła «jednoznacznej zgody» po «odpowiednim wyjaśnieniu ewentualnych negatywnych skutków». Wszystkie badania z udziałem ludzi powinny być wykonywane przez szefów poszczególnych instytucji lub upoważnionych przez nich lekarzy, a zarówno świadoma zgoda, jak i konsekwencje doświadczeń powinny zostać wpisane do dokumentacji medycznej pacjentów” – kontynuuje Peña[25]. Wspomniane wytyczne nigdy jednak nie stały się normą prawną. W 1931 roku niemieckie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wydało co prawda okólnik zakazujący prowadzenia bez zgody pacjenta badań innych niż lecznicze, również nowatorskie metody lekarz mógł wdrożyć tylko wtedy, gdy chory został poinformowany o ewentualnych skutkach ubocznych i wyraził na to zgodę, ale... pewien rodzaj „materiału badawczego” okazał się dostępny na stałe. Od 1933 roku



lekarze i studenci medycyny mogli do woli eksperymentować ze zdrowiem i życiem tych przedstawicieli swojego gatunku, których czekała egzekucja.

Zanim Hitler objął władzę, kara śmierci wykonywana była w Niemczech na nie więcej niż dwudziestu więźniach rocznie. Nowy porządek przyniósł jednak nowe zwyczaje. Kara śmierci objęła teraz nie tylko kryminalistów, ale też ludzi „niepasujących” do systemu, politycznie niewygodnych, „zdrajców” narodowego socjalizmu. Z ciał ofiar chętnie korzystały uczelnie medyczne – niemal każdy instytut anatomii miał umowę z pobliskim więzieniem, które dostarczało materiał badawczy dla studentów. Wykorzystywanie ciał po egzekucjach było powszechną praktyką w III Rzeszy. Do tego zgodną z prawem. Osiemnastego lutego 1939 roku minister edukacji III Rzeszy wydał dekret, na mocy którego wszystkie ciała poddanych egzekucji więźniów wysyłane miały być do najbliższej placówki naukowej zajmującej się badaniami anatomicznymi.

Profesor William E. Seidelman z Uniwersytetu w Toronto poświęcił życie śledztwu dotyczącemu badań anatomicznych w nazistowskim Wiedniu. Dziś twierdzi, że w każdym uniwersyteckim instytucie anatomicznym w III Rzeszy – i prawdopodobnie w Austrii – odbywały się eksperymenty na zwłokach ofiar hitlerowskiego terroru, w szczególności ofiar politycznych. Tak samo musiało być w przypadku ówczesnego Wrocławia, stolicy Niederschlesien, choć skali przedsięwzięcia nie można porównać na przykład do Wiednia, gdzie pomiędzy gmachem sądu a uniwersyteckim prosektorium uruchomiony został specjalny tramwaj do przewożenia zwłok. Instytut Anatomii tamtejszego uniwersytetu otrzymał prawie tysiąc czterysta zwłok z sali egzekucyjnej Gestapo przy sądzie okręgowym. Szefem instytutu był wówczas Eduard Pernkopf, profesor anatomii, członek NSDAP, fanatyczny nazista niekryjący uwielbienia dla „wielkiego wizjonera”, za jakiego uważał Adolfa Hitlera. Propagował narodowosocjalistyczną medycynę, zaprzągnął też anatomie do forsowania swoich poglądów na kwestie rasowe. Był wielkim zwolennikiem eutanazji, chciał eliminować wszystkich „nieprzystających do współczesnego społeczeństwa”. Swoje płomienne

przemówienia kończył potrójnym „Sieg Heil”. Nie bez powodu profesor został dziekanem uczelni zaraz po anszlusie Austrii.

Jeszcze w 1929 roku Pernkopf zaczął pracę nad dziełem swego życia, wielkim atlasem anatomicznym *Topographische Anatomie des Menschen*. Przez ponad sześć dziesięcioleci wspaniale ilustrowany atlas uchodził nie tylko za naukowe dzieło sztuki, ale też za wzorcowy podręcznik. Dopiero w 1996 roku wyszło na jaw, że Pernkopf, „miłośnik muzyki, kompozytor, wielki badacz i humanista”, przygotowując atlas, korzystał z ciał zamordowanych więźniów politycznych. Do 1939 roku zwłok ciągle brakowało, a potem, zgodnie z sugestiami, „preparaty” pozyskiwane były również z terenów okupowanej Polski. Pernkopf pracował jak szalony, czasem po osiemnaście godzin na dobę, nie wahał się też wykorzystywać dzieci – ofiar eugenicznej eutanazji. Sumienie już dawno stało się towarem deficytowym, z czasem zmarłych mieli zastąpić żywi.

Carl Schneider, profesor psychiatrii z Uniwersytetu w Heidelbergu, wykorzystał program eutanazji do własnych zdeprawowanych badań. Schneider oceniał pod względem psychologicznym skazane na śmierć dzieci. Po zamordowaniu maluchów zbierał ich mózgi i je badał, próbując zweryfikować postawione wcześniej hipotezy. Doktor Julius Hallervorden z Berlina stworzył prawdopodobnie największy na świecie zbiór mózgów ze zmianami neuropatologicznymi, które pobierał od pacjentów szpitali psychiatrycznych. Doktor Hermann Stieve z berlińskiego szpitala Charité bawił się emocjami młodych kobiet. Interesowało go, jak u skazanych zmienia się cykl menstruacyjny wskutek stresu po tym, jak zostały poinformowane o dacie wykonania egzekucji. Według niektórych świadków, choć nie zostało to ostatecznie potwierdzone, „lekarza” zajmowała również tematyka „migracji spermy”, stąd skazane kobiety tuż przed śmiercią były gwałcone.

W czasach nazizmu niemal każdy uniwersytet miał swojego Pernkopfa.

Swoich Pernkopfów miały też obozy, Pernkopfów wynajmowały niektóre koncerty. Dlaczego w Sieniawce miałyby być inaczej?

## ROZDZIAŁ IX



## STO OSIEMDZIESIĄT SŁOIKÓW

– Najpiękniejszy jest układ oddechowy. Niebiesko-różowy, wygląda jak korona drzewa namalowanego przez japońskiego mistrza. Natura stworzyła perfekcyjne narzędzie do oddychania, dzieło sztuki na co dzień zamknięte w ludzkim ciele. Uwielbiam przychodzić tutaj i na nie patrzeć. Układ oddechowy opiera się na metalowym stojaczku, który jest pniem całej konstrukcji. Obok kolejne preparaty, niektóre większe, inne malutkie, subtelnie prezentują się na szklanych półkach. Sto lat temu półki zostały zamknięte w eleganckich, kremowych regałach. Regały natomiast, jak posłuszni żołnierze, stoją w rzędach, strzegąc schowanych w nich eksponatów.

Doktor nauk medycznych Ryszard Kacała, adiunkt w Zakładzie Anatomii Prawidłowej Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu, siedzi przy współczesnym już stoliku w taki sposób, że całe to nieożywione wojsko ma w tle. Doktor Kacała zajmuje się historią medycyny i wprowadził mnie teraz do Muzeum Anatomii. Cała kolekcja, jeszcze poniemiecka, mieści się zaledwie kilka kroków od Zakładu Medycyny Sądowej, blisko stąd również do budyneczku, w którym pracuje prof. Tadeusz Dobosz.

– Mamy tu ponad dwa tysiące preparatów, z różnych okresów – tłumaczy dr Ryszard Kacała. – Wiem, że jeszcze po II wojnie światowej w muzeum znajdowała się też odpowiednia dokumentacja, ale trudno powiedzieć, co się z nią stało.

Studenci oglądają tu wypreparowane fragmenty ludzkiego ciała. To znakomite, fachowo wykonane pomoce naukowe.

Stoły z Sieniawki ciągle nie dają mi spokoju. Intuicja każe szukać u źródeł, tam, gdzie wcześniej powstawały typowe preparaty anatomiczne. Druga wojna światowa to historia wielkiej grabieży. Od zbiorów sztuki, archiwów, oszczędności, domów po obcinanie włosów i wyrywanie złotych zębów więźniom obozów koncentracyjnych. Ale okraść można również ze zdrowia, z życia, a w czasie II wojny światowej brały w tym udział prestiżowe instytucje. Zmarłych również można złupić. To właśnie robili lekarze Hitlera. Ich makabryczne łupy stały się niemymi świadkami tamtych czasów.

Cały czas idę po omacku, dlatego zapukałam do drzwi uczelni, która do 1945 roku była niezwykle istotnym ośrodkiem dla całego Dolnego Śląska. Uniwersytet Medyczny im. Piastów Śląskich we Wrocławiu ma długie tradycje. Komplex budynków z czerwonej cegły, z przepięknie zaprojektowanymi wnętrzami, był świadkiem licznych odkryć i oszałamiających karier. Na internetowej stronie uczelni wielkie nazwiska: prof. Jan Mikulicz-Radecki, pomysłodawca nowych technik operacyjnych i narzędzi chirurgicznych, jeden z pionierów antyseptyki i aseptyki, prawdopodobnie jako pierwszy stosował maski zasłaniające usta i nos. Carl Wernicke, niemalże równoletek Radeckiego, psychiatra i neurolog, który jako pierwszy opisał afazję<sup>[26]</sup> czuciową i wskazał część kory mózgowej odpowiedzialną za rozpoznawanie mowy. Mimo mrocznego epizodu w karierze jest i Albert Neisser, dermatolog i wenerolog, odkrywca bakterii wywołującej rzeżączkę. Alois Alzheimer rozpoznał objawy choroby, która wzięła nazwę od jego nazwiska. I w końcu Kurt Gutzeit, specjalista chorób wewnętrznych wciągnięty przez uczelnię na listę lekarzy o „osiągnięciach na trwałe zapisanych na kartach historii medycyny”. To ostatnie nazwisko naprawdę zaskakuje.

Kurt Gutzeit, rocznik 1893, przez jakiś czas studiował w Jenie. W 1933 roku wstąpił do SS, rok później otrzymał posadę we Wrocławiu. Kiedy Niemcy zaatakowali Polskę, był już w randze SS-Hauptsturmführera. Nienawidził Żydów. W czasie wojny był jednym z „lekarzy konsultantów” Grupy Dydaktycznej C,

w której skupione były instytuty badawcze Wojskowej Akademii Medycznej. W październiku 1940 roku, z inicjatywy Gutzeita, jego asystent dr Hans Max Voegt (od 1937 roku SS-Unterscharführer) rozpoczął próby „przenoszenia żółtaczk z człowieka na człowieka”. Innym współpracownikiem Gutzeita był Arnold Dohmen – on z kolei jako pierwszy zwrócił się do Karla Brandta (tego samego, który zdecydował o zabiciu śmiertelnym zastrzykiem niepełnosprawnego Kretschmara) z postulatem, żeby bardziej zaawansowane testy wątrobowe przenieść z myszy na ludzi. Wrocławskie doświadczenia były kontynuacją „badań” na anglojęzycznych jeńcach wojennych prowadzonych przez bakteriologa Friedricha Meythaler na Krecie. Żółtaczka, spory problem w niemieckiej armii, „osłabiała szeregi wojska” – jak podawały raporty. Gutzeit zaaprobował pomysł swoich asystentów, żeby przeprowadzić próby na chorych, podopiecznych prof. Wenera Villingera w Breslau. Villinger, psychiatra dziecięcy, zwolennik sterylizacji i aktywny uczestnik akcji T4, pracował w tym czasie w klinice dla nerwowo chorych. Kolegom z uniwersytetu bezproblemowo pozwalał wykorzystywać swoich pacjentów. Szefem instytutu anatomii w tamtym czasie był Wilhelm Blotevogel, ulubieniec narodowych socjalistów.

Oglądam teraz zdeformowane czaszki, odcięte głowy przywiezione nie wiadomo stąd. Narządy, układy, mózgi... każdy aspekt ludzkiego ciała ma swoje miejsce na jednej z półek. Geneza tego zbioru sięga początków XIX wieku, jednak dopiero w latach 20. XX wieku kolekcja ponad dziewięć tysięcy preparatów została przekształcona w muzeum anatomiczne. Przez lata była uzupełniana. Zmarłych uwięzionych w słojach mogli odwiedzać ciekawscy spoza uczelni, ale wyłącznie pod opieką przewodnika, który wyczerpująco opisywał poszczególne preparaty. Niezwykłe jest to, że wejścia odbywały się wyłącznie w grupach męskich lub żeńskich. Edukacja – tak, koedukacja – nie. Obok preparatów „mokrych”, zanurzonych w formalinie, i „suchych” stoją modele ludzkiego ciała i jego organów. Na pierwszy rzut oka przypominają eksponaty w muzeum sztuki nowoczesnej. Gipsowe oko wielkości dużej piłki można rozebrać na kawałki. Podobnie wątrobę.

– Studenci przychodzą tu w nagrodę, ale nie pozwalamy im robić zdjęć. W końcu w gablotach leżą ludzkie szczątki – mówi lekarz. – W ten sposób zmarli uczą żywych. A zmarłym należy się szacunek. Fotografowanie preparatów anatomicznych nie byłoby etyczne.

Na uczelni krąży jednak anegdota o prof. Tadeuszu Marciniaku, wybitnym anatomie ze Lwowa, który po wojnie oprowadzał po muzeum studentki pierwszego roku. Profesor był podobno typem, który niektórzy nazywają figlarnym, zaczął więc od nieco pikantnych interpretacji nazw łacińskich.

– Oto – wskazał na męski narząd płciowy – *penis priapus fascinatus*, stąd niektórych mężczyzn nazywamy fascynującymi! [27]

Omawiając dalej tę samą część ciała, wskazywał na różnice etniczne, na końcu zaś oświadczył zdumionym słuchaczkom, że „największe mają górale”. Oburzone bezpośrednio wykładowcy dziewczęta poprosiły o więcej skromności, bo inaczej opuszczają salę. Profesor spojrział na zegarek.

– To szybciotko, szybciotko – rzucił. – Najbliższy pociąg do Zakopanego odjeżdża za pół godziny! [28]

W miejscach takich jak to sacrum i profanum wirują we wspólnym tańcu. Ludzie się rodzą, a potem umierają. To naturalna kolej rzeczy. Uśmiecham się na wspomnienie skromnych studentek Marciniaka, ale nagle pojawia się przede mną dziecięca twarz. Niewinna, spokojna. Dziewczynka przytuliła nosek do szyby, ma zamknięte oczy, jakby na chwilę przysnęła. Jej jasna skóra została... świetnie zakonserwowana. Ściśnięta w wysokim słoju, przypomina lalkę, którą ktoś zaprojektował tak, żeby wyglądała jak niemowlę.

– Zapomniałem powiedzieć... Dla mnie to oczywiste. Mamy tutaj sto osiemdziesiąt takich słoików z płodami w różnych fazach rozwoju – mówi Ryszard Kacała. – Makroskopowo można stwierdzić, że część z nich ma wady genetyczne.

Słucham uważnie.

– To bardzo delikatny temat. – Mój rozmówca ścisza głos, jakby bał się, że dzieci ze słoików coś usłyszą. – Podając kobietom w ciąży pewne leki, można

spowodować wadę. Dopóki nie przebadamy tych preparatów, nie będziemy wiedzieć, co wywołało zmiany: chemia czy genetyka. Alkohol i formalina, w której zanurzone są płody, zniszczyły nici DNA. Próbuje w tej sprawie nawiązać współpracę z profesorem Doboszem.

Mam wrażenie, że wszystkie drogi z Sieniawki wiodą do profesora Dobosza.

Zakład Anatomii Prawidłowej mieści się w najstarszej części wrocławskiej uczelni. Legendy głoszą, że stąd aż do odległego w prostej linii o czterysta metrów placu Grunwaldzkiego biegnie tajemny tunel. Jeśli wierzyć kolejnej legendzie, pod „Grunwaldem” Niemcy wybudowali ogromny podziemny szpital. Choć na placu powstała galeria handlowa, a jej budowa wymagała głębokich fundamentów (i szpital się nie znalazł), wiele osób nie może w jego brak uwierzyć. Wojenna historia miasta stworzyła setki opowieści, w których prawda i fikcja zlały się w jeden twór – jego wiarygodności nikomu nawet nie chce się podwahać. Również budynki „anatomii” działają na wyobraźnię. Przypominają słynny szpital Charité w Berlinie. W połowie okazałej klatki schodowej wisi kopia *Lekcji anatomii doktora Tulpa*. Rembrandt namalował ten obraz w 1632 roku. Grupa chirurgów pochyla się na nim nad zimnoszarym ciałem zmarłego – to część publicznej sekcji zwłok, na które w dawnych czasach sprzedawano bilety. W nowożytnej Europie pierwsze płatne wejściówki do teatru pojawiły się dopiero około 1500 roku, za sekcje zwłok gapie płacili już sto lat wcześniej.

Naprzeciwno schodów znajdują się drzwi do gabinetu dr. n. med. Zygmunta Domagały, który pełni obowiązki kierownika Zakładu Anatomii Prawidłowej. Za każdym razem, kiedy naukowiec opuszcza swój pokój, ma szansę ujrzeć w oddali ponure dzieło Rembrandta. Sława dr. Domagały kroczy przed nim, studenci go uwielbiają, pacjenci mówią o jego konsultacjach w samych superlatywach. Spotkanie z nim nie zostawia żadnych wątpliwości: to barwna osobowość. Do tego pasjonat. Mówi szybko, konkretnie, nie unika żadnego tematu.

– Mamy bardzo skąpe dane dotyczące historii naszego zakładu w czasie II wojny światowej. Na dodatek są to wyłącznie relacje dawnych pracowników, którzy przyjechali tu w 1945 roku i z pokolenia na pokolenie przekazywali swoje

wspomnienia. Pomiedzy styczniem 1945 i styczniem 1946 roku jest czarna dziura. Nawet jeśli niemieccy lekarze prowadzili tu nieetyczną działalność, to brak na to dowodów, jedynie dokładne zbadanie preparatów mogłoby dać jakieś odpowiedzi – tłumaczy dr Domagała.

Zdaje się, że mam pecha. Nitka, która miała doprowadzić mnie do rozwiązania zagadki, nagle się urwała.

– A te płody? Sto osiemdziesiąt preparatów to chyba dużo?

– Dużo? Ich było ponad tysiąc pięćset, ale w tym wypadku sprawa jest czysta. Za to daję głowę. Tworzenie tej kolekcji zakończyło się w 1933 roku, więc nie mogło mieć zbrodniczego charakteru, choć też nie ma pewności, czy pojedyncze preparaty nie były później wymieniane, a jeżeli tak, to w jaki sposób pozyskiwany był materiał. Oczywiście, jeżeli całe Niemcy grały zgodnie z zasadami nazistowskiej etyki, dlaczego nie miał robić tego Wrocław? Z częścią preparatów rozprawili się radzieccy żołnierze, kiedy weszli do Breslau, dokumenty dawnego zakładu zaginęły w latach 60. XX wieku. Natomiast wiem na pewno, że od 1937 do 1944 roku na naszą anatomię trafiało osiemset ciał rocznie.

Doktor Domagała nagle zastyga, jakby go coś zastanowiło. Osiemset ciał rocznie?

– To rzeczywiście sporo, obecnie przyjmujemy rocznie dziesięć. W czasach komunistycznych, w których też trudno mówić o etyce, było ich w największych porywach pięćdziesiąt – mówi ostrożnie naukowiec. – W czasie II wojny światowej przyczyny śmierci były najczęściej opisane jako powieszenie lub utonięcie. Kto wie, czy nie było to zakamuflowane określenie egzekucji ofiar reżimu? A może to zwykły przypadek?

– Co dalej działo się z ciałami?

– Sekcje? Badania naukowe? Materiał na preparaty? Z przekazów ustnych dawnych pracowników i starszych wykładowców wiem, że w 1945 roku była tu ogromna liczba kończyn. Sądzę, że Niemcy przygotowywali je do celów dydaktycznych, ostatnie przyjęcie ciała odnotowane zostało 24 stycznia 1945 roku.



Wrocław stał już wtedy w ogniu. Żeby naukowo opracować te wszystkie ciała, musiano by zaangażować do stałej pracy około czterdziestu ludzi. Tymczasem w literaturze fachowej z tamtych czasów trudno znaleźć nazwiska tutejszych lekarzy. To wszystko rzeczywiście wymaga dokładniejszego przyjrzenia się.

Chcę zobaczyć, jak wyglądają przedwojenne kadzie, w których przetrzymywane były niegdyś ciała. Być może uda się je porównać z tym, co znajduje się w Sieniawce.

Studenci, którzy pracują ze zmarłymi, od razu przy wejściu do budynku skręcają w prawo. W ciągu sal podtrzymywanych przez wyprofilowane kolumny pochylają się nad fragmentami zwłok wyciągniętych z formaliny.

Zostawiam gabinet dr. Domagały i razem z Ryszardem Kacałą idę w kierunku uczelnianych piwnic. Droga do nich wiedzie przez sale warsztatowe. Podobnie jak w całym budynku, i tutaj panuje atmosfera pewnej starodawnej elegancji. W różnych miejscach wiszą wielkoformatowe tablice z kolorowymi rycinami przedstawiającymi układ mięśniowy. To właśnie one nadają tym wnętrzom klimat. W dwóch białych pokrowcach czekają na swoją kolej umarli. Jeszcze za życia chcieli być przydatni, więc zapisali swoje ciała jako dar dla uczelni. Zanim przyszli lekarze położą ich szczątki na stołach, zmarli przez prawie rok śpią w formalinie. Służy do tego zamykany „basen” znajdujący się na jednej z najniższych kondygnacji, towarzyszy mu też zresztą stół sekcyjny z oświetleniem. Na poziomie, gdzie odbywają się zajęcia, również stoi prostokątna, okafelkowana kadź. Jest niemal identyczna jak ta, którą widziałam w piwnicach dawnych zakładów Junkersa.

– W takich zbiornikach trzymamy fragmenty ludzkich szczątków – mówi mój przewodnik.

– A do czego mogły służyć „betonowe trumny”?

Nie widzę takich na uczelni.

– Nie mam pojęcia, ale z pewnością takie zbiorniki nie mogą być otwarte. To marnowanie formaliny i niebezpieczeństwo dla osoby pracującej ze szczątkami.

– „Betonowe trumny” w Sieniawce mają na obrzeżach otwory, może były czymś przykryte?

– Może...

Zakłady Junkersa i podziemie medyczne w tym samym miejscu. Dwa elementy układanki to wciąż za mało, żeby wyciągać wnioski.

– Pani naprawdę myśli, że po takiej działalności cokolwiek by zostało? Pierwszym posunięciem Himmlera po przekazaniu Gestapo SS było określenie tajności jako podstawowej zasady działań. „Nie interesuj się tym, co dzieje się w całej służbie; to, o czym wiesz, zachowaj dla siebie” – to była jego dewiza. Wszystkie sprawy zostały podzielone na cztery stopnie tajności: tajne, ściśle tajne, sprawy tajne wyłącznie do wiadomości szefa oraz sprawy tajne wagi państwowej. Do tej ostatniej kategorii należała większość zarządzeń dotyczących medycznych przedsięwzięć w obozach koncentracyjnych. Sądzi pani, że w samym Wrocławiu nic się nie działo? Wszyscy mówią o Auschwitz, Ravensbrück, Dachau. A doktor Buhtz to nie eksperymentował? Może to jest ślad – podpowiada mi jeden z pracowników Zakładu Medycyny Sądowej we Wrocławiu.

Buhtz? Nazwisko brzmi znajomo.

Tadeusz Dobosz kiwa tylko głową.

– Wybitny naukowiec, rasista, nazista, polakożerca. Znalazłem jego ciekawe materiały dotyczące seroantropologii[29]. Gerhard Buhtz wymienił w swojej pracy Polaków, ale Polski w niej nie było. Dla niego Polska nie istniała, nawet Generalnej Guberni nie wziął pod uwagę. Ale zasłużył się w Katyniu. Od 1 marca do 10 czerwca 1943 roku kierował zespołem, który prowadził ekshumacje polskich oficerów, i udokumentował, że zrobili to Rosjanie. To z czasów Buhtza pochodzi prawdopodobnie większość zdjęć i preparatów sprzed 1945 roku, które się u nas zachowały. To on przywiózł do Wrocławia kilka czaszek ofiar z Katynia.

Profesor Buhtz? Zobaczmy, co ma do powiedzenia.

## ROZDZIAŁ X



## PROFESOR OD UCIĘTEJ GŁOWY

Gerhard Buhtz nie miał daleko do pracy. Kiedy rano wychodził z kamienicy przy Auenstrasse 13, w drodze do instytutu przez chwilę mógł cieszyć się słońcem. O tej porze dnia promienie przyjemnie ogrzewały mu tył głowy. Profesor, mężczyzna po czterdziestce z blizną na twarzy, zamieszkał w Breslau w 1938 roku. Podobnie jak Mengele w Auschwitz, tak i Buhtz przybył do miasta już w blasku pewnej sławy. Był dumnym ze swoich dokonań, fanatycznym członkiem NSDAP i SS. Na front I wojny światowej zgłosił się jako ochotnik. Po powrocie skończył studia medyczne, po których został mu ślad cięcia na twarzy – w młodości, wzorem innych kolegów z korporacji studenckiej, Gerhard się pojedynkował i z tego względu przez resztę życia jego nieco nalane policzki, a także okolice wydatnych, kobieco kapryśnych ust, szpeciła głęboka bruzda. Po uzyskaniu dyplomu lekarz szybko zaczął robić uniwersytecką karierę. W wieku dwudziestu sześciu lat obronił doktorat. Pracował między innymi w Rostocku, Królewcu, Heidelbergu. Korespondował z największymi sławami ówczesnego świata niemieckiej medycyny, w tym Leonardo Contim, szefem Departamentu Zdrowia Publicznego, zaufanym Hitlera i późniejszym naczelnym lekarzem III Rzeszy. Siostra Buhtza wyszła za mąż za Christopa Grundmanna, chemika współpracującego z nazistowskim przemysłem, znanego z udziału w programie atomowym, a także z częściowego opracowania syntezy witaminy B6 i zdradzieckiej próby sprzedania

patentu szwajcarskiej F. Hoffmann-La Roche AG. Firma funkcjonuje do dziś, zaś mając takiego szwagra, profesor trzymał rękę na pulsie w wielu sprawach. Pierwszego maja 1933 roku został członkiem NSDAP (nr 3171323) i SS (nr 100376), co – między innymi również dzięki poparciu ministra edukacji Rzeszy – zapewniło mu awans i fotel dyrektora Instytutu Medycyny Sądowej w Jenie. Studiował tam wcześniej Gutzeit, ten, który eksperymentował na chorych psychicznie w Breslau. W Jenie Buhtz zastąpił dyrektora Ernsta Gieseego. Giese dał się poznać jako człowiek z mocnym kręgosłupem, w czasach narodowego socjalizmu ciągle uważał się za lekarza, który powinien służyć wszystkim, również Żydom. Buhtz nie podzielał tych poglądów. Podobnie jak wielu kolegów po fachu uważał, że prawdziwi Niemcy muszą walczyć o swoją życiową przestrzeń. Tę zaś należy oczyścić z „elementów gorszej jakości”. W 1937 roku, bez zbędnych pytań, rozpoczął współpracę z kadrą nowo powstałego obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Do zadań naukowca należało wykonywanie sekcji zwłok, zarówno członków SS, jak i samych więźniów. W tamtym czasie za druty Buchenwaldu trafiali głównie członkowie niemieckiego ruchu oporu, kryminaliści, świadkowie Jehowy, niekiedy homoseksualiści. Ich pierwszym zadaniem było wykarczowanie lasu na północnym zboczu Ettenbergu i postawienie sobie baraków. Wyłącznie własnymi rękami, bez dźwigów, koparek czy traktorów. Brak odpowiedniego wyżywienia, a niekiedy jego brak całkowity, dziesiątkowały „budowniczych”. Z czasem warunki bytowe jeszcze się pogarszały, szczególnie żydowscy więźniowie zaczęli być traktowani wyjątkowo okrutnie.

Buhtz nie miał żadnych wątpliwości; taki porządek świata mu odpowiadał, zarówno jako lekarzowi, jak i człowiekowi. Bez pytań, bez wahań wykonywał swoją robotę. Mimo że i dziś uznawany jest za wybitnego naukowca, wątpliwą kwestią pozostaje, na ile uczciwe były jego raporty. Ile z nich spreparował, aby uzasadnić konieczność zabijania? Co ciekawe, nie podpisywał się w nich swoim nazwiskiem, tylko jako „SS-Hauptscharführer w SD w Jenie”.

Wszystko szło jak po maśle do 13 maja 1938 roku. Wówczas to podczas próby ucieczki dwóch więźniów zabiło dwudziestodwuletniego SS-Rottenführera Alberta

Kallweita. Młody kapral został raniony w głowę, a profesora musiało coś wyjątkowo zaintrygować, mimo że habilitował się w dziedzinie ran postrzałowych. Zamiast przeprowadzić na miejscu sekcję zwłok, tak jak miał to w zwyczaju, odciął głowę chłopaka i zabrał ją ze sobą do instytutu w Jenie. Miał do przejechania niecałe trzydzieści kilometrów. Wystarczająco niewiele, żeby zapewnić sobie nieco komfortu przy pracy. Buhtz zbierał ciekawe przypadki, i to w dosłownym tego słowa znaczeniu. Być może głowa Alberta Kallweita miała stać się częścią kolekcji, choć wydaje się to mało prawdopodobne.

Naukowiec miał pecha. O odciętej głowie esesmana został poinformowany Heinrich Himmler, Reichsführer-SS. „Wódz SS w całej Rzeszy” wpadł we wściekłość. Miejskowa prasa, podobnie jak pismo SS „Das Schwarze Korps”, starały się przedstawić Kallweita jako bohatera, żołnierza stawiającego opór siłom wrogim bezpieczeństwu ojczyzny. Buhtz nie przewidział, że chłopak również po śmierci ma wiernie pracować w trybach nazistowskiej maszyny i odegrać rolę teutońskiego herosa opłakiwanego przez masy. Kapral bez głowy zupełnie nie pasował do tego obrazka. Himmler wyraził irytację w liście, który skierował do Ernsta Grawitza, szefa służby medycznej SS, notabene wyjątkowej kanalii.

„Wszędzie, gdziekolwiek się obejrzę, sekcje zwłok wykonuje się bez należytego szacunku. Moim zdaniem powinno się robić również badania czaszki, ale bez odcinania głowy. Czekam na wyjaśnienie, jak naprawdę przebiegła sekcja kaprała Kallweita, a jak została mi przedstawiona” – pisał.

Himmlera niepokoiło też to, jak zmarły będzie wyglądał w trumnie, którą SS zamierzało wystawić na widok publiczny. Rozkazał więc, aby lekarz sądowy (z całą pewnością nie mógł być to Buhtz) wydał stosowną opinię na ten temat. Miała ona pomóc w zrozumieniu, dlaczego kapral wygląda tak, jak wygląda. Odbyły się więc dodatkowe oględziny ciała. Przeprowadził je osobiście Sturmbannführer SS Werner Gerlach, dziekan Wydziału Patologii Ogólnej i Anatomii Patologicznej Uniwersytetu w Jenie. W praktyce oznaczało to, że od tamtego momentu to Gerlach będzie zajmował się sekcjami załogi obozu w Buchenwaldzie. Według zarządzenia dziekana „usuwanie części zwłok,

szczególnie głowy i jakichkolwiek członków, nie może mieć miejsca, działania tego typu mają być zastąpione przez szkice bądź fotografie”. W razie konieczności zrobienia wyjątku zgodę na dekonstrukcję zwłok musiał wyrazić szef służby medycznej SS. Ciało esesmana było bowiem świątynią.

Gerhard Buhtz, główny bohater skandalu, uznał, podobnie zresztą jak jego zwierzchnicy, że jedno potknięcie nie oznacza jeszcze porażki. Lepiej jednak było usunąć się z pola rażenia przełożonych, tym bardziej że od pewnego czasu był również w konflikcie z Leonardo Contim, który stał na czele Departamentu Zdrowia Publicznego. Akurat nadarzała się stosowna okazja. Buhtz od kilku miesięcy prowadził negocjacje z uniwersytetem w Breslau. Miał tam objąć kierownictwo Institut für Gerichtliche Medizin und Naturwissenschaftliche Kriminalistik, czyli dzisiejszego Zakładu Medycyny Sądowej. Z archiwalnej korespondencji, która dzisiaj znajduje się w prywatnych rękach, wynika, że stawiał bardzo wygórowane warunki. Od pensji po wyposażenie gabinetu. W końcu obie strony doszły do porozumienia. Profesor spakował się i opuścił Jenę. Zabierał ze sobą dwóch asystentów.

\*

W 1938 roku Breslau żył ogólnoniemieckim świętem gimnastyki i sportu. Ulice ozdabiały logo Deutsches Turn- und Sportfest 1938, na szybach sklepów i kiosków wisiały jego reklamy, do miasta przyjeżdżały tysiące gapiów, na których czekały propagandowe broszury. Imprezy miały zacząć się w połowie lipca, a uczestnictwo w nich zapowiedział sam Hitler. Brunatne miasto, jakim był Breslau, oszalało. Gerhard Buhtz i jego żona Maria, również lekarka, otrzymali mieszkanie w szeregu pięknych secesyjnych kamienic, niemal w centrum tych wydarzeń. Zaledwie kilkaset metrów dalej rozciągał się Scheitniger Park z ukrytym wśród zieleni japońskim ogrodem. Tuż za nim Hermann Göring-Sportfeld, Olympiastadion[30], na którym miały odbyć się najważniejsze uroczystości.

Pod tym samym adresem co Buhtzowie rezydował wraz z żoną Hermann Crux, wysoko postawiony oficer Schutzpolizei, podlegającej Himmlerowi tak zwanej

policji prewencyjnej. Medyk sądowy miał więc właściwych politycznie i wpływowych sąsiadów, okolica była zresztą niezwykle elegancka. Ton życia tej części miasta nadali naukowcy, głównie lekarze różnych specjalizacji, zatrudnieni przez uniwersytet na rozrzuconych wydziałach medycznych i w klinikach. Niegdyś przy ulicy, przy której znajdowało się mieszkanie Buhtza, pracował Alois Alzheimer. Naukowiec z Jeny od razu dobrze poczuł się w takim towarzystwie. Zanim rano wyszedł z domu, przy śniadaniu włączył radio. Lektor z żarem wygłaszał credo zbliżających się imprez:

„Nasi sportowcy muszą być żywym wyrazem ewangelii ciała, siły i jedności naszej woli. Wrocławskie ćwiczenia gimnastyczne staną się symfonią ciała, podczas której wielotysięczny chór sportowców w wielostronnych, ale silnych dyscyplinach wzniesie się w niebiańskiej harmonii: Dla Niemiec! Dla Ojczyzny! Dla Ojcowizny!”[31].

Teraz, kiedy Buhtz zwawym krokiem maszerował do instytutu, usiłował zapisać w pamięci nowy krajobraz, układ ulic i domów. Droga zabierała mu kilka minut, a lipcowy poranek sprzyjał spacerom. Siedzibą Katedry Medycyny Sądowej były – i są do dzisiaj – budynki z czerwonej cegły, ładne, choć nieco ponure, nie tylko ze względu na swój spatynowany kolor. Lekarze wykonują tu dziennie około sześciu sekcji zwłok. Pod budynek z XIX wieku, do którego współczesność dokleiła już nowoczesne sale sekcyjne, regularnie podjeżdżają auta z zakładów pogrzebowych. Przywożą i zabierają zmarłych. Na obdukcję przychodzą pobite bądź skrzywdzone w jakikolwiek inny sposób ofiary. Pokazują fachowcom siniaki, zadrapania, rany. Tutaj bez przerwy obcuje się z przemocą i ze śmiercią. Ich obecności nie są w stanie rozproszyć roześmiani studenci, którzy pojawiają się na zajęciach. Młodzież lubi robić sobie żarty. Kiedy po kilku sekcjach dzieciaki oswoją się z widokiem trupów, kiedy przeżyją rozcinanie czaszki, żeby móc obejrzeć ukryty pod nią mózg, kiedy w końcu nauczą się, że do smrodu rozkładającego się ciała można się przyzwyczaić – zaczynają dokazywać. Dziwne rzeczy wymyśla się, by okiełznać bliskość rzeczy strasznych, choć są i tacy, którzy

od razu traktują je jak oczywistą część życia. Im kanapka smakuje tak samo przed sekcją, jak i po niej.

W czerwonym budynku może przebywać każdy, ale już za przeszklone drzwi, które prowadzą do dwóch sal sekcyjnych w nowej części zakładu, wchodzi tylko pracownicy uczelni. W tych pomieszczeniach rozprawiają się z tabu. Dla kogoś, kto pierwszy raz idzie na sekcję, samo stanie pod drzwiami, wyobrażanie sobie, co może się za nimi dziać, bywa gorsze niż wszystko, co dzieje się potem. Potem już się wie, że szklane drzwi to jedynie granica, przejście do nowego postrzegania śmierci.

Gabinet prof. Buhtza, nowego szefa instytutu, podobnie jak gabinety wszystkich szefów przedtem i potem, mieścił się na pierwszym piętrze. To wielki przestronny pokój z trzema wyjściami. Jedno prowadzi do małego pokoju, drugie bezpośrednio na korytarz, trzecie do sekretariatu, przez który profesor mógł dostać się do kolejnego pomieszczenia, wąskiej i wysokiej dwupoziomowej pracowni z drewnianą antresolą oraz gablotami ciągnącymi się aż do sufitu. Tutaj, a także w drugiej identycznej sali składane były ciekawe preparaty medyczne, zniekształcone płody w słojach, syjamskie bliźnięta, fragmenty płuc sparzonych iperytem w czasie I wojny światowej, skóra z tatuażami, postrzelone czaszki, zasuszone głowy. Część preparatów to fragmenty ciała z tkwiącymi w nim pociskami lub innymi ciałami obcymi. Absolutnie unikatowe są preparaty, na których widać wpływ użytych w czasie I wojny światowej gazów bojowych, na przykład iperytu czy fosgeny, na tkankę ludzką. To właśnie przy ich konserwacji poparzył się prof. Dobosz. Osobny dział to „kolekcja fragmentów skóry z ciekawymi i dobrze zachowanymi tatuażami, typowymi między innymi dla dawnego świata przestępczego”[32]. Stoją tak do dzisiaj, ściśnięte na półkach, dla laika przerażające i tajemnicze. Relikt mrocznej przeszłości nauki. Straszniejsze niż muzeum anatomii. Kiedy patrzę na tatuaże, przychodzi mi na myśl jedno pytanie: z którym więzieniem mieli układ lekarze z Breslau?

Dzisiaj stworzenie takiej kolekcji nie byłoby możliwe, nie pozwala na to etyka badań naukowych. Dzięki katalogom z 1935 roku odnalezionym przez Michała



Wępsięcia wiadomo, że stało tu ponad dwa tysiące preparatów. Preparatów? Katalogi podają wiek i dane ludzi, z których ciał pobierano preparowane potem fragmenty, można również odnaleźć informacje na temat dat, kiedy zostały pobrane. Opisy są treściwe, a jednak dla laika przerażające: „Walter J., lat 7, mózg, wypadek na drodze, krwawienie płata czołowego”, „Topielec, skalp”, „Herman J., lat 30, 1910, pęknięcie wątroby, upadek z wysokości”. Niekiedy pojawiają się całe imiona i nazwiska. Ze spisu zamkniętych w słojach ludzkich szczątków wynika, że pewna siedemnastoletnia Anna musiała być przypadkiem wyjątkowo interesującym, jako że medycy zdecydowali się uwięzić w słoju jej śledzionę, wątrobę oraz fragment jelita. Niestety, dopasowanie pozycji z katalogów do preparatów jest prawie niemożliwie. Już po 1945 roku jeden z polskich pracowników pozdzierał wszystkie oznaczenia ze słoików w gablotach. Nie złośliwie, po prostu podczas sprzątnięcia. Na śmietniku wylądowały nie tylko klisze ze zdjęciami. W zapomnienie poszły fragmenty oryginalnej stolarki, tabliczki z drzwiami, a także klatki. Trzymane w nich były zwierzęta, których życiowym zadaniem stawało się w którymś momencie przyjęcie kuli z pistoletu. Lekarze sądowi badali następnie drogę pocisku, a swoich braci mniejszych oddawali do preparacji.

Po 1945 roku ten zbiór, nazywany roboczo muzeum medycyny sądowej, był uzupełniany, ale trafiały do niego wyłącznie eksponaty od początku „nieożywione”. Na regałach pojawiły się amatorskie pasy cnoty, samoróbki broni, dziwaczny strój zboczonego podglądacza dzieci, ale też broń z Gross-Rosen. W centralnym miejscu leży przepięknie zachowane, wiekowe instrumentarium do przeprowadzania sekcji zwłok. Takimi narzędziami operował Gerhard Buhtz, bardzo możliwe, że również w Katyniu, zresztą spora część tej ekspozycji śmierci pochodzi z jego czasów. W 2018 roku profesor Dobosz przywiózł kolejny pojemnik, tym razem z pływającym w środku „penisem żydowskim”. Ten zbrodniczy preparat został pobrany w czasie II wojny światowej w Instytucie Medycyny Sądowej w Krakowie. Od kwietnia 1940 roku instytutem kierował Werner Beck, niezrównoważony emocjonalnie i nadużywający alkoholu trzydziestolatek,

wcześniej asystent Buhtza z Breslau. Tadeusz Dobosz uważa, że po wymordowaniu ludności żydowskiej słów z penisem miał być pomocą dydaktyczną dla niemieckich studentów. W ten sposób mogli mieć szansę na zapoznanie się z wrogiem.

Gdyby nie zawartość szklanych pojemników, można by pomyśleć, że ten niewielki pokój z regałami wzdłuż ścian to spiżarnia. Tyle że gospodynie zwykle wieszają pomiędzy wekami warkocze czosnku, a nie zaciśnięte w pętle sznury po samobójcach.

Trzeba naprawdę hartu ducha, żeby ogarnąć to miejsce i nie zwariować.

Pomiędzy te słoje, a może w jakieś bardziej szacowne miejsce, Buhtz wstawi w 1943 roku fragment czaszki uznanej potem za czaszkę Janiny Lewandowskiej, jedynej kobiety zamordowanej w Katyniu. Ale w 1938 roku, w którym się zatrzymaliśmy, naukowiec nie wie jeszcze, że najważniejsze ekspertyzy w życiu wciąż przed nim – czekają na nadejście wojny.

To był ostatni spokojny rok w karierze tego uznanego w III Rzeszy medyka. Jako przewodniczący niemieckiego stowarzyszenia lekarzy sądowych i kryminalistów odwiedził Paryż. Napisał wybitną, jak na tamte czasy, pracę *Wypadek drogowy. Medyczno-sądowa analiza ze szczególnym uwzględnieniem wpływu alkoholu*. Wykładał orzecznictwo, kryminalistykę naukowo-przyrodniczą, wielokrotnie opiniował jako biegły. Przeczował jednak nadchodzące zmiany. W sierpniu 1939 roku wysłał do rektora uniwersytetu listę z nazwiskami pracowników, bez których nie widział możliwości dalszego funkcjonowania instytutu. Powołanie lekarzy do wojska było tylko kwestią czasu, a Buhtz zamierzał zawalczyć o zwolnienie z tego obowiązku potrzebnych mu ludzi. Przy okazji na listę wpisał swoją żonę.

Jeszcze w tym samym roku, 21 listopada, przedstawił rektorowi kolejny list, bardzo odważny, biorąc pod uwagę okoliczności. Piętnaście dni wcześniej w gmachu Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie Niemcy zebrali i aresztowali stu osiemdziesięciu trzech (według innych źródeł stu osiemdziesięciu czterech) polskich wykładowców. Był wśród nich prof. Leon Jan Wachholz, jeden z najwybitniejszych lekarzy sądowych XX wieku, autor

pierwszych nowoczesnych podręczników z tej dziedziny. Buhtz postanowił się za nim ująć.

„Ten niezwykle potrzebny naukowiec tylko z powodu nieszczęśliwego splotu wypadków został uznany za osobę wrogo nastawioną do III Rzeszy” – napisał.

W sprawie polskiego lekarza interweniował również honorowy przewodniczący Międzynarodowej Akademii Medycyny Sądowej. Kiedy pomiędzy różnymi instytucjami krążyły pisma wspierające Wachholza, ten siedemdziesięcioletni lekarz był już w obozie w Sachsenhausen. Został wraz z grupą profesorów zwolniony 8 lutego 1940 roku. Nigdy nie odzyskał zdrowia, zmarł kilkanaście miesięcy później.

W czasie gdy polska elita trafiała do piekieł rozrzuconych po setkach miejsc, Buhtz został powołany do Wehrmachtu jako wojskowy konsultant medycyny sądowej w VI Armii Grupy Środek. Jego pierwszym zadaniem było zbadanie „komunistycznych okrucieństw w krajach nadbałtyckich i łamania prawa międzynarodowego przez bolszewików”. Trzeciej Rzeszy zależało na dobitnym pokazaniu skali sowieckich zbrodni w rejonach, których mieszkańcy mogli okazać sympatię Hitlerowi. Buhtz spisał się doskonale. Poinformował rektora wrocławskiego uniwersytetu, że nie będzie go do połowy października, a po czterech miesiącach przedstawił wnioski z wyjazdu na konferencji w Berlinie.

Dzięki archiwom wiadomo, co działo się w czasie II wojny światowej na niemieckiej „sądówce”. Ostatnia autopsja przed wejściem Armii Czerwonej do Breslau odbyła się 28 października 1944 roku. Od stycznia tego roku lekarze wykonali w zakładzie czterysta pięć sekcji zwłok. To, statystycznie rzecz biorąc, około trzydziestu sześciu w miesiącu. W lutym 1945 roku, kiedy wokół ogłoszonego twierdzą miasta zaciskał się pierścień oblężenia, ostatni dyżurujący asystent instytutu opieczętował sale oraz gabinety i dołączył do rzeki uciekinierów z Festung Breslau. Miejska legenda mówi, że kiedy radzieccy żołnierze wtargnęli do zakładu, zainteresowali się ponurymi zbiorami prof. Buhtza. Kosztowało ich to życie, otworzyli bowiem część preparatów, żeby zde gustować płyn, w którym były zanurzone.

\*

Historie przedwojennych wrocławskich lekarzy to na razie jedyna cienka nitka, którą łączy mnie z Sieniawką. Jadę do Archiwum Państwowego we Wrocławiu, monumentalnej budowli zaprojektowanej zaledwie trzy lata przed przyjazdem Buhtza do miasta. Powstawała już w czasach profesora, mieścił się tu Neue Arbeitsamt[33], jego ściany zdobiła hitlerowska gapa. W katalogach znajduję kilka sygnatur z nazwiskiem Buhtz, ale okazuje się, że nie ma części dokumentów pod tymi oznaczeniami. Powódź w 1997 roku zniszczyła wiele zasobów archiwalnych w mieście, podobno są nie do odzyskania.

– Przecież z miesiąc temu jeden z wrocławskich muzealników przeglądał je w piwnicach archiwum. Muszą być – upieram się, kiedy w czytelnicy wydająca dokumenty przeprosza mnie kolejny raz i zapewnia, że usunie sygnatury ze spisów.

Wiem to na pewno. Miesiąc przede mną jeden z muzealników miał w rękach teczkę, której szukam. Robi się małe zamieszanie. Przychodzi kolejny pracownik i pyta, skąd wiem, że ktokolwiek był w piwnicach. Wiem i już. Ktoś prosi, żebym zostawiła swój numer telefonu, może coś da się zrobić. Wychodzę wkurzona i rozczarowana. Miało być łatwiej.

Za plecami mam jeszcze budynek archiwum, gdy dzwoni telefon.

– Pani wie, że w tych naszych piwnicach wszystko w grzybie po powodzi? Jak pani chce ryzykować, to proszę zadzwonić po wakacjach. Weźmie pani maseczkę i zejdziemy.

Czyli są. Porozmawiam sobie jeszcze z profesorem Buhtzem. Minie kilka lat, zanim przejrzę te dokumenty. Zaczynam powoli rozumieć, dlaczego rozwikłanie pewnych zagadek zajmuje czasem całe życie. Czekać, przeglądam zdjęcia w licznych archiwach, zwiedzam stare laboratoria, przeszukuję informacje o eksperymentach obozowych. Cały czas myślę o Buhtzu, kiedy nagle na ekranie komputera widzę znajomą twarz. Profesor Buhtz, ubrany w cywilny płaszcz, stoi w otoczeniu esesmanów. Towarzyszy im uśmiechnięta kobieta w kapeluszu, pomiędzy nią a lekarzem pozuje Anton Thumann, jeden z największych sadystów,

jacy kiedykolwiek służyli w obozach koncentracyjnych. „Pracował” między innymi w Gross-Rosen i na Majdanku. Na zdjęciu z United States Holocaust Museum w Waszyngtonie wygląda jak nieco młodszy Stanisław Mikulski w mundurze Hansa Klossa. Prezentuje się naprawdę dobrze. Przy jego nogach waruje piękny wilczur. Thumann jest jedyną osobą, którą archiwiści rozpoznali na tej fotografii. Czy się pomyliłam? Tak długo badałam sprawę Buhtza, że zaczęłam go widzieć wszędzie?

– Nie wiemy, kim jest ten człowiek – informują mnie pracownicy muzeum, ale na moją prośbę przesyłają skan zdjęcia w wysokiej, doskonałej rozdzielczości. Według mnie to Buhtz, ale nie mogę ryzykować pomyłki. Dzwonię z prośbą do dr. hab. Krzysztofa Borysławskiego, profesora Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, pracownika Katedry Antropologii. Profesor lubi wyzwania i jest człowiekiem pełnym fantazji. Kiedy w latach 90. chciał zbadać wrocławską mumię, nie wahał się wsadzić jej do poloneza i zabrać do Krakowa, gdzie z kolegą wwieźli ją jak żywą osobę do szpitala, żeby wykonać tomografię. Kiedy odtwarzał szkielet listonosza z XIX wieku udającego legendarną księżniczkę z zamku Grodno, po prostu wsadził kościotrupa za sobą na motor i tak przewiózł. Fantazja nie przysłoniła jednak profesorowi badawczej rzetelności. Wydał polecenie dostarczenia zdjęcia porównawczego i kazał czekać. Po tygodniu zaprosił mnie do siebie.

– Do wykonania ekspertyzy zaprosiłem jeszcze dwóch antropologów: Katarzynę Graję i Agatę Bisiecką. Każde z nas wydało niezależną opinię opartą na nieco innej metodologii. Do pracy wykorzystaliśmy biometrię, czyli obliczyliśmy wzajemne proporcje poszczególnych segmentów twarzy. Prawdopodobieństwo wystąpienia kilku takich samych wartości proporcji twarzy u różnych osób jest bardzo niskie, bliskie zera, dlatego ta metoda jest powszechnie używana w systemach komputerowych identyfikujących twarze. Każdy opiniujący przyjął inne punkty pomiarowe i inną skalę pomiaru, w milimetrach lub w pikselach – tłumaczy prof. Borysławski. I dodaje: Będzie pani zadowolona z wyniku.

„Na ocenianych 11 proporcji 8 wykazało bardzo wysoką, nieprzekraczającą 10% zgodność (vide tabela), co stanowi mocną przesłankę do stwierdzenia, że na obu zdjęciach uwieczniono tę samą osobę. Ryzyko błędnego wnioskowania jest bardzo niskie, co oznacza praktycznie pewną diagnozę”.

Profesor Buhtz odwiedził obóz koncentracyjny Gross-Rosen. Tylko po co?

Po jakimś czasie dostaję w końcu do rąk kilkanaście kartek z wrocławskiego archiwum. Czekałam na nie tak długo, a teraz okazuje się, że... prawie nic na nich nie widać.

W lewym górnym rogu wystylizowane litery informują, że pierwsze pismo pochodzi od prof. dr. Gerharda Buhtza, dyrektora Institut für Gerichtliche Medizin und Naturwissenschaftliche Kriminalistik. Elegancki nagłówek musiał budzić respekt. Z prawej strony w podobny sposób zostały zaznaczone: adres instytutu, telefon oraz prywatny adres zamieszkania profesora. Dzisiaj to nie do pomyślenia. Każdy strzeże swojej prywatności. Pismo adresowane jest do Staatliche Gesundheitsamt w Liegnitz. To zaświadczenie lekarskie. Gerhard Buthz informuje, że „wykonał sekcję zwłok na ciele więźnia Stanisława Matuszewskiego z obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Według kierownictwa obozu więzień został zastrzelony podczas ucieczki. Sekcja ujawniła...”. Dalej nieczytelne. W ostatnim zdaniu medyk sądowy zaznacza, że nie ma żadnych zastrzeżeń co do spalenia ciała.

Na dole kartki, nie wiadomo kto i nie wiadomo kiedy, policzył ołówkiem, że 141 razy 25 daje w sumie 3525.

Nic więcej. Pismo zostało podpisane 17 sierpnia 1940 roku.

## ROZDZIAŁ XI



## AUSCHWITZ TO BYŁO SANATORIUM

To śledztwo pochłania mnie coraz bardziej, choć co chwilę staję przed kolejną przeszkodą. Coraz częściej mam wrażenie, że Sieniawka wciąga mnie w błoto, które może nie mieć dna. Wszystko jest tu brudne, straszne, obrzydliwe, a przecież ledwo się zanurzyłam. Co będzie dalej? Nie mogę stanąć w miejscu. Żeby dokładnie prześledzić losy małej wioski na krańcach dzisiejszej Polski, muszę teraz przenieść się sto dwadzieścia kilometrów na zachód od niej. Tam, w Gross-Rosen koło Striegau (Strzegom), 2 sierpnia 1940 roku zaczął działać niewielki obóz pracy. Jego historia to jedyny pewny klucz do Sieniawki.

Gross-Rosen (obecnie Rogoźnica) początkowo był filią „wzorcowego” dla SS obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, z którego przybył tu też pierwszy transport więźniów. Było ich zaledwie stu: dziewięćdziesięciu sześciu politycznych z Polski, dwóch pochodzenia żydowskiego oraz dwóch Niemców, kryminalnych. Na bezkresnych polach sami musieli sobie zbudować baraki, a docelowo wydobywać granit z pobliskiego kamieniołomu. „Miał on kształt głębokiej niecki wystarczającej na rozwinięcie frontu robót dla paru tysięcy więźniów. Jej strome, z niebotycznie wysoką skałą obrzeże dawało się szczelnie zamknąć łańcuchem bezlitosnych straży spod znaku trupiej czaszki”<sup>[34]</sup>.

Za pół miliona marek kamieniołom zakupiło od prywatnej osoby należące do SS przedsiębiorstwo eksploatacji kamienia i kruszyw Deutschen Erd- und

Steinwerke GmbH (DEST). Spółka zamierzała zarabiać na kostce granitowej, budowie dróg, produkcji cegieł oraz poszukiwaniu kamieni szlachetnych. SS zawarło również umowę dzierżawy z baronem Georgem von Richthofenem, właścicielem nieruchomości rolnych wokół kamieniołomu, która dawała SS prawo wykorzystywania okolicznych pól o powierzchni czterdziestu dwóch mórg aż do końca 1957 roku (swoją drogą: ciekawe, jak by wyglądał wtedy świat, gdyby II wojna światowa skończyła się inaczej?). Richthofenowie mieli piękny pałac zaledwie półtora kilometra od kamieniołomu. Inna część rodziny mieszkała w Targoszynie, trzy kilometry od obozu. Zachował się nawet dokument, w którym Willy Jobst, lekarz obozowy, wyraża przychylną opinię dla panny z pałacu, która ma wyjść za mąż za esesmana z Gross-Rosen. Esesmani nie żenią się z byle kim. Georg von Richthofen czerpał zresztą niezłe zyski ze spółki z SS. Miał udziały w firmie, na własne potrzeby dostawał żwir i odpady, a jeśli potrzebował granitu, kupował go po kosztach.

Interesy SS szły ze zmiennym szczęściem. Spółka narzekała na „złą jakość materiału ludzkiego”, z tego powodu inspekcję w obozie i w kamieniołomie przeprowadził osobiście szef SS Heinrich Himmler. Fiaskiem zakończyły się pertraktacje dotyczące kontraktu na dostarczenie granitu do realizacji ulubionego projektu Hitlera: Planu Germania, czyli przebudowy Berlina i uczynienia z niego stolicy świata. Regularnie natomiast kamień wyjeżdżał do Posen (Poznań) oraz do Breslau (Wrocławia).

Już w maju 1941 roku to porzucone przez Boga odludzie zostało zamienione na samodzielny obóz koncentracyjny. Wkrótce jego nazwa przerażała nawet niewolników z Auschwitz. „Gross-Rosen zaliczano do trzeciej kategorii obozów koncentracyjnych ze szczególnie ciężkimi robotami dla więźniów, tak zwanej wykańczalni<sup>[35]</sup>. Toteż wszyscy więźniowie, którzy przybyli tutaj transportami z Sachsenhausen, z Dachau albo też nieco później z Buchenwaldu i Auschwitz, nazywali swój dawny obóz «sanatorium» w porównaniu z Gross-Rosen” – wspomina Mieczysław Mołdawa, który przeszedł przez kamienne piekło, jak nazywano to miejsce. Były więzień dodaje, że w tym obozie rządzą „zieloni”, a to



niemal odbierało szanse na przeżycie. Poszczególne grupy więźniów oznaczane były trójkątami w różnych kolorach. „W innych obozach silne grupy więźniów politycznych, «czerwonych», w ostrej walce z «zielonymi» (zawodowi przestępcy, kryminaliści) przejęły prawie wszystkie stanowiska funkcyjnych. Stąd utarła się reguła: gdzie czerwoni mają władzę, można jeszcze liczyć na przetrwanie, bo w obozie panuje inna atmosfera, natomiast gdzie zieloni są funkcyjnymi, tam jest wykańczalnia i rychły koniec dla czerwonych, których zieloni likwidują z jawną aprobatą hitlerowców” – pisał Mołdawa.

Władze innych obozów traktowały Gross-Rosen jak urnał. Zsyłano do niego największych zbrodniarzy, bandytów i przestępców, którym karę śmierci zamieniono na pobyt w obozie koncentracyjnym. Liczba „zielonych” Niemców na początku budowy obozu – zdaniem Mołdawy – przewyższała liczbę możliwych do obsadzenia stanowisk funkcyjnych. Szybko znajdowali wspólny język z esesmanami, niekiedy stopniowo byli wcielani do specjalnych oddziałów SS. Inne kolory były bez szans.

Hermann Langbein, współzałożyciel i pierwszy sekretarz Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego, więzień trzech obozów koncentracyjnych, powiedział w 1980 roku, że Gross-Rosen był jedynym obozem, w którym więźniowie nie mogli zrobić nic, co poprawiłoby ich warunki życia lub pomogło organizować jakikolwiek opór. Tutaj zabijała też praca, ciągła, wycieńczająca, właściwie bez wytchnienia. Kamieniołom, do którego codziennie szli więźniowie, był oddalony od bramy obozu o niecałe trzysta metrów, ale podczas powrotu strażnicy kazali jeszcze nieść umęczonym ludziom duże kamienie.

„Biedny obóz, o twardym reżimie, w nędznych warunkach i o psiej pogodzie”<sup>[36]</sup> – opisywał swoje pierwsze wrażenia z Gross-Rosen Kazimierz Hałgas, trzydziestoletni absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego przywieziony tu z Auschwitz 23 grudnia 1941 roku. W normalnym świecie był dzień przed Wigilią. Za drutami natomiast „mimo późnej nocy jakieś komando ćwiczyło «sport obozowy» na śniegu, pod niewielką oświetloną żarówkami choinką [...]. W sypialniach nie było jeszcze podłóg. Sala zimna, nie

oparana. Spało się po dwóch na jednym cienkim sienniku, ułożonym wprost na piasku. [...] Rano zorientowaliśmy się, że jesteśmy na bloku prawie wśród samych Niemców. W dodatku co drugi nosi różowy winkiel homoseksualisty. Zwariowany obóz. Przy rannym myciu widzę u jednego damskie podwiązki, u drugiego biustonosz, u innego jakąś damską przypinkę czy kokardkę przy koszuli. [...] Wszędzie niebywały prymityw. Ludzie myją się w małych korytach ustawionych na dworze, między barakami. Wiadro wody musi wystarczyć przynajmniej na 150 osób”[37].

Doktor Hałgas opisuje Gross-Rosen obrazami, niczym komediodramat, ale wiadro na sto pięćdziesiąt osób to zaledwie łyżka wody na więźnia. A przecież to dopiero początek.

„Po myciu przez obóz przechodzi jego dowódca, «mały, drobny, czarny, chudy stolarz, któremu najwidoczniej nie szło w wyuczonym zawodzie, stworzył więc w mundurze SS-mana typ szczególnego sadysty. Pozował na Napoleona sadyzmu. Lubił wymierzać chłostę, a im bardziej bity był z bólu, tym bardziej stolarz był zadowolony. Z powodu braku bunkra w tamtym czasie karę słupka, czyli wieszania za ręce wykręcone do tyłu, wykonywano na słupach latarni i przewodów elektrycznych. Widziałem raz trzech takich wiszących i Lagerführera delektującego się widokiem cierpiących. Jak obrazek z epoki Nerona”[38] – wspomina lekarz.

Inni więźniowie mówią, że nad Gross-Rosen nie latały nawet ptaki. Już wiosną 1941 roku stanął tu pierwszy piec krematoryjny, właściwie przewoźne krematorium polowe z wentylatorem i dmuchawą, które mogło spalać jedno ciało w ciągu sześciu do ośmiu minut. Esesmani spalali jednak po dwa ciała jednocześnie, nie przestrzegali reguł obsługi pieca (co dwie godziny należało robić godziną przerwę) i maszyna psuła się zbyt często. Podczas awarii obóz korzystał z krematorium miejskiego w Legnicy, co było wyjątkowo kosztowne, dlatego w 1943 roku na terenie Gross-Rosen wybudowano nowe, trzypiecowe krematorium. Jakkolwiek źle to zabrzmiało, zostało otwarte z pełną pompą. Na „uroczystość” przybyli dostojnicy SS z Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Nowe urządzenie do zacierania śladów zbrodni było cudem techniki, do każdego pieca

dało się wcisnąć nawet trzy wychudzone ciała. Tym razem wystarczyły zaledwie trzy minuty, żeby ludzkie prochy zatańczyły z wiatrem na polach barona Richthofena, gdzie wysypywali je więźniowie. Podobno koło kamieniołomów zawsze wiało, ale nawet natura nie dawała sobie rady ze strasznym odorem pochodzącym z krematoryjnych pieców. Z tego powodu, jak wierzyli więźniowie, również ptaki omijały okoliczne drzewa.

Ptaki boją się także krzyków i huku, baraki Gross-Rosen nie były więc dla nich najlepszym miejscem. Szymon Wiesenthal, słynny „łowca nazistów”, który widział w życiu rzeczy straszne, powiedział: „Był to przerażający obóz... Poznałem wiele obozów. Gross-Rosen był z nich najgorszy...”[39].

Janusz Barszcz, dyrektor Muzeum Gross-Rosen, tylko kiwa głową.

– Trzeba ciągle przypominać o tym obozie. Przez Gross-Rosen przeszło ponad sto dwadzieścia tysięcy więźniów. Jedna trzecia straciła tu życie.

Decyzją Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (Reichssicherheitshauptamt, RSHA) KL Gross-Rosen został również włączony do akcji mordowania jeńców z ZSRR. Akcja rozpoczęła się 1 października 1941 roku. Brało w niej udział między innymi dwóch obozowych lekarzy, Karl Babor i Friedrich Entress, oznaczonych później za „przeprowadzenie ważnych specjalnych zadań wojennych”.

– Krematorium było jakieś pięćdziesiąt metrów poza obozem, na zboczu. Pamiętam dzień, gdy wszyscy zostaliśmy zatrzymani podczas obiadu, duszkiem dopijaliśmy zupę, nagle wszystkich wypędzono, ustawiono między blokami i kazano co sił śpiewać tę piosenkę *Willkommen in unserer fröhlichen Sänger*, zwrotka po zwrotce. Czasami to trwało dwadzieścia minut, czasami pół godziny, a nieraz, gdy przychodziły dwa transporty z jeńcami Armii Czerwonej, to musieliśmy śpiewać i 40 minut. Pomiedzy zwrotkami słyszeliśmy strzały[40]. – Tak Mieczysław Mołdawa zapamiętał mordowanie jeńców radzieckich pod koniec 1941 i na początku 1942 roku.

W sumie około dwóch i pół tysiąca ludzi. W obozie zastrzelono też dwustu francuskich żołnierzy oskarżonych o szpiegostwo. Czasami przyjeżdżał „z wolności” samochód, który wiozł skazanych na śmierć przez rozstrzelanie. Wyrok wykonywany był pod ścianą z okrągłaków, tuż obok krematorium. Entress z Baborem zabijali również, podając doustnie roztwór cyjankali.

Mimo starań obsługi więźniowie wiedzieli, co się dzieje. Stosy trupów często całymi dniami czekały na swoją kolej do pieców, zaś każdy rok wojny przynosił coraz większe transporty więźniów. W 1944 roku Gross-Rosen zaczęło się gwałtownie rozrastać, żeby w końcu stanąć na czele potężnego imperium małych, piekielnych podobozów. Trzecia Rzesza potrzebowała pracowników w setkach zakładów, które przeniosły się w tę część kraju. Tu po raz pierwszy pojawia się Sieniawka.

Fabryki odrzutowców, montownie, zakłady chemiczne i te produkujące materiały wybuchowe oraz wszystko, co mogło pomóc przełamać impas w przegrywanej właśnie przez Niemców wojnie – wszędzie potrzebni byli ludzie. A ludzi nie było. Niemieccy robotnicy zostali wcieleni do Wehrmachtu, nie wypalił plan pozyskania odpowiedniej liczby jeńców. Hitler nie musiał o nic pytać, wykorzystanie więźniów obozowych wydawało się logicznym rozwiązaniem. „Naszym najważniejszym zadaniem wydaje się teraz przekształcenie obozów koncentracyjnych z ich jednostronnej funkcji politycznej w organizacje o odpowiednich zadaniach gospodarczych” – raportował SS-Obergruppenführer Oswald Pohl, szef Głównego Urzędu Gospodarki i Administracji[41]. Skoro tyle zakładów przeniosło się do Niederschlesien i Sudetenland, najłatwiej było sprowadzić siłę niewolniczą tutaj i stworzyć dla niej obozy pracy. Zajęła się tym administracja KL Gross-Rosen. Obóz główny przejął najpierw dwadzieścia osiem obozów pracy przymusowej dla Żydów od organizacji Schmoldt, zaczęły również powstawać nowe filie Gross-Rosen rozrzucone w promieniu prawie dwustu kilometrów. Kierownik obozowego wydziału zatrudnienia więźniów Karl Schlägel zeznał po wojnie, że planowano utworzenie stu trzydziestu obozów, choć prawdopodobnie ostatecznie powstało ich mniej, osiemdziesiąt sześć, w tym

Arbeitslager Riese, który sam składał się z trzynastu podobozów. We wszystkich zamieszkali ludzie z różnych krajów, którzy mieli tylko jedno zadanie: pracować. Za dzień pracy więźnia SS pobierało od najemcy nawet do sześciu marek. Wystawiając rachunek, komendantura odliczała sobie 0,60 RM za wyżywienie. Absolutnie diabelski pragmatyzm.

Tak jak każdy instytut anatomii miał w III Rzeszy „swoje” więzienie, tak każda z przeniesionych firm miała swój lager nazywany obozem pracy, w istocie będący małym obozem koncentracyjnym. Zaledwie kilkaset metrów od głównego deptaku Bad Kudowa (Kudowa-Zdrój) zamieszkały więźniarki pracujące dla Vereinigte Deutsche Metallwerke (VDM), w których powstawały części do samolotów. Arbeitslager (AL – obóz pracy) Dyhernfurth (Brzeg Dolny) produkował tabun i sarin dla Anorgana GmbH, AL Christianstadt (Krzystkowice) – materiały wybuchowe dla Alfred Nobel Dynamit Aktien-Gesellschaft oraz IG Farben, AL Kamenz pracował dla zakładów Daimler-Benz, zadaniem AL Fünfteichen (Miłoszyce) była produkcja zbrojeniowa dla Friedrich Krupp AG. „Swoich” ludzi miały też w Gross-Rosen Siemens i Blaupunkt. Przy tajnym projekcie Riese w Górach Sowich, czyli przy drążeniu wielkich podziemnych hal, które przez powojenne lata obrosły tysiącami legend, pracowali więźniowie kilkunastu filii. Odpowiedzialny za sposoby eksploatacji przymusowej siły pracowniczej był inspektor generalny obozów koncentracyjnych SS-Obergruppenführer Oswald Pohl. SS znalazło sobie kolejną żyłę złota.

Filia Gross-Rosen powstała również w dzisiejszej Sieniawce – 23 października 1944 roku. Jej działalność rozpoczęła się wraz z przywiezieniem z Auschwitz transportu Żydówek (miał to być Frauenarbeitslager, FAL – kobiecy obóz pracy), potem zaś, 27 stycznia 1945 roku, z Buchenwaldu przyjechało dwustu pięćdziesięciu mężczyzn, radzieccy jeńcy wojenni i Żydzi z głównego obozu. Wtedy w Klein-Schönau oficjalnie zaczął funkcjonować również obóz męski. Nowej sile roboczej, która miała wesprzeć przymusowych robotników i jeńców, przyznano ściśle wydzielony fragment wielkiego kompleksu. Zamieszkali

w blokach znajdujących się najbliżej hal montażowych. Nad jedną z tych hal miał się urodzić ostatni „numer” w całej maszynie Gross-Rosen. Była to dziewczynka.

## ROZDZIAŁ XII



# PIEŚŃ O MAJOWYCH KONWALIACH

Pan redaktor z troską pochyla się nad starszą panią. To była więźniarka jednej z filii obozu Gross-Rosen. Przyjechała do Polski z Norwegii, żeby opowiedzieć o przeżyciach z czasów wojny.

Wiekowa dama jest wyjątkowo zadbana. Otacza ją zapach eleganckich perfum. Pooraną zmarszczkami twarz musnęła pudrem, delikatnie podmalowała rzęsy, podkreśliła usta. Fryzjer ułożył starannie jej włosy, które mają kolor gołębicich piór.

– Jak wyglądał pani dzień w obozie? – pyta młody dziennikarz.

– Jak wyglądał mój dzień w obozie? – Twarz starszej pani kamienieje. Obóz to nie hotel Hilton. Jak wyglądał jej dzień w obozie? Czy ten dzieciak naprawdę o to pyta? Nikt, kto nie przeżył piekła obozu, nie jest sobie w stanie wyobrazić, jak wyglądało w nim życie.

Z pewnością nie potrafi tego zrobić chłopak, który ma dwadzieścia lat. Dla niego obóz to tylko obraz ze zdjęć lub filmów. Coś słyszał o Oświęcimiu. Nie wie, że obóz to odór śmierci i brudnych ciał, wilgoć, mróz, brak snu, krzyki nadzorców, strach wdzierający się w każdy zakamarek życia. Obóz to niepewność, to brak informacji. Obóz to umieranie każdego dnia, a w końcu odrzucenie nadziei. Obóz nie musi być wielki, żeby był straszny. Wystarczy, że ma kilka budynków, i już nosi się go w sobie do końca życia.

Jak mu to wytłumaczyć?

Johannes Hassebroek, syn więziennego strażnika i kupiec, ostatni komendant KL Gross-Rosen, nawet po wojnie z dumą mówił o SS: „byliśmy najlepsi i najtwardsi”. Jesienią 1944 roku Hassebroek zebrał swoich podwładnych i wyjaśnił im, że w związku z powstaniem filii obozu, a także przejęciem obozów od organizacji Schmelt, Żydówki przetrzymywane w dotychczasowych obozach pracy nie są już pracownicami przymusowymi, tylko więźniarkami. Z tego powodu męska ochrona militarna ma zabezpieczyć miejsce ich pracy i pobytu. W żadnym wypadku żołnierze strzegący kobiet nie mogą mieć kwater na terenie obozu, dopuszczalne było jedynie stacjonowanie w jego pobliżu.

Na przełomie lat 1944–1945 kobiety stanowiły jedną trzecią więźniów zbrodniczego imperium. Były to wyłącznie Żydówki, głównie z Polski i z Węgier. W filiach Gross-Rosen przebywało około dwudziestu sześciu tysięcy więźniarek, pod względem ich liczby obóz plasował się na trzecim miejscu wśród wszystkich lagrów, ustępując jedynie KL Ravensbrück i KL Stutthof. Paryż został już wyzwolony, w Warszawie trwało powstanie, Rosjanie po raz pierwszy od wybuchu wojny przekroczyli granicę III Rzeszy, a małe piekła Gross-Rosen, w tym Klein-Schönau, przyjmowały pierwsze transporty. Tych kilka miesięcy od powstania podobozów do ich wyzwolenia (zaledwie kilka!) złamało życie tysiącom kobiet. W większości były bardzo młode.

Kilka kilometrów od Sieniawki leży niewielka miejscowość Chrastava. W październiku 1944 roku zaczęły tu działalność obozy Kratzau I i Kratzau II. Ich więźniarki pracowały przy produkcji masek przeciwgazowych i amunicji, według niektórych źródeł były również wykorzystywane w Klein-Schönau. W zbiorach United States Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie znajduję rękopis wspomnień Helen H. Waterford, która poznała Kratzau od podszewki. W historii Helen, jak w lustrze, odbijają się losy wszystkich więźniarek Gross-Rosen, także tych z koszar Klein-Schönau. Opowieść Helen to synteza mrocznych wspomnień każdej z tych dziewczyn. Nie udało mi się znaleźć pełniejszego świadectwa. Szukam w nim jakiegokolwiek nitki, która zbliży mnie do wyjaśnienia tajemnicy „betonowych trumien”. Przecież te kobiety musiały coś wiedzieć, coś zobaczyć.



Jasiu wspominał o doktorze Mengele. Czasami w takich relacjach znajduje się jakiś drobiazg, coś z pozoru mało istotnego, co może pomóc w rozwiązaniu zagadki. Muszę wiedzieć, jak wyglądał cały proces przyjęcia do filii Gross-Rosen, jak wyglądały pierwsze dni więźniarek po przyjeździe.

Zaraz ktoś powie, że od najmłodszych lat bombarduje nas obozowa literatura. Zdjęcia, rysunki, relacje. Wszystko już widzieliśmy. Ale to nie zwalnia z wrażliwości. Podczas czytania wystarczy wyobrazić sobie, że każdy z nas zostaje wyrwany z ciepłego fotela, być może oderwany od lektury tej książki, i wrzucony w obozowy młyn do mielenia ludzi. Takie myślenie nie pozwoli na dystans.

Helen urodziła się w 1911 roku w Offenbach nad Menem. Była radosnym, wszędobylskim dzieckiem, szybko uczyła się języków obcych. Kiedy zaczęły się prześladowania Żydów, wyjechała do Amsterdamu. Jak każdy człowiek na świecie miała swoje marzenia i ograniczenia. Bała się wysokości, wspomina o atakach paniki podczas przebywania na wyższych piętrach, ale i o tęsknocie do domu, który utraciła. W 1937 roku przyszło na świat jej pierwsze dziecko. Choć wszyscy mówią, że narodziny chłopców symbolizują nadchodzącą wojnę, a narodziny dziewczynek – pokój, Helen urodziła dziewczynkę. Dała jej na imię Doris. Maluch rósł zdrowo, po mamie odziedziczył ufność i brak zahamowań w nawiązywaniu kontaktów. Te cechy miały uratować dziecku życie.

10 maja 1940 roku Niemcy zaatakowały Holandię. Dla rodziny Helen sytuacja okazała się beznadziejna. Jeszcze przed chwilą byli Żydami ściganymi przez Niemców, teraz byli Niemcami źle widzianymi w Holandii. Za chwilę znów mieli się ukrywać z powodu żydowskiego pochodzenia. Dwudziestego drugiego października 1942 roku Helen wraz z mężem podjęli decyzję, która musiała rozerwać im serca. Ze względów bezpieczeństwa oddali Doris innej rodzinie. Uważali, że to jedyna szansa na przeżycie dla ich córeczki, właśnie wtedy otwartość dziecka okazała się taka przydatna. W obozach dzieci nie miały szans, a dwa lata później Helen znalazła się w bydłącym wagonie wiozącym kolejny transport do Auschwitz. Tym samym transportem jechały Edith Frank oraz jej dwie

córki, starsza Margot i młodsza, piętnastoletnia Anna, która stała się potem przejmującym symbolem cierpienia ofiar II wojny światowej.

Anna urodziła się we Frankfurcie nad Menem, po przejęciu władzy w Niemczech przez Hitlera jej rodzina również przeniosła się do Amsterdamu. W lipcu 1942 roku Margot, starsza siostra Anny, została wezwana do „zgłoszenia się do grupy pracującej za granicą”, co oznaczało konieczność stawienia się w obozie pracy przymusowej w Niemczech. Wezwanie zmusiło rodzinę do ukrycia się w oficynie kamienicy w Amsterdamie, w budynku należącym do byłej firmy Ottona Franka – Nederlandse Opekta Mij. Frankom pomagało kilku byłych pracowników biura Ottona. Rodzina mieszkała w kryjówce od 6 lipca 1942 roku do 2 sierpnia 1944 roku. Przez ten czas Anna pisała dziennik, w którym opisywała cały swój świat zamknięty w jednym pomieszczeniu. Frankowie mieli szansę na doczekanie końca wojny, ale trafiło do nich Gestapo. Czteroosobowa rodzina została deportowana do Auschwitz ostatnim transportem, jaki dotarł tam z terenu okupowanej Holandii w ramach hitlerowskiej akcji „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”.

Po strasznej, trwającej w nieskończoność podróży Helen, Edith, Anna i wszyscy pozostali odetchnęli, gdy drzwi wagonu zaczęły się otwierać. Razem ze światłem do wnętrza wagonu śmierzącego potem i odchodami wdarły się krzyki obozowej obsługi. Byli na rampie. Tego dnia selekcję prowadził Anioł Śmierci, doktor Mengele. Helen szczęśliwie przeszła na stronę życia, nie została wybrana do komory gazowej również przy kolejnej selekcji. Trzecia natomiast zaczęła się tak samo jak wszystkie, ale miała już zupełnie inny przebieg. Tym razem Helen wraz z trzema setkami kobiet została zabrana do innego baraku. Następnie zostały przeliczone.

„To był bardzo dobry znak. Kobiety, które miały iść do gazu, nigdy nie były liczone. Pani Frank i jej córka Anna znalazły się również w grupie wybranych kobiet. Margot, starsza siostra Anny, była objęta kwarantanną z powodu wykwitów na skórze, zaś pani Frank nie chciała opuszczać Auschwitz bez niej. Tej nocy

ukryły się z Anną w innym baraku i później wszystkie trzy zostały przeniesione do Bergen-Belsen, gdzie zmarły...

Następnego dnia otrzymałyśmy trochę chleba i w bydłym wagonie pojechałyśmy na zachód. Był 28 października, mogłyśmy cieszyć się jesiennymi kolorami lasów. Nie potrafię opisać uczucia, jakie miałam, porzucając to miejsce, te dymiące kominy.

Wieczorem dojechałyśmy do niewielkiego miasteczka w przepięknych górach. Pomaszerowałyśmy przez las wzdłuż strumienia do trzypiętrowego budynku z ogrodzeniem i potężną drewnianą bramą. Na wewnętrznym dziedzińcu przemówiła do nas młoda kobieta ubrana w spódniczkę i biały golf. Przedstawiła się jako komendantka obozu i nazywała nas «dziewczętami». Powitała nas w Kratzau. Od razu zaznaczyła, że nie ma tu komór gazowych i że dopóki będziemy dobrze pracować, nie mamy się czego bać. Razem z dziewięcioma setkami innych kobiet miałam być zatrudniona w fabryce [...]. Na drugim piętrze budynku, prawdopodobnie starych zakładów, dostałam miejsce na trzypiętrowej pryczy. W tym pomieszczeniu stało około stu takich prycz. Wszystkie miały czysty koc (!) i materac! Byłam w siódmym niebie! Po kilku tygodniach dostałam metalowy znaczek z napisem WERK KRATZAU.

Następnego ranka, w czasie apelu na dziedzińcu, sierżant SS powitał nas bardzo sympatycznie. Pochodził z Kolonii i zapytał, czy któraś z nas również tam mieszka. Zgłosiła się jedna z Holenderek. Esesman, który lubił domową kuchnię, przydzielił tę kobietę do najlepszej możliwej pracy – szefa kuchni. Zamieszkała teraz na strychu z innymi uprzywilejowanymi więźniami, pokojówkami komendantki i niższymi pomocami kuchennymi. Nigdy nie było tyle czasu, żeby z nią porozmawiać, mimo że znałyśmy się powierzchownie z Amsterdamu. Jakiś czas potem, kiedy wszystkie byłyśmy już wycieńczone, brudne, głodne i zawszawione, zobaczyłam w niedzielę, jak opuszcza obóz. Strażnicy otwarli jej bramę. Byłam ciekawa, dokąd i po co idzie. Miała na sobie przyzwoitą sukienkę, kapelusz, w dłoni trzymała portmonetkę. Jej widok był dla mnie przygnębiający, nie dlatego, że ładnie wyglądała. Po prostu zapomniałam, że istnieje taki świat. Nagle poczułam

się przytłoczona bolesnym wspomnieniem tego, co minęło i co chciałam pogrzebać w pamięci. Przed snem wymyślałam wykwintne potrawy i marzyłam o gospodzie, którą będę prowadzić po wojnie. Nie przychodziłoby do niej wielu gości, ale podejmowałabym ich wyjątkowymi potrawami”.

W Kratzau Helen pracowała w dawnej przędzalni, produkując niewielkie tuleje z lekkiego stopu metali. Na tokarce szlifowała ich wnętrza i zupełnie jej nie obchodziło, jakie przeznaczenie będą miały te elementy. Dni były monotonne, ale wolała pracować, niż czekać w obozie na nie wiadomo co. Obóz zabijał, praca dawała nadzieję. Helen zgłosiła się na nocne zmiany, od osiemnastej do szóstej rano, ponieważ obiecywano za nie dodatkową porcję jedzenia w niedzielę. Ale i otrzymanie tej dodatkowej porcji wiązało się z ogromnym stresem. Na ramieniu miała wytatuowany numer obozowy z Auschwitz, w Kratzau otrzymała nowy, którego nie była w stanie zapamiętać. Po prostu nie miała możliwości zapisania go gdziekolwiek. Ale w obozie nie miała imienia, miała numer. Dlatego bardzo się denerwowała, kiedy wyczytywano numery więźniów, którzy dostaną niedzielny bonus. Pewnie niedzieli nie usłyszała swojego numeru. „Wiedziałam, że nikt nie będzie słuchał wyjaśnień, więc kiedy został wyczytany jakiś numer, który się nie zgłosił, z sercem na ramieniu wystąpiłam po dodatkowy posiłek” – wspomina.

Na cztery więźniarki przypadała jedna miska. Kobiety nie dostawały łyżek, więc – bacznie obserwowane przez koleżanki – mogły wziąć tylko określoną liczbę łyków. Na święta Bożego Narodzenia po raz pierwszy dostały mięso. Była to konina.

„W Rajskiej Dolinie, pięknej i przysparzającej tyle cierpienia, w końcu zastała nas zima. Dzień pracy się nie zmieniał. Poranne racje chleba stopniowo stawały się coraz mniejsze. Nie miałyśmy noży, kubka czy jakiegokolwiek innego pojemnika, nie miałyśmy też kieszeni, więc chleb, który nam wydawano, trzeba było zjeść od razu. Było zimno, bardzo zimno, musiałyśmy więc szukać koców. Każda z nas starała się ukryć koc dla siebie, bo kiedy powracała poranna zmiana, my byłyśmy już w drodze do fabryki. Niektóre kobiety, wystarczająco mądre i sprytne, wykorzystywały koce jako ocieplacze. Wkładały je pod bieliznę, aby uchronić się

od morderczego zimna. Z tego powodu koców zawsze brakowało. Biorąc pod uwagę, że nikt nie rozbierał się do snu, dopiero po jakimś czasie zorientowaliśmy się, gdzie znikają te nasze okrycia”[42].

„Komendantka Dinner torturowała ludzi, nie pozwalając im się myć. Jeśli natknęła się na rozebraną kobietę, która się myła, natychmiast karała ją chłostą. Komendantka w wieku około 45 lat była atrakcyjną kobietą, która zawsze miała przy sobie pejcz. Mówiła, że jedyną metodą edukacji jest dobra chłosta. Chłostała nas w nieludzkim stylu. Tymczasem obóz był brudny, panował w nim głód, nie było bieżącej wody. Więźniarki przynosiły ją z rzeki”. – Tak wspominała Kratzau inna więźniarka.

Zimą komendantce zaczęły jednak przeszkadzać smród i pełzające robactwo. Od przybycia do obozu, czyli od ponad dwóch miesięcy, kobiety nie tylko się nie myły, ale też nie zmieniały ubrań. Właściwie nigdy ich nie zdejmowały, pracowały w nich i spały. Zapadła więc decyzja, że kobiety zostaną zabrane do sąsiedniego obozu, w którym znajdowały się łaźnie i instalacje do odwszawiania. Miały dotrzeć tam w wagonach bydlęcych. Najprawdopodobniej pojechały do Klein-Schönau, gdzie w piwnicach dawnych koszar znajdowały się przestronne łaźnie.

Łaźnie zostały w tym miejscu do dzisiaj. Wstydliwie ukryte w piwnicach koszar. Wąskie, nie dające intymności. Więźniarki nie wspominają o żadnych pomieszczeniach, które wzbudziłyby ich niepokój, wątpliwości. Helen w ogóle nie opisuje wyglądu Klein-Schönau. Dlaczego? Przecież często skupia się na szczegółach.

„Pewnego dnia podsłuchałyśmy, że do obozu wyruszył samochód z ładunkiem jedzenia z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Jakież to było zaskoczenie, kiedy w niedzielne popołudnie zostałyśmy zebrane na placu apelowym i każdej z nas wręczono garść białego cukru. Nie było żadnych pojemników ani papieru, brałyśmy więc cukier w dłonie i łapczywie go zlizywałyśmy. Oczywiście, wszystkie miałyśmy bardzo brudne ręce, ale to był jedyny sposób, żeby się najeść. Jeszcze bardziej zdziwiła nas otwarta puszka sardynek na dwie osoby. Rybki też

jadłyśmy brudnymi rękoma. Niestety, posiłek okazał się zbyt obfity dla wielu wygłodzonych kobiet i niektóre z nich się rozchorowały.

Następnego poranka nikt nie poszedł do pracy. W idealnym porządku czekałyśmy na placu apelowym, nikt nie wiedział na co. W końcu nadjechał samochód z czterema kobietami w zielonych mundurach, znacznie ciemniejszych niż te, jakie nosili Niemcy. Zostały przyjęte przez komendantkę i rozpoczęły inspekcję więźniów. Wydawały się przerażone naszym widokiem. Komendantka mówiła do nich po niemiecku, a jej słowa zapadły mi w pamięci na zawsze: «Spójrzcie na te świnie, jakie są brudne! Ostrzegam was przed smrodem tych Żydów. Mamy tu najpiękniejsze nowe prysznice, które wam pokażę, jednak żadna z nich nie zadaje sobie trudu, aby ich używać».

Kobiety te były przedstawicielkami Czerwonego Krzyża ze Szwajcarii. Odjechały, uściskawszy ręce obsługi na pożegnanie. Żadna z nich nie zapytała nas o cokolwiek”.

Helen Waterford nie kryła rozczarowania spotkaniem z grupą Szwajczerek. „Wizyta Międzynarodowego Czerwonego Krzyża uświadomiła mi, jak mało te kobiety wiedziały albo chciały wiedzieć o sytuacji więźniów” – wspomina. – „Komendantka i strażnicy przedstawili nas jako zwykłe kryminalistki, które Niemcy zebrali na całym okupowanym przez siebie terytorium. Kobiety ze Szwajcarii były najwyraźniej usatysfakcjonowane takim wyjaśnieniem. Cieszyły się, mogąc opuścić nas po wypełnieniu swojego obowiązku «czynienia dobra»”[43].

Helen najlepiej jednak pamięta zapach konwalii wiosną i to, że lubiła cicho śpiewać przy pracy.

## ROZDZIAŁ XIII



## TAKA PIĘKNA BESTIA

Pod koniec zimy 2019 roku hale montażowe Sieniawki wyglądają strasznie. To ciąg zrujnowanych budynków, połączonych ze sobą przejściami po wschodniej stronie kompleksu. Razem mają prawie czterysta metrów długości, ich wnętrza wydają się ciągnąć w nieskończoność. Brak im okien i drzwi, farba odpada ze stropów. Każda z hal jest w środku nieco inna. W jednej leży gruz, w innej stoją jeszcze podesty pod maszyny. Od pól i dawnego lotniska oddziela je solidny nasyp, rodzaj kamuflażu, który ochrania hale od strony otwartego terenu. Jak wszystko w tym kompleksie, robią wrażenie potężnymi rozmiarami. Efekt potęguje jeszcze widoczne przez chropowate otwory zbocze nasypu. Rosną na nim jakieś drzewka, leżą gałęzie, śmieci, z poziomu ludzkich oczu wygląda to tak, jakby za oknami była ściana ziemi. Ale wystarczy użyć wyobraźni, żeby oczyścić to wszystko, pomalować ściany, wstawić odpowiedni sprzęt i wypełnić hale ludźmi. Usłyszeć szum pracujących narzędzi, poczuć zapach potu, znużenia, czasem braku nadziei. Więźniowie polerowali tu i spawali części lotnicze, między innymi łopatki turbin. Elementy wyprodukowane w pierwszym pomieszczeniu zabierały żydowskie więźniarki i niosły do kolejnej hali. Tam robotnicy spawali z nimi następne części i ktoś prznosił je dalej.

Więźniowie Klein-Schönau pracowali na dwunastogodzinne zmiany, podobnie jak Helen w Kratzau. We wszystkich podobozach życie toczyło się niemal

identycznym rytmem. W każdy poniedziałek pomiędzy siódmą a dziesiątą rano komendanci podobozów obowiązkowo dzwonili do centrali w Gross-Rosen, składając meldunek. Podawali stan obozu i straży, liczbę zatrudnionych i niepracujących z powodu choroby. W przypadku jakichkolwiek zmian w godzinach pracy komendant miał powiadamiać o tym natychmiast przełożonych. Wszystko było dokładnie obliczone, przemyślane i ekonomiczne. Mechanizm musiał działać bez zarzutu, zresztą tak został zaprojektowany. W pobliżu montowni stały stacja benzynowa oraz budynek galwanizacji z wielkimi kadziami do zanurzania części silników w preparatach chemicznych. Nieco dalej inżynierowie Junkersa mieli do dyspozycji hamownię z ośmioma stanowiskami, gdzie pozyskiwali dane niezbędne do wyznaczania charakterystyki pracy i osiągnięć silnika. W komorach badawczych mogli dostosować ciśnienie i temperaturę powietrza do takich, jakie panują na dużych wysokościach. W czasie pracy silników konstruktorzy mierzyli ciąg, zużycie paliwa i temperaturę, a także ciśnienie i prędkości przepływu powietrza w poszczególnych przekrojach. Te testy, trwające niemal bez przerwy – w dzień i w nocy – sprawiały, że wskutek wstrząsów drżały nie tylko same koszary, ale też domy w całej okolicy. Każdy, kto kiedykolwiek stał blisko startującego samolotu, wie, jak ogłuszające są jego silniki. Ale w tej fazie wojny produkcja nowoczesnej broni była priorytetem. Zwycięstwo było ważniejsze niż nerwy mieszkańców. W sprawie hałasu wypowiedział się nawet konsultant medyczny, który tylko potwierdził domysły cywilów: jeżeli Niemcy mają zwyciężyć, nie można wnosić żadnych sprzeciwów ani skarg na pracę Zittwerke AG. Przemysł zbrojeniowy to wspólna odpowiedzialność narodu i wojska. Znakomicie rozumiał to Jürgen Ulderup, dyrektor Zittwerke, którego poznaliśmy w momencie, gdy obejmował swoje stanowisko. Co prawda nie ma na to twardych dowodów, ale można domyślać się, że młody inżynier przyłożył rękę do rozpoczęcia produkcji Junkersa w jaskiniach gór Harzu, doskonale też zdawał sobie sprawę, skąd jego zakłady biorą „pracowników”. W marcu 1944 roku przeprowadził się do Eichgraben (dzisiaj to dzielnica Zittau), dokąd ściągnął żonę Annelotte i dwóch synów. Zamieszkali w jednym z drewnianych domków pod



lasem, prawdopodobnie zbudowanych przez zakłady dla pracowników z kadry kierowniczej. W czasie gdy za drutami Zittwerke ludzie walczyli o kawałek skórki z ziemniaków, Annelotte miała lęki związane z ustronnym położeniem nowego domu. Dlatego Ulderupowie „otrzymali z koszar psa obronnego”. Ten cytat pochodzi z gigantycznej – sześćset trzydzieści dwie strony, gruba oprawa, mnóstwo zdjęć, elegancki papier – biografii przedsiębiorcy zatytułowanej *Jürgen Ulderup (1910 bis 1991). Manager, Unternehmer und Stifter*[44]. Z tej książki, której cena musi zboleć polskiego czytelnika, dowiaduję się również, że u Ulderupów „bywali często radzieccy więźniowie. Konstruowali dla dzieci przedsiębiorcy... zabawki”[45]. Nieprawdopodobne! Wygłodzony, pozbawiony nadziei człowiek jest sprowadzany, żeby zrobić przyjemność synom kierownika zakładów? Biografia o niczym więcej nie wspomina, autorzy chętnie jednak opisują codzienną drogę do pracy trzydziestoczteroletniego wówczas Jürgen. Od bramy Zittwerke jego dom dzieliło zaledwie pięć kilometrów.

„Ulderup każdego dnia wyjeżdżał rano samochodem służbowym. Był to szary kabriolet BMW ze skórzaną tapicerką. Bmw często nie chciało odpalić po nocy, więc cała rodzina pomagała Jürgenowi ruszyć. Auto toczyło się wzdłuż ogrodu, po chwili Ulderup wrzucał bieg, bmw zapalało i wyjeżdżało na ulicę”[46]. Co za uroczy, rodzinny obrazek.

Również powroty taty obfitowały w ciepłe chwile. Annelotte i chłopcy, Christian Peter oraz Hansel, niecierpliwie czekali po południu na pojawienie się szarego bmw. Kiedy samochód zajeżdżał na podwórze, wszyscy wybiegali na powitanie. „Z tego okresu pochodzi epizod, który utkwiał w pamięci Christiana Petera. Wydarzenie to pokazuje siłę i impulsywność charakteru Ulderupa. [...] Pewnego dnia radość z przyjazdu ojca była tak duża, że mały chłopiec wspiął się na parapet pierwszego piętra, by widzieć z góry nadjeżdżającego ojca. Ku zaskoczeniu i rozczarowaniu Christiana tato wpadł we wściekłość. Wszedł do domu i spoliczkował chłopca”[47]. Autorzy biografii dodają, że „Ulderup naturalnie bał się, że syn wypadnie przez okno”[48].

Christian miał wtedy cztery latka.

Następnego dnia rano rodzina dopełniła rytuału wypychania służbowego bmw na ulicę. Pan dyrektor zajechał do Zittwerke i wszedł do biura. Ściany budynków odbijały szum testowanych silników, a w pobliżu montażowni słychać było miarowe stukanie młotków. Dzień jak co dzień.

\*

Koło hal kręcą się trzy osoby. Kobieta i dwóch mężczyzn. W skrytce za metalowymi drzwiami tuż przy wejściu upychają opony samochodowe.

– Co to za miejsce? – pytam.

– A kto to wie? Powinni to wszystko sprzedać, bo inaczej w proch się rozsypie – prycha starszy pan.

– Ale ludzie ginęli w tych budynkach. Tyle tu nieszczęścia.

– A kto wie, czy to prawda? Ktoś to widział?

Jeszcze tego samego dnia Jasiu opowiada mi o młodziutkiej baletnicy, która z grupą powstańców warszawskich została przywieziona do Klein-Schönau.

– Było tu takie bydlę... Po wódce kazał tej dziewczynie tańczyć dla siebie. Kiedy mu się znudziło patrzenie, gwałcił ją. Zawsze to robił, kiedy pił. A pił cały czas.

Starszy pan od opon – mimo że jest stąd – nie wie, że w czasie II wojny światowej w miejscu, w którym właśnie stoi, przez całą dobę trwała praca. Że warszawska baletnica, zamiast na chwilę odpocząć po pracy ponad swoje siły, miała dodatkowe „obowiązki”. Że była delikatna, bo w jej zawodzie to atut, ale z pewnością wiecznie głodna i zdruzgotana psychicznie. Każda kobieta tak właśnie by się czuła. Pod koniec sierpnia 1944 roku Niemcy przywieźli do pobliskiego Zittau pięćset osób złapanych podczas powstania warszawskiego. Dwieście czterdzieści dwie osoby z tej grupy zostały skierowane do Klein-Schönau. Były to rodziny z dziećmi. Najmłodsze, Danuta Herschel, miało wtedy dwanaście lat.

Piętnastoletnia wówczas Marysia Sikora, również uczestniczka powstania warszawskiego, opowiadała później, że widziała ze swojego bloku wychudłe

Żydówki i Żydów, gdy ich wyprowadzano z koszar. Rzucali się na śmietnik z odpadami kuchennymi. Jedli na surowo obierki z kartofli. Strażnik bił ich karabinem po plecach i po głowach.

„Widziałam, jak wózkiem czterokołowym wywożono zmarłych Żydów – nie wiem dokąd”[49] – mówiła.

„Ja miałam szczęście, mnie nigdy nikt nie molestował” – wspominała R.B., Żydówka. – „Ale wyglądałam strasznie. Kiedy przyjechałam z Auschwitz, nie miałam włosów, byłam brudna, obszarpana, nie zwracałam niczyjej uwagi. W mojej sali znalazła się dziewczyna, która pięknie malowała. Była znakomitą artystką. Już w Auschwitz rysowała portrety dla esesmanów. Niemcy z Zittwerke też do niej przychodzili, żeby dla nich tworzyła obrazy. Jak tylko mogła, szkicowała również mnie i inne więźniarki. Jej prace dawały nam wiele ukojenia”[50].

Obok dwóch żydowskich bloków wciąż mieszkali angielscy jeńcy, wcześniej było tu wielu ludzi innych narodowości: Rosjanie, Ukraińcy, Włosi, Belgowie, Francuzi... Prawdziwa wieża Babel. O ile budynki obozu zostały zamienione na mieszkania, a ich ściany zdobią dzisiaj talerze anten satelitarnych, to blok jeńców, niemal całkowicie zniszczony, ciągle „zdobią” kilkudziesięcioletnie graffiti. Łużycka Grupa Poszukiwawcza zabrała mnie pewnego dnia do jego piwnic. Weszliśmy tym samym wejściem, które kiedyś musiała pokonywać młoda baletnica. Najpierw obezliśmy ciągi korytarzy, obejrzelśmy opuszczone pomieszczenia, żeby w końcu włączyć latarki i zejść na sam dół. W punktowym świetle zaczęły się ukazywać wykrzywione twarze, pojedyncze kształty, w końcu napisy. Wszystkie po niemiecku. Kto je tak naprawdę zrobił?

Każdy chce, żeby o nim pamiętać. Pewnie dlatego zmarli czasem krzyczą. Coraz trudniej pojąć to miejsce. Szpital, mieszkania, stoły do pobierania preparatów anatomicznych, stołówka, zrujnowane hale, plac dla dzieci... Koło hamowni znalazłam sterty ulotek z karykaturami Angeli Merkel. W przyziemiu budynku, w którym w czasie wojny mieściła się komendantura obozu, walają się setki, może są ich nawet tysiące, starych recept, przeterminowanych leków,

połamanych mebli i licho wie czego jeszcze. Niektóre obiekty byłego obozu służą jako garaże, magazyny, chociażby ten na opony. Typowy obraz miejsca, które zostało pozostawione samo sobie.

– Na początku pracy bardzo to wszystko przeżywałam. Ale patrzę na kolegów z muzeum w Oświęcimiu. Budynki administracyjne muzeum częściowo znajdują się w dawnym puffie, w drzwiach mają stare wizjery do podglądania. Ja bym tak nie potrafiła – uspokaja mnie Katarzyna Pawlak-Weiss, wicedyrektorka wrocławskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej, do której przychodzę po pomoc w rozwiązaniu zagadki Sieniawki.

Dyrektorka jest tak atrakcyjna, że kiedy zaczyna opowiadać o obozowym życiu, rodzi się we mnie poczucie kompletnej irracjonalności. Ubrana w najlepszym stylu, niemalże doskonała, pochyla się nad mapami Gross-Rosen, przerzuca zdjęcia pełne trupów, wiecznie zajęta, jak pracujący bez ustanku komputer, magazynuje informacje dotyczące martyrologii.

Pytam wprost:

– Pomoże mi pani? Mam dziwną układankę: kompletnie nieznaną obóz, stoły do preparacji zwłok i prawie żadnych dokumentów. Jakieś niepotwierdzone informacje o więźniarkach rodzących dzieci. To może pasuje do Auschwitz, mam jednak poczucie, że w tej Sieniawce kryje się historia, którą trzeba zbadać.

Katarzyna Pawlak-Weiss jest zaciekawiona. Polubiłyśmy się, moja gospodyni od razu idzie niemal na całość, otwiera się i spod stosu dokumentów wyciąga wielkoformatowe zdjęcia. To fotografie lotnicze Gór Sowich zrobione przez Amerykanów w 1944 roku. Są sensacją, złotem dla każdego badacza. Przecież to na terenie Gór Sowich więźniowie AL Riese, jednej z filii Gross-Rosen, drążyli w skałach potężne tajne kompleksy. Nie zostało wiele dokumentacji po tamtych czasach, każde zdjęcie ma więc ogromną wartość historyczną, tym bardziej takie. Z góry dokładnie widać, w których miejscach rozlokowane były baraki i gdzie dokładnie powstawały sztolnie. Do dzisiaj nie udało się przecież wyjaśnić, czy to, co na miejscu zastali po wojnie Polacy, to całość kompleksu. Ślady wskazują na

próby maskowania niektórych obiektów, możliwe, że sztolni było więcej i wciąż czekają na swoje odkrycie. Przypuszcza się, że wokół nich znajdują się mogiły. Sytuacja jakże podobna do tej w Sieniawce. Gdyby z tego miejsca udało się zdobyć takie zdjęcia... To, że dyrektor Weiss pokazuje mi te materiały, jest ważnym sygnałem. Zaufałaś mi, ja zaufam tobie. Ktoś, kto nigdy „nie robił” w tajemnicach, nie potrafi zrozumieć, jak ważny jest moment, w którym druga osoba ujawnia ci swoją wiedzę. To niemal jak pakt podpisany krwią.

– Czy to możliwe, że Niemcy planowali w Sieniawce przeprowadzać doświadczenia na więźniach? Skoro przygotowali takie dziwne pomieszczenia w piwnicach...

– A dlaczego nie? Ale ten obiekt zaskakuje mnie także pod innym względem. Co za kubatura, ile służ strzegących dojścia do hal montażowych... On jest inny niż wszystkie podobozy, które do tej pory widziałam. – Moja gospodyni mówiąc, podsuwa mi ciasteczka.

Miło siedzieć przy kawie, kiedy deszcz wali w szyby z całą siłą. Pogoda pod psem, a tu ciepło, komfortowo. Historyczne śledztwa są takie fascynujące – nie ruszając się z miejsca, można odbyć podróż w czasie, gdziekolwiek poprowadzi ślad. Ale zarówno wicedyrektorka wrocławskiego IPN-u, jak i ja przejmujemy się. Chcemy zajrzeć pod powierzchnię, poczuć to, co dotknęło tamte więźniarki. Proste drogi nie są interesujące.

Moja rozmówczyni badała życie kobiet w Gross-Rosen. Podaje trochę liczb. Co piąty członek załogi był kobietą, w całym imperium pracowało osiemset siedemdziesiąt siedem strażniczek i urzędniczek z administracji. Mniej więcej na dwadzieścia dziewięć więźniarek przypadała jedna kobieta z obsługi. Są setki prac o losie kobiet w obozach koncentracyjnych. Na podobozach Gross-Rosen i tragedii ich więźniarek skupili się badacze, których nazwiska można wyliczyć na palcach jednej ręki.

W nielicznych wspomnieniach więźniów Klein-Schönau, głównie zachowanych w formie wideo, życie obozu zbudowane jest z kadrów. Krótkich i tak przejmujących, że myśląc o nich, mimowolnie chce się zamknąć oczy. Gdyby

tylko starszy pan upychający opony do schowka miał szansę je zobaczyć, rozpoznałby na placu między budynkami młodą Żydówkę, która właśnie strachliwym ruchem podniosła z ziemi łupiny z kartofli. Zauważyła ją strażnik. Obdziera z niej ubranie i półnągą przywiązuje do drzewa. Jest późna jesień, ciało dziewczyny wkrótce wiotczeje i osuwa się na krępującą je linę.

Kolejne ujęcie. Chłopiec kradnie z wozu główkę kapusty. Strażnik skatuje go za to do nieprzytomności. Ale jedzenie jest najważniejsze. Czternastoletni Jerzy Sobczyk codziennie przyjeżdża do niemieckiej kuchni po odpadki dla świń. Widzi, jak Żydzi prowadzeni do pracy atakują kubły z odpadkami. Łupinki i okruszki pożerają jak dzikie zwierzęta<sup>[51]</sup>. Rano dostają herbatę i kromkę chleba. Wieczorem herbatę i płyn po gotowaniu ziemniaków. Co prawda zakładom Junkersa należą się porcje żywnościowe dla więźniów i takie nadchodzą, ale esesmani rabują żywność. Żyd to nie człowiek. Niech zdycha. Inni też nie muszą jeść. W końcu pracują tylko dwanaście godzin dziennie. Nioletni osiem.

„Pierwsze wrażenie po przyjeździe było dobre. Umieszczono nas w barakach (chyba w starym budynku fabrycznym). W olbrzymim pomieszczeniu znajdowały się piętrowe prycze z siennikami i jednym kocem na osobę. Po oświęcimskim piekle myślałyśmy, że dostałyśmy się do nieba. Ale to było przedstawienie na początek” – opowiadała dziewczyna, która została przywieziona do obozu Parschnitz (Poříčí, obecnie dzielnica Trutnowa), siedemdziesiąt kilometrów od centrali Gross-Rosen. Zaraz po przyjeździe więźniarki dostały ziemniaki z warzywami, ale nie mogły ich jeść. Były zbyt słabe, gorączkowały, wycieńczały je biegunki i infekcje wokół ust. Żałowały tak bardzo! Nie miały szansy, żeby chociaż spróbować najeść się na zapas, gdy pożywienie jeszcze było. Potem wszystkiego już brakowało, choć raz w miesiącu zdarzała się łyżka marmolady lub sera.

Sara Kiejzmann osadzona w FAL St. Georgenthal (Jičetín pod Jedlovou) pamięta młodziutką Aufseherkę Hannę Seliger, która pobiła do nieprzytomności dwie więźniarki. Jednej z kobiet złamała rękę kijem, kolejną zabiła za to, że ta nie pościeliła porządnie łóżka. W podobozie Ober Hohenelbe (Hořejší Vrchlabí) Elza

Havliková zamykała więźniarki w celi bez okna za najdrobniejsze przewinienia. Wystarczyło na chwilę odetchnąć przy pracy, żeby zostać wtrąconą w ciemność i wegetować w niej bez jedzenia przez dwie, czasem trzy doby.

Śmierć za nieposłuszeństwo. Śmierć za uśmiech, za oddech, za ludzki odruch. Dlaczego świat tak naprawdę nie usłyszał krzyku Gross-Rosen? Czy dlatego, że ten obóz nie był wielką fabryką śmierci? Dlatego, że tysiące ludzkich tragedii rozgrywały się w rozrzuconych – jak prochy zmarłych na polach – dziesiątkach zapomnianych miejsc? Ale tam, gdzie jest ofiara, zawsze jest i kat. Kim zatem były kobiety po drugiej stronie, te, do których należało dopilnowanie porządku w obozie, nadzorowanie pracy, rozwiązywanie problemów związanych z podległymi im więźniarkami?

Nava Semel, znana izraelska pisarka i tłumaczka, córka byłych więźniów obozów koncentracyjnych, wydała w 1985 roku zbiór opowiadań zatytułowanych *Kova Zekhukhit* (Szklany kapelusz). W Izraelu była to pierwsza po wojnie książka poruszająca problemy „drugiej generacji” – dzieci rodziców ocalonych z Holocaustu. Matka Navy, Mimi (Margalit) Arzli, przeszła przez Auschwitz i Klein-Schönau. Jeden fragment książki autorka poświęciła temu ostatniemu miejscu. Sama przyznała, że przedstawiła fakty ubrane w fikcję, początkowo bojąc się, że zrani swoich rodziców, opisując ich przeżycia. Głównie ze względu na matkę wybrała taką formę literacką. Mimi nigdy nie opowiadała dzieciom o swojej przeszłości, po raz pierwszy odważyła się ją przywołać, gdy Nava wychodziła za mąż. Jej sukienka ślubna leżała przewieszona na oparciu krzesła, kiedy matka wyciągnęła z kredensu swoje zdjęcie ślubne z mężczyzną, który nie był ojcem pisarki. W wieku dwudziestu dwóch lat panna młoda dowiedziała się, że jej mama miała wcześniej męża i czekała na dziecko. W Klein-Schönau została ocalona przez kapo, przepiękną niemiecką Żydówkę. Wyznała ona więźniarkom, że wcześniej była Fronthüre – frontową prostytutką, którą została osadzona w obozie jako funkcyjna. Niemcy liczyli, że będzie sadystką, ona jednak dbała o podległe jej kobiety, załatwiała dla nich leki, ukrywała ich choroby. Przynosiła warzywa,

pielegnowała umierające. W opowiadaniu nosi imię Clarissa, a jej dobre układy w obozie mają źródło w pewnej trudnej relacji...

„To nie jest cała prawda. Zaledwie jej drobinki, kawałeczki, rozrzucone przez mijające lata. Kiedy je zbieram, mam wrażenie, że są jak zgniłe okruchy, które utknęły w brodzie. Ilekroć starałam się spojrzeć na nie wszystkie w tym samym czasie, miałam wrażenie, że się cofam. Uważam, żeby nie zderzyć się ze ścianą za plecami. Poznałam ten ból już wcześniej [...]. Wojna miała się skończyć za trzy miesiące, ale wtedy nie wiedziałybyśmy o tym. Nie mogłam przypomnieć sobie własnej twarzy, nie pamiętałam swojego wieku. Nie miałam również pojęcia, że mężczyznę, którego poślubiłam przed trzema laty i z którym żyłam na Węgrzech, pożarła chmura dymu.

Nie mogłam też wyczarować zmarłego płodu, który nosiłam w sobie przez całe dwa miesiące – bezdźwięczny, nieruchomy ładunek nie pozostawił żadnego śladu z wyjątkiem ukrytej linii wijącej się po moim brzuchu”. – Tak zaczyna się opowieść bohaterki *Szklanego kapelusza*.

Narratorka zostaje podczas selekcji wybrana do grupy kobiet jadących do obozu, w którym montowane są części do samolotów. W książce to miejsce nazywane jest Zittau. Matka Navy wspomina ciężkie warunki, okrutnego komendanta oraz orszak kobiet z SS, które zawsze mu towarzyszą. Jest wśród nich złotowłosa kobieta, nazwana tu Brunhildą z Czarnego Lasu. W nordyckiej mitologii Brunhilda była najpiękniejszą z walkirii, dziewic-wojowniczek, córek Ody, najważniejszego boga z dynastii Azów władającej światem. Sprawna i dorodna, zapierająca dech i zjawiskowa, pojawia się potem w sadze Nibelungów oraz operach Wagnera. Kobietę wystarczyło nazwać Brunhildą z Czarnego Lasu, żeby móc wyobrazić sobie jej wygląd. Ale Nava Semel opisuje ją dokładniej. Doskonała, nieskazitelna cera bez jednej zmarszczki, lekko zaróżowione policzki, po prostu szlachetne piękno.

„Późną nocą drzwi otworzyły się cicho. Clarissa wstała i stąpając bardzo ostrożnie, niczym po skwierczącym żarze, dotarła do bladej szczeliny światła.



Kiedy drzwi otworzyły się szerzej, dostrzegłam cień złotowłosej oficer. Stała tam, blokując dostęp światła.

Gdy tylko Clarissa przekroczyła próg, oficer odwróciła się na pięcie, Clarissa zaś podążyła za nią. Drzwi zamknęły się tak cicho, jakby nigdy się nie poruszyły. [...] Odgłos własnego oddechu dudnił mi w uszach.

Innym razem zniknie na całą noc. Dobrze wiedziałyśmy, gdzie spała. Zagnieździ się w objęciach pani oficer, jej bramy do świata. Czasem, czując pod plecami delikatne prześcieradło, dostanie pozwolenie na słuchanie poloneza Chopina lub symfonii Wagnera. Brünhilde oferowała jej swoje miękkie ubrania, kąpiel w wannie, szampon do włosów. Clarissa leżała tam z podkurczonymi nogami, z zamkniętym umysłem. Podczas porannego apelu, kiedy oficer mijała Clarissę, jej policzek nerwowo drgnął. [...]

Pewnej nocy obudziłam się i odkryłam, że Clarissa wróciła na pryczę z ukrytego pokoju. Ale zamiast położyć się, siedziała tam jak posąg, w którym zamarło życie. Patrzyła w ciemność. Nie mogłam się powstrzymać i podeszłam do niej.

– Clarissa – powiedziałam cicho – co ona ci robi?

Nagle jej twarz wykrzywiła się w tak intensywnym bólu, że aż się cofnęłam. Odwróciła powoli głowę, jakby ruszała się nakręcana przez kluczyk. Odrzekła sucho:

– Nie krzywdzi mnie.

Potem dotknęła mojej głowy.

– Jesteś młoda – powiedziała.

– Młoda? – odrzekłam. – Prawie miałam dziecko, moja młodość minęła.

– Urodzisz jeszcze dzieci. – Dotknęła mojego czoła. – Ja ich nigdy nie będę miała”[52].

Dlaczego Clarissa odwiedza złotowłosą nadzorczynię? Z wyrachowania, z powodu chęci ratowania innych, a może nie ma wyboru? W opowieściach Żydówek z Klein-Schönau oprawczynie najczęściej są ładne, zadbane, noszą

błyszczące buty i – przede wszystkim – wciąż mają włosy. Więźniarki opowiadają o nich tak, jakby najbardziej zazdrościły im jednego z najważniejszych atrybutów kobiecości, włosów, które zostały im zabrane.

W archiwum Instytutu Pamięci Narodowej znajduję dokumentację z procesu Gertrudy Kolberg[53], która pełniła służbę pomocniczą w SS w Klein-Schönau. Dwudziestotrzyletnia dziewczyna najpierw pracowała w Breslau, w fabryce broni Rheinmetall-Borsig. To jeden z ostatnich ceglanych budynków, które powstały w mieście przed 1945 rokiem, po wojnie mieścił się w nim PZL Hydral. Fabrykę budowali więźniowie Gross-Rosen, rozmach kompleksu łatwo porównać z koszarami Sieniawki. Kiedy zbliżał się front, Gertruda „została zmuszona” do odprowadzenia robotnic do głównego obozu Gross-Rosen, skąd w sierpniu 1944 roku odkomenderowano ją do Zittau. „Nie przyznaję się, żebym kiedykolwiek źle traktowała więźniów. Byłam [do nich przyp. – J.L.] zawsze dobrze ustosunkowana” – zeznawała potem. Sprawa ciągnęła się długo, w końcu Gertuda została skazana na sześć lat więzienia, dziesięć lat „utruty praw publicznych, obywatelskich i honorowych oraz przepadek całego mienia”. Jej starsza koleżanka mówiła po wojnie polskim śledczym, że Urząd Pracy kierował samotne i bezdzietne kobiety do SS, a następnie wysyłał je do obozów koncentracyjnych. Niektóre kobiety wstępowały do SS, bo bały się kary.

Zastanawiam się, jakie spustoszenie zostawia w człowieku praca, którą dostała Gertruda.

– Widziałam, jak więźniarki zbierały oberżyny, ale nie wiedziałam, dlaczego to robiły. Kobiety w obozie miały lepiej niż ja teraz. Jedzenia miały dość dużo, bo miały więzienną wolność. Nie wiedziałam, że Żydzi są przeznaczeni na zagładę – mówiła Kolberg podczas procesu.

– Czy słyszy pani czasem krzyki zmarłych? – pytam Katarzynę Pawlak-Weiss na zakończenie naszej podróży przez Sieniawkę i podobne do niej obozy.

– Czy rozmawiam z umarłymi??? No, proszę pani! Nie słyszę żadnych zmarłych.

Nie wierzę jej. Za często z nimi przebywa, żeby się nie odezwali.

## ROZDZIAŁ XIV



## DON ROLANDO

– Sieniawka skrywa wielką tajemnicę! Podziemia, Mengele, Holokaust. Koło placu zabaw są masowe groby.

– Czyje?

– Żydowskie, polskie, cygańskie... Tym miejscem interesuję się ponad szesnaście lat, jeśli powiem pani wszystko, książka, którą pani pisze, rozrośnie się podwójnie! Ale mam swoje warunki. Spełni je pani, wtedy udzielę informacji.

W historiach takich jak ta zawsze pojawia się „tajemniczy Niemiec, który wie więcej niż wszyscy”. Na ogół przyjeżdża nieoczekiwanie, z teczką albo skoroszytem pełnym map i dokumentów, których nigdy nie pokazuje. Niczego właściwie nie mówi, a jeśli już – to szeptem, zasłaniając się swoim bezpieczeństwem. Rzadko słucha, a jeśli już – to nie słyszy. Przerabiam to kilka razy w roku. Od wielu lat. Czasem trudno zorientować się, na ile poważny jest taki rozmówca. Dla wielu ludzi zasłyszane niegdyś strzępki informacji są jak woda, którą nagle zostało podlane tkwiące w nich od dawna ziarno przygody. Teraz ziarno kiełkuje, zamienia się w młode drzewko, dojrzewa... Rzadko jednak daje owoce. O grobach słyszałam już od Jasia, o podziemiach też, jestem świadoma sekretów Sieniawki, ale zawsze może pojawić się sygnał, nawet jedno zdanie, które przybliży do rozwiązania zagadki. Nigdy nie wolno lekceważyć odpowiedzi, które mogą pomóc w załataniu dziur historii.

Kiedy Jasiu założył z kolegami Łużycką Grupę Poszukiwawczą, z jej członkami skontaktował się niemiecki malarz mieszkający na Majorce, były saper z Iraku, występujący pod artystycznym pseudonimem Don Rolando.

– Chciał, żebyśmy zwołali konferencję prasową, na której będzie opowiadał, czego to on nie wie o Sieniawce. Chciał ze mną podpisywać umowy na szukanie skarbów. Nie interesowało mnie to. Nasze drogi się rozeszły, choć przyznaję, że sporo wie o Sieniawce. – Jasiu jest wyraźnie podrażniony pytaniami o „tajemniczego Niemca”.

– Lubię Jasia, ale on lubi rządzić. I nasze drogi się rozeszły – potwierdza Don Rolando.

Umówiliśmy się w Zittau, w samym sercu rynku, w restauracji w ratuszu serwującej tradycyjne polskie dania. Malarz zamówił wcześniej stolik, z dokładnością nawigacji samochodowej podał mi adres, kod pocztowy, telefon restauracji i sposób, w jaki została zrobiona rezerwacja. Spotkanie miało odbyć się wieczorem, po drodze zajrzałam więc na chwilę do Sieniawki. Wjechałam na teren dawnych zakładów, żeby spojrzeć na to miejsce o zmierzchu, poczuć jego samotną pustkę. Przynajmniej tak sobie wyobrażałam Sieniawkę po zachodzie słońca. Ponurą, przygnębiającą. Widok, który zastałam, sprawił, że bez namysłu chwyciłam aparat i zaczęłam robić zdjęcia, jedno po drugim. Liczyłam na czuły obiektyw, wiedziałam, że zdjęcia nie wyjdą za ostro, ale tak bardzo chciałam zatrzymać ten moment.

W Sieniawce było przepięknie.

Magicznie.

Nierealnie.

W zamieszkałych częściach koszar świeciły się światła w oknach, lampy oświetlały uliczkę przecinającą kompleks, w dwóch budynkach szpitala każde okno było jasne. Dokładnie każde. Bloki, widziane pomiędzy zimowymi, pozbawionymi liści drzewami, wyglądały jak statek kosmiczny ukryty w lesie. Kolor światła, żółty i ciepły, zwielokrotniał efekt.

Więźniowie Gross-Rosen patrzyli wieczorami na to samo.

– A pani co tu robi? Szabruje? – Młody głos gwałtownie wyrwał mnie z zadumy.

Za moimi plecami wyrosła grupa mężczyzn dźwigających butelki z piwem. W końcu to sobota wieczorem.

– Nie szabruję, tu nawet nie ma czego zabrać. Co to za miejsce?

– Nie wiem, czy możemy pani powiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo nie wiem, czy za to nie będzie kulki w łeb. Tu był kiedyś obóz i Niemcy coś ukryli.

– Złoto?

– Coś o wiele, wiele większego. I w szpitalu są takie stoły... Tutaj Mengele robił swoje eksperymenty. Ale nic więcej nie powiem, bo to nie jest bezpieczne.

Ten chłopak mówił na serio. Naprawdę wierzył, że nie powinien ze mną rozmawiać.

– Pan tu mieszka? – ciągnęłam dalej.

– Mieszkam, z chłopakami od dziecka szukaliśmy różnych rzeczy po piwnicach. A pod piwnicami są jeszcze jakieś piwnice! Kto i po co je budował? Tu wszystko pod ziemią jest zalane, żeby ukryć podziemia! Widzi pani, z ostatniego budynku mieszkalnego jest podziemny tunel, aż tam, do kotłowni!

A jednak się rozgadał.

– Spotykam się dzisiaj z tajemniczym Niemcem, który wie więcej niż inni – rzuciłam.

Jakkolwiek dziwacznie to zabrzmiało, chłopak zaniemówił. Pomachałam mu na pożegnanie, żeby dziesięć minut później siedzieć przy stoliku naprzeciwko Don Rolanda.

Przystojny, na pierwszy rzut oka sympatyczny, pewny siebie. Przyjechał z Thomasem, mieszkającym w tej okolicy odkrywcą tajemnic. Thomas to kolega

Jasia, jest... członkiem Łużyckiej Grupy Poszukiwawczej! Co za pokręcona eksploratorska sytuacja. Nie dało się pracować razem?

Don Rolando po raz drugi mówi, że przekazał Jasiowi sporo informacji, a teraz chce czegoś w zamian. Napiszę o nim i o tym, że szuka tajemnic Sieniawki, cztery artykuły, i kiedy one ukażą się w polskiej prasie, przekaże mi kolejne informacje. Po pierwszym artykule coś, potem po drugim i tak dalej. Malarz twierdzi, że wie rzeczy, o których nikomu się nie śniło!

Sytuacja jest trudna. Zależy mi, ale z drugiej strony czuję, że nie potrafię jeszcze ocenić wiarygodności rozmówcy. Rzeczywiście coś wie czy – podobnie jak setki poszukiwaczy, których znam – układa w skomplikowany wzór okruszki wiedzy zdobytej w różnych miejscach?

– Jest pewien kłopot: nie pracuję w dzienniku. Piszę dla „National Geographic”, tam raczej nie dam rady umieścić materiału o niemieckim malarzu – mówię szczerze.

– Nie szkodzi, pasuje mi nawet małe pisemko. Cztery teksty albo cztery odcinki jednego artykułu. Dostarczę materiały. Pani publikuje, ja daję materiały. Zdjęcia, dokumenty, fotografie lotnicze. Nikt takich nie ma! Przypominam, że zajmuję się Sieniawką szesnaście lat.

– Dlaczego tak bardzo panu na tym zależy?

– Daję i chcę coś w zamian. Cztery artykuły i mamy umowę.

Wyciąga rękę, którą bezwiednie ściskam. O co chodzi?

– A teraz czekam na pytania. – Bierze łyk coli light i patrzy wzrokiem, w którym czuję pewną wyższość. W końcu on wie więcej, ja ciągle niewiele.

Czyżbyśmy zaczęli rozmawiać na poważnie? Po prawie godzinie negocjacji...?

Zadaję pytanie sondujące. Skąd wzięło się jego zainteresowanie dawnym obozem Gross-Rosen? Nie odpowiada, kieruje mnie do artykułu, który wrzucił na swoją facebookową stronę. Z artykułu niewiele wynika. Tyle, że malarz „bada możliwe uwikłanie niemieckiego przemysłu w wydarzenia końca wojny, przez jego

głowę przebiega wiele myśli oraz że przeprowadza swój wielki projekt. Na płótnie, które ma 500 metrów kwadratowych, przedstawia pozytywną niemiecką historię”.

Od niechcienia dodaje, że na historię Sieniawki trafił, kiedy z prośbą o domalowanie do „długiego dzieła” zgłosiły się do niego zakłady utworzone przez Jürgena Ulderupa, tego samego, który w czasie II wojny światowej był dyrektorem Zittwerke SA. Ulderup zmarł w 1991 roku, zaraz po wojnie zdążył jednak rozwinąć świetnie prosperujące przedsiębiorstwo, które rozrosło się w ZF, światowego lidera w dziedzinie układów napędowych i podwozi, a także pasywnych i aktywnych technologii zabezpieczeń. Firma ma dwieście trzydzieści zakładów w ponad czterdziestu krajach świata, należą do niej między innymi farmy wiatrowe w Polsce i niemiecka ZF Friedrichshafen AG produkująca zeppelin. Po tragicznej śmierci Annelotte Ulderup wraz z drugą żoną założył również potężną fundację charytatywną działającą głównie na rzecz dzieci. Schedę po nim przejęli syn i wnuk. Prawdopodobnie niezbyt chętnie wspominają zatrudnianie więźniów z obozów koncentracyjnych podczas wojny. Roland mówi, że właśnie dlatego nie chce namalować tej firmy na płótnie pozytywnej historii. Z artykułu, który wysłał, wynika, że artystę odwiedzali potomkowie Ulderupa, naciskając, by ich sławny przodek pojawił się na wielkim płótnie.

– Jakie jest pana zdanie na temat podziemi Sieniawki? Czy one rzeczywiście istnieją?

– Oczywiście.

– A jakie mają wymiary?

– Dziesięć tysięcy metrów kwadratowych i trzydzieści tysięcy metrów kwadratowych.

– Skąd pan to wie?

– Z książki Herberta Bauera, który jako ostatni maszynista wjechał na teren Zittwerke w 1945 roku.

Znam tę książkę, ale nie ma tam mowy o niczym takim.

Malarz uśmiecha się. Odpowiada za niego Thomas.



– Czytasz i nie rozumiesz. Trzeba czytać pomiędzy wierszami.

O nie, tak łatwo się nie poddam.

– Jasiu wspominał mi o grupie Niemców, który w nocy kopali koło dawnych koszar. Był pan jednym z nich? Czego szukaliście?

Malarz robi minę, która może oznaczać wszystko. Marszczy mocno czoło, jego brwi przesuwają się w kierunku nosa, usta się wykrzywiają. Czekam. Równie dobrze za chwilę może powiedzieć, że to bzdura, albo zapytać o to, skąd wiem takie rzeczy. Jest jeszcze trzecia możliwość. Ta mina może oznaczać: o co ta idiotka w ogóle mnie pyta?

Ale ta idiotka jechała kilkaset kilometrów, żeby się czegokolwiek dowiedzieć.

– Nie będzie pani przeszkadzało, jeśli na chwilę wyjdziemy na papierosa? – pyta nagle Don Rolando.

Teraz? To dość nieoczekiwane. Wychodzą razem z Thomasem, zostawiając mnie w przytulnych wnętrzach restauracji. Poszli się naradzić? Ustalić jakąś wersję? Jestem już zmęczona tak rozwijającą się rozmową. Słyszę dużo, ale nie jestem w stanie z tego niczego wycisnąć.

– To jakieś głupoty – mówią mi moi gospodarze po powrocie. Czyli znowu nic. Po dwóch tygodniach Roland przyśle mi jednak swój artykuł, niewiele różniący się od tego, do którego wcześniej mnie odesłał. Malarz wyjaśnia w nim, że „po uzyskaniu wszystkich pozwoleń od wojewódzkiego konserwatora zabytków w 2006 roku i pod nadzorem jeleniogórskiej pracowni archeologiczno-konserwatorskiej zespół geologów z Niemiec przeprowadził na terenie Sieniawki badania wykopaliskowe, które odkryły pierwsze tunele”. Zostały po tej akcji zdjęcia, ale zobaczę je dopiero za jakiś czas.

Czas zadać ostatnie pytanie.

– A te stoły w piwnicach szpitala? Czy wie pan o nich coś więcej?

– Pani wie, do czego one służyły. Ja też wiem. To znacznie grubsza sprawa. Ale o tym...

Don Rolando wykonuje gest zapinania ust na zamek błyskawiczny.

W końcu jest „tajemniczym Niemcem, który wie więcej niż wszyscy”.

## ROZDZIAŁ XV



## BŁĘKITNE PTAKI

Annelore Gäbler w ogóle nie była tajemnicza. Od razu chciała mówić. O wszystkim, co tylko pamiętała.

A było tak: po siedmiu latach biegania pomiędzy starymi murami, po nocach pełnych krzyków zmarłych, Jasiu nakręcił film. Za kamerą stanął Szymon Wasylów, absolwent Zespołu Szkół Handlowych i Usługowych w Bolesławcu. Jasia i Szymona połączyła pasja, w dokumencie, któremu dali tytuł *Mury mówią*, najstarsi mieszkańcy okolicy opowiadają o Sieniawce. W tle groźna i głośna muzyka, zdjęcia z drona. Członkowie Łużyckiej Grupy Poszukiwawczej ukazani trochę w stylu poszukiwaczy zaginionej arki. Skupione twarze, powaga, kamera nadlatuje nad nich, kręci się wokół, prezentują się naprawdę tajemniczo. Film się spodobał. W samej Bogatyni został pokazany siedem razy, bo w mieście prawie nikt nie znał historii ogromnych koszar.

Tak już jest, że jeśli człowiek przyczepi się do jednego miejsca, do jednego tematu, inni zaczynają przychodzić i dzielić się z nim tym, co mają. I tak było z Annelore. W październiku 2016 roku elegancka drobna staruszka, w której „odżyły straszne wspomnienia”, odnalazła Łużycką Grupę Poszukiwawczą. Jasiu spotkał się z nią niemal dokładnie w siedemdziesiątą drugą rocznicę dnia, w którym po raz pierwszy przekroczyła bramę Zittwerke SA. Miała wtedy

szesnaście lat. Teraz chciała zostawić komuś swoją historię. Tak, żeby i do niej zmarli nie przychodzili w snach.

Annelore była uczennicą Höhere Handelschule (Wyższej Szkoły Handlowej) w Zittau. W październiku 1944 roku szkoła została zamknięta, a jej uczniowie – nakazem pracy przekazani do dyspozycji zakładów militarnych. Większość dziewcząt dostała pracę w fabryce włókienniczej braci Haeblerów i w spółce akcyjnej braci Morasów w samym Zittau, Annelore natomiast otrzymała przydział do Zittwerke AG. Pamięta ten moment, kiedy stanęła przez wejściem do kompleksu. Ona, krucha szatynka o spokojnej urodzie, ciągle niewiele znająca świat, i te przerażające budynki. Do Zittwerke przyjechało czterdziestu uczniów. Kazano im stanąć na łące przed barakiem, w miejscu dzisiejszego placu zabaw. W oknie stała sekretarka. Kierownik Futsche wybrał Annelore z czterdziestu osób do pracy w jego biurze w strefie zamkniętej. Żeby do niej wejść, należało mieć dodatkową przepustkę. Reszta uczniów pracowała w halach produkcyjnych oznaczonych numerami 16, 17 i 18.

Najpierw kazano jej zrobić zdjęcie do przepustki. W koszarach było studio fotograficzne, pracujący w nim człowiek uwieczniał wszystko, co działo się na terenie kompleksu. Wiele lat później na zachodnim serwisie aukcyjnym został wystawiony album ze zdjęciami budujących się koszar. Zdjęcia kosztowały dwa i pół euro za sztukę. Aukcja bardzo szybko zniknęła. Ale jak już „człowiek się przyczepi do jednego tematu”... Nieoczekiwanie napisał do mnie Norbert Podleśny, kolekcjoner z Oslo. Okazało się, że ma dokładnie taką samą przepustkę, jaką musiała posługiwać się Annelore. W Junkersie obowiązywał identyczny wzór. Kiedy zakłady znajdowały się jeszcze w Dessau, wszyscy zatrudnieni w nich robotnicy otrzymywali oprawioną w metalową ramkę z dziurką legitymację, na której było ich zdjęcie oraz dwie daty – urodzenia i przyjęcia do pracy. Z drugiej strony dokumentu z ciemności wychylała się męska twarz. Człowiek ten trzymał palec na ustach, dając do zrozumienia, że pracownik wkroczył właśnie w strefę tajności. Jak zwykle w takim wypadku, kilka dodatkowych wierszy informowało, że dokumentu nie wolno przekazywać, użyczać, gubić, niszczyć, bo jest on

własnością zakładu. Przejście przez bramę było możliwe wyłącznie z przepustką i dokumentem tożsamości.

Dzierżąc nową legitymację, Annelore zaczęła pracę w sekretariacie kierownika ds. kontroli montażu. Pracowała w baraku w miejscu obecnego placu zabaw. Do zakładów wchodziło się jedną z czterech bram, przy których stały betonowe schrony – stanowiska obronne. W wartowni przy głównej bramie mieściła się siedziba straży i policji obozowej. W skrzydłach budynku obok baraku, w którym pracowała Annelore, miały siedziby również biura, służba medyczna dla obsługi i dla cudzoziemców, dalej były garaże i straż pożarna. Trzy budynki zajmowane obecnie przez szpital służyły kolejno komendanturze, lotnikom i fachowcom współpracującym z zakładami, chłopcom z Hitlerjugend, którzy zostali sprowadzeni jako siła pomocnicza, na końcu zaś mieszkali pracownicy przymusowi. Gdyby wytyczyć linię tuż za tymi budynkami, oddzielałaby ona część czystą i elegancką od obozu i montowni, gdzie panowały straszne warunki. Ale tam Annelore nie mogła chodzić, jej przepustka nie była na tyle dobra. Pierwsze dni pracy spędzała więc w nieświadomym komforcie. Do 23 października 1944 roku.

Wtedy przyjechał pierwszy transport węgierskich Żydówek z Auschwitz. Filia obozu koncentracyjnego Gross-Rosen w Klein-Schönau zaczęła funkcjonować oficjalnie. Bloki najbliższej hal montażowych zostały otoczone drutem kolczastym, wokół stanęły cztery drewniane wieżyczki strażnicze.

Annelore zobaczyła je z bliska, kiedy otrzymała polecenie zanieśienia na teren obozu dokumentów. Droga zabrała jej około czterech minut. Być może otuliła się płaszczem, żeby uciec przed jesiennym chłodem. Przecięła plac apelowy, podeszła pod druty, skąd przejął ją wartownik. Nie miała żadnych problemów z wejściem do strzeżonego bloku. W środku zobaczyła swojego szefa w towarzystwie oficerów SS wyższej rangi, wśród których – jak dzisiaj twierdzi – mogli być lekarze.

– Pani Gäbler uważa, że mógł być wśród nich Mengele, nie rozumiała jednak, po co do fabryki przyjechała służba medyczna – twierdzi Jasiu.

Czy rzeczywiście? Skąd przestraszona szesnastolatka mogła wiedzieć, jak wyglądał Anioł Śmierci? Jak w ogóle rozpoznała, że to lekarze? Dystynkcje znała,

stąd zapamiętała, że w pokoju rozmawiali oficerowie, ale co z resztą? Czy to pod wpływem filmu, w którym ktoś, nie mając żadnego potwierdzenia na swoje słowa, opowiadał o doktorze Mengele w Sieniawce? Ale jest i inna możliwość. A może Mengele rzeczywiście tam dotarł?

Jeszcze się z nim spotkamy, ale najpierw spójrzmy oczyma Annelore na to, co działo się za drutami. Ówczesna pracownica wspomina, że wśród żydowskich więźniów ubranych w pasiaki zdarzały się kobiety, głównie kapo, noszące aksamitne sukienki. Być może jedną z nich była Clarissa ze *Szklanego kapelusza*. Ładnie ubrane dziewczyny „zdradzały informacje i wykonywały usługi dla oficerów niemieckich”. Ale bardziej niż te pojedyncze, zadbane kwiaty Annerole zapamiętała bagno, na którym rosły.

– To był straszny, niemożliwy do zapomnienia widok. Ludzie, z których większość była tak chora i wycieńczona, że nie mogła chodzić, leżeli na pryzkach, na wielu piętrach, jak na regałach. Ściśnięci, jeden na drugim. SS znęcało się nad nimi.

Dziewczyna była wstrząśnięta. Zobaczyła dokładnie to samo, co opisywała już inna szesnastolatka, Marysia Sikora, obserwująca żydowski obóz z drugiego bloku. Marysia nie mogła nic zrobić, Annelore natomiast zaczęła przynosić dodatkowe porcje jedzenia dla żydowskiej więźniarki, która sprzątała biura. Ale ten mały gest zauważył ktoś z pracowników, doniósł na Niemkę i została przesunięta do pracy w warsztatach. W budynku z dziwnymi rynnami i betonowymi wannami przebierała się i szła do potężnej hali, gdzie wierciła blachy. Było jej ciężko, nie potrafiła poradzić sobie z wiertarką. Jej ostatni szef nawet dla niej nie był człowiekiem, był bydlakiem – mówiła.

– Najmocniej zapamiętałem historię o selekcji. Pewnego dnia Annelore została wezwana do spisania numerów kilkunastu kobiet, które zostały wybrane... nie wiedziała, w jakim celu. Wspominała również, że w budynku, w którym przetrzymywane były Żydówki, tam, gdzie kiedyś widziała delegację SS, kobiety przytulały buzie do szyb i wypatrywały. Podobno nie wolno było im wychodzić. Może dlatego, że miały urodzić właśnie w tym miejscu? Może dlatego, że

przeprowadzano tu eksperymenty na ich dzieciach? One rodziły, ale co z dziećmi? Pewien Niemiec mówił nam, że te dzieci były palone w piecu w części koszar, gdzie przebywali więźniowie. – Jasiu zadaje mnóstwo pytań jednocześnie.

Naukowiec ominąłby tę kwestię, ale dziennikarzowi wolno drażnić dalej. O ile fabryka preparatów anatomicznych, o której wspominał prof. Dobosz, wydaje mi się coraz mniej abstrakcyjna, o tyle palenie noworodkami w piwnicznym piecu jest jakimś koszmarnym, żeby nie powiedzieć chorym, wymysłem. Muszę zrobić jeszcze jeden krok. Kobiety w ciąży... Dlaczego akurat tutaj?

Sprawdzam w archiwum Muzeum Gross-Rosen. Czytam setki dokumentów, panie z muzeum cierpliwie mi pomagają. Mengele podobno był. Ciężarne? Musi pani szukać. W końcu znajduję! Więźniarki z kilku filii relacjonują, że od marca 1945 roku kobiety w widocznej ciąży były odsyłane do jakiegoś obozu. Żadna nie wiedziała jednak, jak się nazywał. Tylko w jednej relacji pojawia się nazwa: Klein-Schönau.

Piszę do Szegő Ivána, węgierskiego historyka, radosnego człowieka ceniącego wino, piłkę nożną i solidne dokumenty. Natychmiast deklaruje pomoc, zwłaszcza że jego przyjaciel pracuje w budapesztańskim Deportáltakat Gondozó Országos Bizottság (DEGOB), czyli Narodowym Komitecie ds. Wypędzonych. To jedna z największych na świecie baz osobistych historii opowiedzianych przez około pięć tysięcy Żydów, którzy przeżyli węgierski Holokaust. Niestety, z przyjacielem Ivana jest chwilowy problem.

– W zeszłym tygodniu nie przyszedł do pracy i wybuchł skandal. Poczekam, aż fale się uspokoją, i zadzwonię do niego – radośnie informuje mnie mój węgierski kolega.

Nie mam wyjścia, znowu sacrum i profanum tańczą wspólnie swój szalony taniec, mogę więc tylko czekać. Ale czekanie się opłaca.

W archiwum znajdujemy krótką notatkę, o której wspominał mi już Jasiu. Imię i nazwisko: A.T. Miejsce urodzenia: Kassa (słowackie Koszyce), data urodzenia: 1912, ostatnie miejsce zamieszkania: Budapeszt, obozy: Auschwitz, Birkenau,

Zittau/Sa. Mimo że w pierwszej warstwie archiwalnej nazwisko i imię zostały zastrzeżone, Iván odnajduje dane więźniarki. To Teréz Alexander. Została zatrzymana 19 maja 1944 roku w Nagyszöllös (wówczas na terenie Węgier, dzisiaj to Ukraina). Ktoś ją zadenuncjował i z tego względu trafiła prosto do Auschwitz.

„Kiedy zabrali mi dokumenty, nikt już nie wiedział, jak mam na imię”[54] – wspomina. Tereska, tak ją nazywajmy, była dwudziestodwulatką, kiedy trafiła do oświęcimskiego piekła. Miała szczęście, dobrze mówiła po niemiecku. W obozie została więc „szrajberką” (Blockschreiberin), czyli blokową pisarką. To była jej szansa na przedłużenie życia, a może i na przeżycie. Pełniąc tę funkcję, po raz pierwszy spotkała się z okrucieństwem obozowych lekarzy. Czuła lęk, kiedy nadchodził Fritz Klein, rumuński Niemiec po pięćdziesiątce, jeden z obozowych lekarzy i kolega słynnego Anioła Śmierci, czyli doktora Josefa Mengele. Klein przychodził i żądał raportów na temat chorych. To była pułapka. Klein twierdził, że „Żydzi są zaropiałym wyrostkiem robaczkowym Europy, który należy usunąć skalpelem”, bez oporów więc, ale też bez okazywania emocji, wysyłał ich do gazu. Tereska również ciężko chorowała w obozie, ale nie zamierzała się do tego przyznać. Chciała żyć. Była za młoda na umieranie. Później została przeniesiona do Birkenau, gdzie również widywała Mengelego. Pewnego dnia – była już jesień, kto mógł przypuszczać, że wojna skończy się za kilka miesięcy – w Auschwitz zjawiono się dwóch cywili szukających pięciuset kobiet do pracy w Zittwerke.

„Zgłosiłam się dobrowolnie. Pomyślałam sobie, że będzie tam lepiej i więcej jedzenia dla pięciuset osób niż dla kilku tysięcy w Auschwitz. Pożegnanie Auschwitz – myślałyśmy, że już nie spotkamy Mengelego. Myliłyśmy się. Zapędzono nas do łaźni, musiałyśmy się rozebrać do naga. Zabrano nam wszystko, co miałyśmy. Długo tak stałyśmy. Nagle wiadomość – przyjdzie Mengele. Panika, strach. Mengele wkroczył, szum pracujących urządzeń, nasze krzyki i krzyki Niemek z SS, niemogących nas uspokoić – to wszystko powodowało chaos. Wtedy Mengele rozkazał: mamy klęczeć! I wyciągnął bicz przygotowany do uderzenia. Słowami nie da się opisać tego widoku – pięćset nagich kobiet przed Mengelem. Zamarłyśmy. Jego oczy wyglądały jak oczy wściekłego zwierza. Przemówił do nas:



jeśli nie będzie ciszy, zaprowadzę was wszystkie nagie żywcem do ognia. Potem każda stawała przed nim z podniesionymi rękami. Sprawdzał, czy nie mamy znamion na ciele, bo on tego nienawidził. Na szczęście nie zabrał żadnej z nas”[55].

26 października 1944 roku[56] Tereska wsiadła wraz z pięćdziesięcioma innymi kobietami do wagonu towarowego. Po dwóch dniach podróży, o dwudziestej drugiej, wysiadły w Zittau. Fabryka zrobiła na dziewczynie wielkie wrażenie. „Pięknie wykończone budynki, ogrzewane gazem, z bieżącą wodą. Każda z nas dostała pościel, dwa koce, talerz, garnuszek i łyżeczkę. Przez pierwsze dwa tygodnie nie musiałyśmy chodzić do pracy. W bloku mieszkali jeńcy angielscy – było ich w obozie około pięciuset – dali nam mydło, ręczniki, szczoteczkę do zębów, chusteczkę, jakież to były dla nas cenne rzeczy! Mieli to z cotygodniowych paczek z Czerwonego Krzyża. Po kilku dniach odwieziono ich w nieznanym kierunku, a nam zabrano wszystko. Po ich odjeździe blok otoczono drutem kolczastym pod napięciem, na rogach ustawiono cztery wieże wartownicze z silnymi reflektorami”[57].

Tereska zaczęła pracę. Trafiała do kancelarii. Wieczorem wracała do bloku wypełnionego od piwnic po sufit zmęczonymi kobietami. Już zimą spotkała kapo z Auschwitz, który powiedział jej, że jedna z komór gazowych została zburzona w listopadzie. Siedemnastego stycznia 1945 roku Armia Czerwona wkroczyła do zniszczonej przez Niemców Warszawy, 27 stycznia żołnierze radzieccy wyzwolili obóz Auschwitz-Birkenau, ponad tydzień później w Jałcie spotkali się Churchill, Roosevelt i Stalin, ale w Gross-Rosen ktoś ciągle liczył na cud.

– Tak naprawdę nie wiadomo, jak potoczy się wojna. Propaganda cały czas nie odbierała nadziei na dobre rozwiązanie – tłumaczy dr Katarzyna Pawlak-Weiss z Instytutu Pamięci Narodowej we Wrocławiu.

Tereska opowiada, jak bardzo głodna była w tamtym czasie. W południe dostawała litr gorącej wody z brukwią. Czasem w środku pływał surowy ziemniak. Kolacją była kromka chleba. Ale głód okazał się nic nieznaczącą błahostką, gdy... „Zapanowało duże napięcie, gdy dowiedziałyśmy się, że odwiedzi nas Mengele. To tak, jakby znowu przyniósł tu ze sobą Auschwitz. Mengele przyszedł do bloku na

inspekcję i w końcu trafił do naszego dwudziestodwuosobowego pokoju. Sprawdzał porządek i higienę, ale wyglądał na pana bez mocy, sfrustrowanego, jego jadowite zęby już wypadły. W większości pokoi były namalowane obrazki i teksty po jeńcach angielskich. Zgodnie z regulaminem powinny zostać zamalowane albo przykryte papierem. Nie zastosowałyśmy się do tego rozkazu. W naszym pokoju została na ścianie panorama miasta Dover z fragmentem wiersza Shelleya: «There will be blue birds over the white cliffs of Dover» (Nad białymi klifami Dover znowu pojawią się błękitne ptaki). Mengele bezbłędnie na głos odczytał ten tekst i uśmiechał się przy tym zamyślony. Pewnie myślał, że dla nas nigdy nie będzie już niebieskich ptaków nad białymi skałami Dover<sup>[58]</sup>. Rozkazał, by te obrazki i teksty zlikwidować lub zalepić papierem. Tego dnia dotarły do nas niepokojące wiadomości z Breslau i Gross-Rosen, że tamtejsza jednostka SS wraz z Mengelem ewakuowała się do Zittau<sup>[59]</sup>.

## ROZDZIAŁ XVI



## DOKTOR ŚMIERĆ

„Atrakcyjny młody mężczyzna. Bardzo uprzejmy”.

„Szalenie przystojny i elegancki”.

„Sprawiał wrażenie delikatnego i kulturalnego, zawsze, kiedy mówił, miał wesoły wyraz twarzy, jakby bez przerwy odczuwał radość, był prawie figlarny”.

Josef Mengele był aż nieprzyzwoicie zadbany. Pachniał czystością. Miał trzydzieści dwa lata, kiedy w Auschwitz spotkał Ruth Elias, młodziutką Żydówkę z Ostrawy. „Spotkał” to może nie najlepsze słowo, Ruth zobaczyła go pierwsza. Pięknego człowieka, półboga niemal, który wyprostowany wkroczył dziarskim krokiem do sali w narzuconym na mundur fartuchu. Dziewczyna obserwowała go nieco z dołu, z poziomu łóżka, na którym leżała w obozowym szpitalu. Spodziewała się dziecka.

„Mój brzuch stawał się coraz większy. Położyli mnie w szpitalu. Nie miałam pojęcia, że to oddział Mengelego. Ale wystarczyło, że się pojawił, a wszyscy wiedzieli, że to właśnie on. Każdy się go bał. Podobnie jak inni lekarze Mengele codziennie robił obchód. Był bardzo miły. Pytał, jak się czuję. Sprawiał wrażenie zainteresowanego moim losem.

Pamiętam, kiedy podszedł do mojego łóżka i powiedział: «Najpierw urodzisz, a potem zobaczymy». Nawet przez myśl mi nie przeszło, co może mi zrobić.

Poczułam pierwsze bóle. Urodziłam piękną dziewczynkę.

Przyszedł Mengele i rozkazał zabandażować mi piersi w taki sposób, żebym nie mogła karmić córeczki.

Była takim pięknym dzieckiem! Nawet gdy nie dostawała żadnego pożywienia, nadal była piękna.

Przez cały czas płakałam. Dziecko również płakało, tyle że z głodu, a ja nie miałam jej co dać. Nie wiem, ile to trwało. Trzy dni? Cztery dni? Pięć? Straciłam poczucie czasu. Nie miałam nic do jedzenia, oprócz tego, co sama dostawałam. A to był przecież tylko kawałek chleba i czarna kawa. Dawałam to mojemu dziecku, ale ono jedynie płakało i płakało. Mengele przychodził codziennie ze swoją świtą. Patrzył na mnie, pytał, jak się czuję. Zachowywał się jak każdy lekarz wobec swojego pacjenta.

To było straszne. Patrzył na moje dziecko i po prostu odchodził.

Po kilku dniach Mengele powiedział: «Jutro rano zabieram cię stąd». Wiedziałam dokąd. Wiedziałam, że to mój ostatni dzień życia. Zaczęłam straszliwie rozpaczać. Wtedy czeska lekarka, która zawsze ze mną rozmawiała, obiecała mi pomóc.

Wyszła, a kiedy wróciła, powiedziała:

– Przyniosłam ci coś. Daj to swemu dziecku.

Zapytałam, co to jest.

Odpowiedziała:

– To coś, co zabije twoje dziecko.

– Chcesz żebym zabiła swoją córeczkę? Nie mogę tego zrobić – odrzekłam.

Zaczęła mnie przekonywać, mówiła i mówiła, a ja nadal nie chciałam tego zrobić.

W końcu powiedziała:

– Jest już ranek, musisz to zrobić.

\*

Dałam zastrzyk mojej córeczce. Zaraz potem lekarka zabrała to małe ciało.

Ja tylko płakałam. Kiedy przyszedł Mengele, od razu zapytał, gdzie jest dziecko. Powiedziałam, że tej nocy zmarło. Odrzekł: «Masz szczęście, z następnym transportem opuszczasz Auschwitz».

Ale mnie już na niczym nie zależało.

Myślę, że Mengele chciał zobaczyć, jak długo dziecko może wytrzymać bez jedzenia.

Taki potwór rodzi się tylko raz. Na całym świecie nie było takiego diabła”[60].

Kiedy Ruth Elias spotkała Josefa Mengele, miała dwadzieścia jeden lat. Po wojnie powiła synka. Tuż po porodzie zaczęła krzyczeć do lekarzy, żeby nie zabijali jej dziecka.

\*

Nie ma żadnej wątpliwości. Takiego skurwysyna się pamięta. Pierwszy i, mam nadzieję, ostatni raz używam w swojej książce wulgaryzmów. Ale wśród tysięcy opracowań o Josefie Mengele nikt nigdy nie pisze wprost. Co znaczą słowa: okrutny, bezwzględny, nieczuły? Jakie znaczenie mają dywagacje naukowe na temat tego, co sprawiło, że zwykły lekarz Mengele został TYM Mengelem? Jeżeli taki popapraniec przyjechał również do Sieniawki, więźniarki nie mogły pomylić go z nikim innym. Również Teresie musiał wbić się w pamięć.

Josef Mengele urodził się 11 marca 1911 roku w bawarskim Günzburgu. Rodzice wychowywali go w duchu konserwatyzmu. Jako dziecko często chorował, zdarzały mu się wypadki, o mało nie utopił się w beczce z deszczówką. Brakowało mu dyscypliny, ojciec spuszczał mu więc regularnie lanie, ale w swoich pamiętnikach Mengele wspomina o tym bez żalu. Był bardzo zdolny i jeszcze bardziej ambitny. „Uparty jak osioł” – wspominali koledzy. Uczył się jednak słabo, maturę zdał więcej niż z trudem. Niemiecki, łacina i matematyka szły mu kiepsko, z większym entuzjazmem podchodził do lekcji zoologii, geografii i zajęć z antropologii. Kiedy miał szesnaście lat, lekarze zdiagnozowali u niego zapalenie szpiku i problemy z nerkami, co miało wpływ na późniejsze decyzje jego rodziny dotyczące przyszłości. Chłopak nie powinien się męczyć, zalecano mu unikanie

aktywności sportowej i alkoholu. Niewskazana była również praca na świeżym powietrzu. To wszystko uniemożliwiało Josefowi przejęcie schedy po ojcu, właścicielu odlewni i fabryki maszyn rolniczych. Rodzice pozwolili więc swojemu najstarszemu synowi samodzielnie zdecydować o życiu. Po maturze Mengele został studentem wydziałów filozofii i medycyny Uniwersytetu Monachijskiego. Ciągłe był sympatycznym, nieco zagubionym chłopakiem z małego miasteczka, który znalazł się w świecie nocnych lokali, jazzu i rewii z półnagimi tancerkami. Na dodatek nie odnosił spektakularnych sukcesów na polu podbojów miłosnych, mimo że podobał się kobietom. Średniego wzrostu (mierzył sto siedemdziesiąt cztery centymetry), z lekką nadwagą, śniady na twarzy – miał niezaprzeczalny urok. Mimo to nosił w sobie jakieś poczucie niespełnienia.

Na studiach Mengele znalazł się pod wpływem nauczycieli, którzy złapali go w szpony idei nazistowskiej medycyny. Lekarz nie tylko miał leczyć, ale mógł także zabijać. Doktor Ernst Rüdin, jeden z mentorów Mengelego, mówił wprost, że lekarze powinni niszczyć „życie pozbawione wartości”. Niepełnosprawni, chorzy z zaburzeniami psychicznymi czy z wrodzonymi wadami rozwojowymi byli podludźmi, którzy później zostali wymordowani w ramach niesławnej akcji T4 – programu fizycznej eliminacji „jednostek nieprzydatnych”. Młody Mengele chłonął tę „wiedzę”, przy okazji utwierdzając się w przekonaniu, że również, a może przede wszystkim, to Żydzi powinni zniknąć z powierzchni ziemi.

Antropolog Theodor Mollison, kolejny wykładowca Mengelego, wyraźnie wskazywał powinność niemieckich naukowców: mieli oczyścić rasę z obcych elementów, ponieważ ich sposób myślenia był kompletnie odmienny od niemieckiego. Mollison uważał, że dzięki wiedzy o dziedziczności na podstawie fotografii można określić, czy sportretowana osoba miała żydowskich przodków. To dzięki rekomendacji tego antropologa kariera Mengelego nabrała rozpędu. Pierwszego stycznia 1937 roku Josef został asystentem prof. Otmara von Verschuera w Instytucie Dziedziczności, Biologii i Czystości Rasowej III Rzeszy na Uniwersytecie we Frankfurcie nad Menem. Baron (naukowiec miał tytuł arystokratyczny) Verschuer, rasista czystej wody, specjalizował się w badaniach

nad bliźniętami. Mengele został jego ulubionym uczniem, wspólnie orzekali w procesach dotyczących tak zwanej hańby rasowej. Instytut Dziedziczności został powołany w tym samym roku, w którym w Norymberdze uchwalono zakaz jakichkolwiek kontaktów płciowych pomiędzy Żydami a obywatelami krwi niemieckiej lub pokrewnej. Dzięki baronowi młody lekarz nauczył się tropić i rozpoznawać Żydów, patrząc jedynie na twarze „podejrzanych” i robiąc pomiary ich czaszek. Jeszcze w maju 1937 roku Mengele wstąpił do NSDAP, a kilka miesięcy później, jako „czysty Aryjczyk”, został przyjęty do SS. W tej zbrodniczej organizacji doszedł do stopnia Hauptsturmführera, odpowiadającego kapitanowi. „Z chłodnej kalkulacji zawodowej i z pełnym przekonaniem politycznym wszedł w styczniu 1937 roku na ścieżkę, która ostatecznie w maju 1943 roku zawiodła go do Auschwitz”. – Tak podsumował ten etap kariery Mengelego Hans Münch, jedyny lekarz pracujący w obozie, który został uniewinniony po wojnie w tak zwanym pierwszym procesie oświęcimskim.

\*

Dla Mengelego wojna zaczęła się w czerwcu 1940 roku. Otrzymał przydział do jednostki wojskowej w Kassel jako oficer medyczny. Od prawie roku dwudziestodwuletni doktor był żonaty z młodszą od siebie niebieskooką blondynką Irene Schönbein. Choć Irene odpowiadała w pełni „nordyckiemu typowi rasowemu”, przed ślubem pojawiły się pewne wątpliwości dotyczące jej pochodzenia. Jako członek SS Mengele miał obowiązek poproszenia samego Reichsführera-SS o zgodę na zawarcie związku. Aby otrzymać pozytywną odpowiedź, kandydaci musieli udowodnić aryjskie pochodzenie do piątego pokolenia wstecz. Tu pojawił się problem, ponieważ Irene, jako nieślubne dziecko, nie znała nazwiska swojego ojca. Mengele otrzymał co prawda zgodę na małżeństwo, ale wyłącznie „na własną odpowiedzialność”. Został przy okazji poinformowany, że prawdopodobnie nie będą mogli z małżonką liczyć na wpisanie do elitarnej „Księgi Rodowej SS”. Jeden z kolegów Mengelego twierdził, że doktor był nieco tym rozczarowany, bo jako śniady brunet odbiegający urodą od ideałów

nazistów za wszelką cenę szukał kompensacji. Być może odnalazł ją na froncie wschodnim, po tym jak w listopadzie 1940 roku objął stanowisko lekarza liniowego w dywizji Waffen-SS Wiking pod dowództwem Felixa Steinera. Razem z Wikingiem Mengele przemierzył szlak bojowy przez Ukrainę, Dniepr, aż do Rostowa nad Donem. Został ranny i odznaczył się odwagą, ratując kolegów. Krzyż Żelazny I klasy otrzymał za wyciągnięcie pod ostrzałem dwóch rannych żołnierzy z płonącego czołgu i udzielenie im pierwszej pomocy. Dostał również Czarną Odznakę za Rany, a także „Order Mrozonek”, czyli Medal Wschodni dla uczestników walk zimowych na przełomie 1941 i 1942 roku. Pod koniec stycznia 1942 roku został zwolniony z powodu odniesionych ran. Czekąco go kolejne zadanie. Teraz Mengele zaczął służbę w biurze Naczelnego Lekarza Rzeszy SS i Policji w Berlinie, skąd został skierowany do Głównego Urzędu do spraw Rasy i Osadnictwa SS. Tutaj klasyfikował ludzi z okupowanej Polski na cztery grupy: czystej krwi niemieckiej, zdolnych do germanizacji, niewolników oraz Żydów i innych szkodników. Ta praca, zdaniem barona Verschuera niezwykle ważna, nudziła Mengelego. Zgłosił się więc znowu na front, ale zamiast walczyć, być może za sprawą Verschuera, został skierowany do Konzentrationslager Auschwitz.

30 maja 1943 roku Josef Mengele zgłosił się u lekarza garnizonu SS Eduarda Wirthsa, żeby objąć funkcję lekarza obozowego w „obozie rodzinnym” dla Cyganów BII w Auschwitz-Birkenau. Jeden z kolegów Mengelego twierdził, że od samego początku doktor roztaczał wokół siebie „specjalną aurę”, jako człowiek, który przybył niemal prosto z frontu. Dumny z licznych medali, często powoływał się na bitewne doświadczenia, żeby w dyskusji nadać argumentom większą wagę. To właśnie wtedy stał się TYM Mengelem.

\*

Początkiem obozu w Auschwitz, podobnie zresztą jak Sieniawki, były murowane przedwojenne koszary wojskowe. Dwadzieścia dwa budynki w miarę upływu czasu systematycznie obrastały barakami, drutami kolczastymi, krematoriami. W szczytowym okresie swego rozwoju, latem 1944 roku, ta wielka maszyna



obejmowała około czterdziestu kilometrów kwadratowych terenu i ponad czterdzieści obozów filialnych. W tym czasie w kompleksie obozów Auschwitz przebywało około stu trzydziestu pięciu tysięcy ludzi! Od pierwszych miesięcy 1942 roku obóz, pełniący wcześniej funkcję miejsca powolnej zagłady, stał się również największym, perfekcyjnie rozplanowanym ośrodkiem natychmiastowego unicestwiania. Tysiące głodujących i marznących ludzi, codzienne selekcje, obdzieranie z ubrań, włosów i godności, nieustanne mordowanie – to wszystko składało się na fabrykę śmierci, którą trudno było zarządzać. Dlatego 22 listopada 1943 roku kompleks został podzielony na trzy obozy: Auschwitz I, Auschwitz II-Birkenau i Auschwitz III-Monowitz. Jako podwładny lekarza garnizonu SS Eduarda Wirthsa Mengele został „naczelnym lekarzem obozowym” KL Auschwitz II-Birkenau, od grudnia 1944 roku pełnił zaś również funkcję lekarza załogi SS w lazarecie SS obozu macierzystego Auschwitz I. Już od pierwszych dni w obozie stosował metody ostateczne. Zaczął od „uzdrowienia” obozu cygańskiego, kierując ponad tysiąc osób do komór gazowych.

Do jego „zwykłych”, codziennych zadań należały między innymi selekcje. Pociągi, które wiozły z różnych miejsc Europy ludzi do obozu, często były w drodze przez wiele dni. Ofiary, upchnięte w bydłowych wagonach, bez wody, we własnych ekskrementach, często podróżujące z trupami (nie każdy wytrzymał taką drogę), za otwartymi nagle drzwiami widziały przerażający świat. Przez pierwsze minuty ludzie kompletnie nie wiedzieli, co się dzieje. Krzyki esesmanów, ujadające psy i żołnierze ustawiający nowo przybyłych w kolumnę – to wszystko przytłaczało, zabierało nadzieję i oddech. Na rampie czekał już esesman, który miał za chwilę decydować o życiu lub śmierci kobiet, mężczyzn i dzieci. Esesman, którym bardzo często był doktor Mengele.

„Nawet na rampie był niezwykle elegancki, przystojny, zadbany, zawsze wyprostowany. Więźniowie często opisywali go jako «wyglądającego bardzo aryjsko» lub «wysokiego blondyna», podczas gdy był średniego wzrostu, miał ciemne włosy i raczej śniadą cerę. Podczas procesu personelu z Auschwitz we Frankfurcie w 1964 roku jeden z więźniów zajmujących się rozładowywaniem

transportów wspominał cały czas tylko nazwisko Mengelego. «Przecież Mengele nie mógł być na rampie zawsze» – dziwił się sędzia. Świadek odparł wtedy: «Moim zdaniem zawsze tam był. W nocy i w dzień» – pisze Robert Jay Lifton w książce *The Nazi Doctors: Medical Killing and the Psychology of Genocide*[61]. Niekiedy podczas selekcji Mengele nucił bądź pogwizdywał jakąś arię, najczęściej były to tematy muzyczne z *Rigoletta*.

„Rozdzielano ludzi przybyłych w transporcie i kierowano ich na lewo lub na prawo. Prawa strona oznaczała życie, lewa krematorium” – wspominał Miklós Nyiszli, lekarz, który dzięki specjalizacji z medycyny sądowej i doskonałej znajomości niemieckiego został zatrudniony przez Mengelego jako specjalista od przeprowadzania sekcji zwłok. „Na lewo kierowano od siedemdziesięciu pięciu do osiemdziesięciu procent przybyłych, w tym dzieci, matki z dziećmi, ludzi starszych, kobiety w ciąży, osoby kalekie i inwalidów wojennych. Po chwili lewa kolumna odchodziła, zabierając ze sobą bagaż podręczny”[62]. Mengele stał, a kolumna więźniów przesuwała się przed nim jak w zwolnionym filmie. Kciuk lekarza wskazywał raz w lewo, raz w prawo. Austriacka więźniarka doktor Ella Lingens wspominała, że tylko Mengele i Fritz Klein nie pili alkoholu podczas selekcji. Mengele pogwizdywał arie Pucciniego, Bacha, Verdiego, Straussa i Wagnera.

Mengele urastał w oczach więźniów do roli wszechmogącego demona, grozę budził dysonans pomiędzy jego łagodnym stylem bycia, delikatnym uśmiechem a bezwzględnym zachowaniem. „Ta demonizacja sprawiła, że stał się kimś w rodzaju bóstwa, nieludzką lub nawet ponadludzką siłą, co utrudniało wytłumaczenie jego zachowania. W «zwykłych czasach» Mengele byłby zaledwie nieco sadystycznym profesorem, bez Auschwitz trzymałby swoje skłonności pod kontrolą. Ale kiedy odpowiednie miejsce spotkało się z odpowiednim człowiekiem, powstał Mengele, jakiego znamy”[63] – pisze prof. Lifton.

Jeden z więźniów wspomina, jak podczas selekcji matka odmówiła rozdzielenia z nastoletnią córką. Kiedy esesman chciał ją odciągnąć siłą, podrapała mu twarz. Mengele bez słowa wyciągnął pistolet i zabił obie kobiety. Wściekły rozkazał, żeby

wszyscy ludzie z transportu, których przeznaczył do pracy, również zostali odesłani do komór gazowych. To znaczy, że akurat wskazał kciukiem na lewo. „Sprzeczność, jaką odznaczał się ten człowiek, będący w stanie powiedzieć osiemnastoletniej dziewczynie, że jest piękna i młoda, a po chwili wyznaczyć ją do zagazowania, do dziś jest dla mnie czymś z gruntu niepojętym” – zeznawała więźniarka Bella Immergliick. Zdaniem doktora Müncha „wszystkie swoje obowiązki doktor Mengele wykonywał chłodno i beznamiętnie. Jego okrucieństwo w żadnym wypadku nie było motywowane względami osobistymi”.

\*

Na tyłach krematorium, do którego Mengele odsyłał więźniów z transportów oraz wszystkich uznanych za niepotrzebnych lub „wybrakowanych”, zostało urządzone prosektorium. W barakach Birkenau i w szpitalu obozowym doktor wygospodarował miejsca do przeprowadzania eksperymentów. Prowadził „badania” nad fizjologią karlenia, „pracował” nad metodami zmiany koloru oczu, szczególną wagę przykładał do bliższego poznania tak zwanego raka wodnego – bakteryjnej zgorzeli policzka spotykanej przy poważnym niedożywieniu. Niezwykle interesowały go bliźnięta, wierzył, że mnogie cięższe pozwolą na szybkie rozmnożenie rasy panów. Dlatego podczas selekcji na obozowej rampie zawsze z ogromnym zaangażowaniem szukał bliźniąt, które do śmierci żyły w nieco lepszych warunkach niż pozostali więźniowie. Oczywiście, miało to swoją cenę. Bliźnięta poddawane były bolesnym i okrutnym badaniom porównawczym, operacje odbywały się bez narkozy, żeby sprawdzić różnicę wytrzymałości na ból pomiędzy rodzeństwem. Bliźnięta umierały najczęściej razem, by Doktor Śmierć mógł natychmiast wykonać sekcję i zrobić porównanie. „Sam widziałem, jak w obozie cygańskim zarażał bliźnięta tyfusem, żeby śledzić, czy zareagują podobnie. Wkrótce po zakażeniu trafiały do gazu” – wspominał Jan Cespiva, więzień z Birkenau. Dwie nieletnie pary bliźniąt zeznały we Frankfurcie, że Mengele zmuszał je do współżycia z innymi bliźniętami, żeby przekonać się, czy urodzą bliźnięta. „W naszym bloku doświadczalnym dla bliźniąt i karłów płci

męskiej był jeden kaleki gnom z garbem” – opowiadał Efraim Reichenberg, który z bratem dzielił barak z karłami. – „Miał nieco[64] ponad metr wzrostu, czterdzieści lat, bruzdę na głowie i mógł poruszać się tylko o kulach. [...] Codziennie zabierano go do pokoju, gdzie musiał rozebrać się do naga. Esesmani przyprowadzali chorą na syfilis Cygankę i zmuszali go do spółkowania z nią. Sami przypatrywali się temu. Każdego ranka i wieczora badali go dokładnie, żeby stwierdzić, czy już się zaraził”[65].

Mengele nie miał czasu ani ochoty, żeby osobiście poddawać swoje ofiary testom. Miał od tego ludzi. W obozie zamknięci byli przedstawiciele wszelkich potrzebnych mu profesji: antropolodzy, lekarze, aptekarze, rysownicy, farmakolodzy, patomorfolodzy – wykonywali na bliźniętach i karłach niekończące się pomiary i badania. Rozkładali ludzkie ciało na drobne elementy, nie tłumacząc królikom doświadczalnym celowości tych eksperymentów. Jeśli Mengele dbał o swoje ofiary, to tylko dlatego, że mogły mu się przydać do badań. Nie marnował ludzkiego materiału. Świadkowie wspominają, że kiedyś pojawił się pod komorą gazową, gdzie na swoją kolej czekały nagie dzieci. Wyciągnął z grupy dwanaście par „swoich” bliźniąt i specjalną niebieską kredką namalował na ich klatkach piersiowych „ZS”. Słabo znające język dzieci były przekonane, że to skrót od „Zwillings”, czyli bliźnięta, i że Mengele ocali im życie. W rzeczywistości skrót ten miał inne znaczenie: „Zur Sektion” – „Do sekcji”. Po oznaczeniu malców doktor odesłał ich do komory i rozkazał obsłudze, żeby nie palić ich ciał, tylko przesłać je do prosektorium.

„Tu, na terenie obozu koncentracyjnego, otwierają się nieograniczone możliwości przeprowadzania badań anatomiczno-patologicznych w bardzo wielu przypadkach samobójstw, prac nad zagadnieniami bliźniactwa, wad rozwojowych: karłowatości i gigantyzmu. Takiej liczby zwłok do sekcji jak tutaj nigdzie indziej nie można znaleźć. Z własnego doświadczenia wiem, że w największych, światowej sławy klinikach instytuty medycyny sądowej oraz instytuty sekcji zwłok otrzymują rocznie zaledwie sto, sto pięćdziesiąt ciał, natomiast w oświęcimskim kacecie znajduje się «materiał badawczy» idący w miliony”[66] – wspominał

Miklós Nyiszli, lekarz, który na polecenie Mengelego przeprowadzał sekcje na tysiącach więźniów. Szacuje się, że „pan doktor” wykonał swoje zbrodnicze eksperymenty na około tysiącu pięciuset bliźniętach, z których przeżyło mniej niż sto.

\*

„Podczas rozmów prowadzonych w biurze Müncha Mengele miał stwierdzić, że «w pełni identyfikuje się z narodowosocjalistycznym programem likwidacji Żydów», w związku z czym udział w selekcjach na rampie «nie stanowi dla niego osobiście problemu», lecz zrozumieć to może tylko ten, kto «sam przynajmniej przez kilka miesięcy był włączony w system likwidacji Żydów». Münch uznał to nastawienie za ostateczną konsekwencję pseudoreligii, którą doktor Mengele «wyznawał jako przekonany członek SS».

Postawa ta przejawiała się na przykład w trakcie selekcji przyjeżdżających na rampę transportów, podczas których dokonujący jej lekarze SS mieli «surowo baczyć, [by] niezdolni do pracy natychmiast byli kierowani do komór gazowych», ci zaś, których uznano za przydatnych do pracy, zostali «zachowani [przy życiu] aż do totalnego zużycia». Kierując się tą regułą, Josef Mengele uznał, że «przeznaczone do zagazowania bliźnięta [...] mogą być wykorzystane w pożytecznym celu – mianowicie w badaniach nad bliźniętami». Mengele, jak przystało na sumiennego funkcjonariusza SS w Auschwitz, stwierdził, że każde inne rozwiązanie byłoby marnowaniem cennego materiału”[67].

\*

Josef Mengele pełnił służbę w Auschwitz przez półtora roku. Od 30 maja 1943 do 17 stycznia 1945 roku.

## ROZDZIAŁ XVII



## UCIECZKA

Na przełomie lipca i sierpnia 1944 roku Armia Czerwona była już niecałe dwieście kilometrów od Auschwitz. W obozie nie zapadły jeszcze ostateczne decyzje, Niemcy czekali na rozwój wypadków. Jednak pod koniec listopada 1944 roku Heinrich Himmler, wówczas minister spraw wewnętrznych, wydał rozkaz rozebrania i zatarcia śladów po komorach gazowych i krematoriach w Auschwitz-Birkenau. To o tych wydarzeniach opowiadał Teresce kapo z Auschwitz. Zaczął się liczyć czas. Żeby go oszczędzić, grupy więźniów paliły pod gołym niebem ciała zagazowanych ofiar. Piekło, które dawano się ciągle opisać, zamieniło się w przerażający spektakl niemożliwy do oddania słowami. Jego apogeum nastąpiło w styczniu, gdy z obozu wyruszyły pierwsze marsze śmierci.

– To już był czas zacierania śladów, choć nadal nikt nie wiedział, co będzie dalej. Niemcy przemieszczali więźniów na zachód, przesuając decyzje o ich losie na później. Dlatego w Gross-Rosen zaczął powstawać tak zwany obóz oświęcimski, do którego miały być kierowane transporty z Auschwitz – tłumaczy Katarzyna Pawlak-Weiss z IPN-u.

17 stycznia 1945 roku oddziały radzieckie zbliżyły się do Krakowa. Hans Frank – generalny gubernator okupowanych ziem polskich – pakował się w swojej siedzibie na Wawelu, a w Auschwitz odbywał się ostatni apel. Więźniowie sformowali kolumny. Od tego momentu do 21 stycznia KL Auschwitz i jego

podobozy opuściło pięćdziesiąt sześć tysięcy wycieńczonych ludzi, którzy pieszo i w wagonach mieli dotrzeć na zachód. Obsługa została poinstruowana przez komendanta obozu, że należy zabijać każdego, kto nie będzie zdolny iść bądź spróbuje w jakikolwiek sposób opuścić grupę. Panował chaos, pijani esesmani miotali się po obozie. Jedną z najdłuższych tras miało do przebycia ponad trzy tysiące więźniów z podobozy w Jaworznie. Ich celem był właśnie KL Gross-Rosen na Dolnym Śląsku.

Mengele długo zachowywał zimną krew. Osobiście brał udział w niszczeniu krematorium. Nadal eksperymentował. Świadkowie twierdzą, że doświadczenia prowadził do 8 grudnia 1944 roku. Jednak już 17 stycznia, niewiele ponad miesiąc później, w pośpiechu pakował najcenniejsze dokumenty, które zamierzał ze sobą zabrać. Były to głównie wyniki badań nad bliźniętami. „Doktor” stwierdził również, że trzeba ewakuować jak najmniej więźniów, czyli likwidować świadków. Wcześniej podoficerowie otrzymali rozkaz zniszczenia szpitalnych akt obozowych, jednak nie wykonali go do końca. Rosjanie byli zbyt blisko, bohaterscy esesmani serwowali się więc ucieczką. Sam Mengele udał się w kierunku obozu Gross-Rosen. Miał do przejechania prawie trzysta kilometrów. Tutaj zaczyna się najbardziej zagadkowy, pełen białych plam etap życia Anioła Śmierci. Ten etap, w którym ostatni raz spotkał się z Tereską.

\*

Ukrywając się po wojnie w Ameryce Południowej, Mengele robił notatki – udało się je odzyskać po śmierci oprawcy w 1985 roku. Niestety, przemilczane zostały w nich czas wojny i ucieczka z Auschwitz. Zupełnie jakby nie istniały lub były kompletnie nieistotne. Anioł Śmierci chętnie natomiast opisywał swoje życie w Argentynie, Paragwaju i w Brazylii, gdzie utopił się prawdopodobnie w wyniku udaru. Po ucieczce żył jak każdy inny przykładowy obywatel. Odwiedzał sąsiadów, w Argentynie otworzył nawet klinikę aborcyjną, przez co musiał opuścić kraj. Ale nas to już nie interesuje, my musimy odtworzyć jego drogę przez Dolny Śląsk, zapłacić białą plamę datami, faktami i relacjami.

Już 18 stycznia, czyli dzień po ucieczce z Auschwitz, Josef Mengele zaczyna pracować jako lekarz obozowy w Gross-Rosen. Zastępuje na tym miejscu Friedricha Entressa, który zostaje przeniesiony do 9 Dywizji Pancerniej SS „Hohenstaufen” jako wsparcie chirurgiczne. Dawno temu któryś z pracowników zajmujących się archiwum Gross-Rosen rzucił od niechcienia, że Mengele zdążył nawet wynająć sobie willę w pobliskim Szczawnie-Zdroju i założyć konto bankowe. Czy to w ogóle możliwe? Taka informacja budzi moją ciekawość. W jaki sposób oficerowie SS byli wynagradzani? Ile Mengele mógł zarabiać w swojej „pracy”? I co, przede wszystkim, miał teraz robić w obozie?

Szukanie po tylu latach nie jest łatwe. Doktor Katarzyna Pawlak-Weiss, wicedyrektorka wrocławskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej, tłumaczy mi, że nawet historycy mają z Gross-Rosen kłopot.

– Niemcy mieli sporo czasu na zniszczenie oryginalnej dokumentacji. Zrobili to na terenie Czech, podczas ewakuacji Gross-Rosen. Już w styczniu 1945 roku administracja obozu została przeniesiona na teren podobozu w Reichenau (Rychnov) w Czechach. Myślę, że Mengele operował właśnie stamtąd.

Ale to dopiero połowa problemu dotyczącego pamięci o Gross-Rosen. Czternastego lutego 1945 roku na teren obozu wkracza Armia Czerwona. Zastają puste baraki. Nie ma nikogo, kto mógłby, tak jak w Auschwitz, opowiedzieć swoją tragiczną historię. Niemcy wyprowadzili więźniów i popędzili ich dalej, na zachód. Zostawili jedynie trzydziestu Niemców, do których należały demontaż urządzeń i zacieranie śladów. Ale ci już uciekli. Polscy prokuratorzy chcą wszcząć śledztwo, jednak radziecka administracja nie wpuszcza ich za druty. Procedury są bardzo skomplikowane, Polacy interweniują u marszałka Rokossowskiego. Dopiero 22 sierpnia, czyli po ponad sześciu miesiącach, do obozu dostaje się polska komisja. Co widzą jej członkowie? Wojska sowieckie przy pomocy niemieckiej ludności „sprzątają” obóz. Wyrzucają niepotrzebne przedmioty z baraków, niszczą i palą dokumenty.

– Sowietci poszukiwali ważnych dokumentów. Na pewno część zabezpieczyli i przekazali wyższym władzom radzieckim, jest o tym mowa w relacji polskiego



prokuratora z 24 listopada 1945 roku – mówi dr Pawlak-Weiss. – Prokurator zapisał również, że to Rosjanie wysadzili krematorium w Gross-Rosen, choć trudno zrozumieć, jaki miałoby w tym cel. Razem z polską komisją obóz odwiedził Tadeusz Ryłski zatrudniony w Wytwórni Filmowej „Czołówka” przy pełnomocniku rządu RP na okręg administracyjny Dolny Śląsk. Zrobił tam wiele zdjęć, które zostały odnalezione dopiero w 2017 roku.

Dla mnie to oznacza, że trzeba dalej szukać. I to wszędzie. Tym bardziej że placówka badawcza przy obozie powstała dopiero w 1983 roku. Minęło więc trzydzieści osiem bezpowrotnie straconych lat od końca wojny. Wystarczy spojrzeć na zdjęcie zburzonego krematorium, które zrobione zostało w 1945 roku. Ciało ze związanymi drutem za plecami dłońmi przytwierdzone do części muru musiało zostać sfotografowane zaraz po likwidacji obozu. Niemożliwe, żeby Rosjanie, którzy „porządkowali” Gross-Rosen, zostawili zwłoki przez tyle miesięcy, by dopiero w sierpniu mogła uwiecznić je polska komisja. Kobieta ze starego zdjęcia ma na sobie jednak letnią bluzkę. To wszystko zupełnie się nie klei...

Ale to całkowicie inna kwestia, choć pokazująca, ile jeszcze pracy przed badaczami. Naszym zadaniem jest podążanie śladem Josefa Mengele. Tego zaś zostawiliśmy kilka miesięcy wcześniej, 18 stycznia 1945 roku, u progu głównego obozu Gross-Rosen.

Zima tego roku jest ostra. Temperatury spadają poniżej dwudziestu stopni. Za kilka dni władze Wrocławia wezwą ludność miasta do ewakuacji. Pod koniec stycznia rozpocznie się apokalipsa. Część uciekinierów zdoła się wpełznąć do pociągów, ale ponad sześćdziesiąt tysięcy ludzi ruszy na piechotę na zachód. Jest tak zimno, że malutkie dzieci będą zamarzać matkom na rękach, słabsi i starsi umrą jeden za drugim. Zanim Rosjanie wkroczą do Gross-Rosen, przez obóz przewiną się tysiące więźniów ewakuowanych z podobnych miejsc na wschodzie. Gross-Rosen, kiedyś nazywane kamiennym piekłem, teraz jest już piekłem Dantego.

Obóz jest przepełniony, więźniowie śpią niemal w stosach, po trzech na pryczach o szerokości siedemdziesięciu centymetrów. Rosjanie znajdują się już tak blisko, że również Gross-Rosen musi rozpocząć ewakuację. Orkiestra obozowa gra

*Marsz florentyński* Juliusa Fučíka, a obóz w rytm żwawej muzyki systematycznie wypływa kolumny więźniów.

„Jedną z najbardziej interesujących cech esesmanów było to, że bardzo lubili muzykę, skutkiem czego nasze muzyczne rozrywki były rzeczywiście dobre [...]. Muzycy tym sposobem byli w szczęśliwym położeniu, mogli wykonywać specjalny rodzaj pracy i prócz tego byli, rozkazem komendanta, traktowani lepiej niż reszta” – zeznawał potem jeden z żydowskich więźniów Auschwitz.

Tak jak mówiła dr Pawlak-Weiss: więźniów trzeba przesunąć jak najdalej na zachód, nie zostawiać śladów. Ale oni już na początku drogi są zamęczeni, czeka ich podróż węglarkami, do których strażnicy pakują nawet po dwustu ludzi. Po paru dniach jazdy zrobi się luźniej, część więźniów udusi się i robi miejsce dla innych. Czasami esesmani strzelą do wagonów serią z automatów.

– W jednym z transportów wyjeżdża równocześnie dwa i pół tysiąca więźniów! Dwa i pół tysiąca! Wyobraża pani sobie taki pociąg? – pyta mnie Katarzyna Pawlak-Weiss.

Mengele jest zaangażowany w ewakuację Gross-Rosen. W miarę postępowania radzieckich wojsk etapami likwidowane są również filie obozu. Rozkaz ewakuacji, który otrzymał komendant Johannes Hassebroek, nie zachował się, ocalał natomiast telegram z SS-Wirtschafts- und Verwaltungshauptamt (SS-WVHA) (Głównego Urzędu Gospodarki i Administracji SS w Oranienburgu) z 6 lutego 1945 roku, który dotarł do Gross-Rosen następnego dnia. Dotyczy on dyrektywy wydanej przez Mengelego 5 lutego. Jednostka nadzorująca obozy koncentracyjne wymienia ją jako coś dobrze znanego („Ist Ihnen wohl bekannt”). Napisany za pomocą licznych skrótów (w pewnym momencie niemieckie dokumenty niemal przestały być czytelne dla kogoś z zewnątrz) dalekopis rozszyfrowuje Katarzyna Pawlak-Weiss:

– Pismo wystosowane jest do „Grosz-Rosen”. Pisownia bierze się z tego, że w dalekopisach nie było *scharfes S*, tak zwanego ostrego S, które powstało jako ligatura<sup>[68]</sup> małych s i z. Wygląda na to, że Mengele decydował o marszach ewakuacyjnych i zwrócił się wcześniej z pytaniem dotyczącym szczegółów z nimi

związanych. SS-WVHA odpowiada, że kwestia transportów więźniów wymaga rozkazu SS-Obergruppenführera Ernsta-Heinricha Schmausera, generała policji i Waffen-SS, szefa policji w Breslau, odpowiedzialnego między innymi za marsze śmierci z Auschwitz, oraz że do przyjęcia więźniów nadają się obozy w Buchenwaldzie, we Flossenbürgu i Mittelbau. Obozy te zostały już powiadomione. W 1945 roku Heinrich Himmler przekazał wyższym dowódcom SS i policji władzę nad obozami koncentracyjnymi funkcjonującymi na podległych im terenach oraz zobowiązał ich do rzetelnego i terminowego przeprowadzenia ewakuacji, za którą od tej pory byli odpowiedzialni. Zgodnie z tym rozkazem obozy w Gross-Rosen i Auschwitz zostały podporządkowane decyzjom Obergruppenführera SS, generała Waffen-SS i policji Ernsta-Heinricha Schmausera. Komendantury obozów nie miały już w tej sprawie siły decyzyjnej, a jako że ktoś musiał koordynować całą akcję, Ordnungspolizei stało się dla nich jednostką nadrzędną. W Oranienburgu wiedzieli, że łączność może być zerwana, więc chcieli też, żeby terenowa jednostka policji przejęła kontrolę nad sytuacją – tłumaczy dr Pawlak-Weiss.

Na spodzie telegramu pojawia się następująca uwaga: „Przekazano telefonicznie 6 lutego 1945 o 10:30”.

– Wiele wątpliwości budzi to, że jako strona w ustalaniu spraw dotyczących ewakuacji jest wymieniony Mengele, a nie komendant obozu. Czy to może oznaczać, że Mengele zastępował w tym czasie komendanta? – zastanawia się moja rozmówczyni. Ta hipoteza wydaje się bardzo interesująca.

Pierwszą osobą, która odebrała rozkaz, był znany ze znęcania się nad więźniami Albert Lütkemeyer, komendant kompleksu Riese. Po wojnie uchodził za bohatera wojennego, mówiono, że zginął w boju, jednak tak naprawdę został skazany przez brytyjski trybunał wojskowy na śmierć i stracony w 1947 roku. Jako że Hassebroek zapewnił mu także pełne uprawnienia dotyczące między innymi zarządzania ewakuacją podobozów na wschód od Odry, Lütkemeyer przez

przypadek ocalał jednak życie kilku osobom. Zdecydował, że chorzy więźniowie mają zostać na miejscu. Ominął ich marsz śmierci.

7 lutego 1945 roku Josef Mengele podpisuje akt zgonu Oberscharführera SS Ottona Gaertnera, który zginął w kompleksie Riese w Dörnhau (Kolce) podczas prób z bronią. Przyczyna śmierci przedstawiona w dokumencie: zatrzymanie akcji serca i obrażenia płuc będące wynikiem ogromnego ciśnienia powietrza.

9 lutego to finał dramatu. Z Gross-Rosen wychodzi ostatnia kolumna więźniów, „sfora obozowych psów wyszarpuje więźniów ukrytych w kanałach, w blokach, w komórkach”[69]. Zostają rozstrzelani pod ścianą kuchni, ale niektórzy będą ukrywać się jeszcze przez kilka dni, zanim się zdradzą. Wieczorem rzeź w psiarni, zwierzęta nie są już potrzebne, trzeba je zabić. Piętnastego lutego będzie ostatnim dniem istnienia obozu.

W tę straszliwą zimę 1945 roku Mengele wydaje się cały czas niezwykle aktywny.

Wizytuje poszczególne filie obozu, choć do tej pory nie odkryto na ten temat żadnego śladu w dokumentach. Można opierać się jedynie na relacjach więźniów, stąd trudność w ustaleniu dat. Z Gross-Rosen Anioł Śmierci jedzie do obozu Ober Hohenelbe (Hořejší Vrchlabí), oddalonego o ponad sto kilometrów na południowy zachód od Gross-Rosen. Śliczna miejscowość z pałacem i klasztorem leży u stóp południowego stoku Śnieżki. Od 12 września 1944 roku pracuje tu kilkaset polskich i węgierskich Żydówek przywiezionych z Auschwitz. W zakładach Lorenza produkują amunicję i podzespoły do raketowych pocisków balistycznych V-2. Warunki są ciężkie. Za każdy drobny przestój, słabość, chwilę odpoczynku kobiety zamykane są w celi pozbawionej okien. Przez dwa, trzy dni nie dostają wtedy jedzenia ani picia. Armia Czerwona prze już pełną parą na zachód, gdy na żądanie komendantki obozu (jest nią prawdopodobnie trzydziestopięcioletnia Elza Havliková) w Ober Hohenelbe zjawia się Josef Mengele. Ma osobiście przeprowadzić drugą i jak się okaże, ostatnią przed wyzwoleniem selekcję. Odbywa się to identycznie jak w Auschwitz. Rozebrane do naga kobiety czekają na wyrok.

„Chawa Kraemer, jedna z bliźniaczek, którą w obozie [Auschwitz – przyp. J.L.] interesował się Mengele, zeznała, że w listopadzie 1944 została przeniesiona z Birkenau wraz ze swą siostrą do pracy w obozie Ober Hohenelbe. [...] Chawa Kraemer zachorowała na tyfus. Podczas wizyty w tym obozie Mengele wyselekcjonował chorych: kto nie był już zdalny do pracy, tego zabijano. Chawa Kraemer była tak słaba, że z trudem utrzymywała się na nogach. Starsza obozu zaaranżowała jednak tę sytuację tak, żeby dziewczynka mogła oprzeć się o ścianę, czego Mengele nie widział. «Mengele mnie wprawdzie nie rozpoznał, ale nie wybrał mnie przy tej selekcji»”[70] – powie później Chawa.

Tę ostatnią selekcję przybliży Ulrich Völklein, autor biografii Josefa Mengele.

Doktor Śmierć wskazuje dziesięć kobiet. Jedna to Węgierka, pozostałe to młodziutkie Polki pomiędzy siedemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia. Więźniarki zeznają, że wybrane robotnice zostają przeniesione w nieznane im miejsce. Gdzie?

„Wyselekcjonowani więźniowie mieli zostać przewiezieni do obozu sąsiedniego, którego nazwy nie pamiętam. W każdym razie mówiło się, że w tamtym obozie było krematorium”[71] – powie Chawa Kraemer.

Około siedemdziesięciu kilometrów na zachód od Vrchlabí, szesnaście kilometrów od Klein-Schönau działa podobóz Kratzau (obecnie Chrastava), ten, w którym przebywała Helen Waterford. Również tutaj Niemcy kierują coraz więcej osób, całe rodziny, a także polskie dzieci, które załoga rozdziela z rodzicami. Na terenie obozu przebywa około czterdzieścioro dzieci, najstarsze ma czternaście lat. Dzieciaki muszą pracować i choć wykonują najprostsze rzeczy: sprzątaj, czyszczą ścieżki, wrywają chwasty, to te zajęcia są dla nich zbyt ciężkie. Jedzą to, co dorośli: rzadką zupę z brukwi, czerstwy chleb, czasem ziemniaki, choć w ich późniejszych wspomnieniach pojawia się również wątrobianka. Rodzice usiłują przemycać dla nich jedzenie, które w żaden sposób nie zastępuje bezpieczeństwa.

Doktor Katarzyna Pawlak-Weiss twierdzi, że Mengele był w Kratzau już wcześniej, w październiku 1944 roku, gdy tylko powstała filia Gross-Rosen. Oznacza to, że w tamtym czasie zrobił rundę po kilku miejscach, był również w AL

Fünfteichen (Miłoszyce). W obozie Kratzau pojawił się ponownie dwukrotnie: 20 stycznia i 20 marca 1945 roku. Po selekcjach wybrane przez niego kobiety „zostały odesłane do podobozu Zittau<sup>[72]</sup>”. Czyli do Sieniawki? Dlaczego? Czy to jakiś ślad prowadzący do baraku z ciężarnymi?

Tak jak w kwestiach medycyny sądowej wszystkie ścieżki prowadzą do Tadeusza Dobosza, tak teraz nagle każda droga zmierza ku Sieniawce. Ivan Rous z Muzeum Północnoczeskiego w Libercu, który dokumentuje działalność podobozów Gross-Rosen, pisze o obozie w Weisskirchen (Bílý Kostel nad Nisou):

„Więźniarki były często bite, wiele z nich zakatowano na śmierć. Dokładne dane o uśmierconych nie są znane. Podobnie na więźniarkach Żydówkach wyżywali się żołnierze SS. Z zeznań wiemy o pobiciu na śmierć holenderskiej kobiety na placu apelowym za próbę ucieczki. Nieludzko zachowywali się dozorczy wobec dzieci, które urodziły się w obozie. Przynajmniej siedmioro z nich zostało na miejscu uśmierconych. Jedna kobieta w ciąży została wysłana do FAL Zittau, gdzie w obozie był oddział dla ciężarnych. Były tam już inne kobiety z Kratzau (Chrastava), przybyłe po selekcji przeprowadzonej przez dr. Mengele”.

I ten obóz Mengele odwiedził minimum trzy razy. Za każdym razem wzbudzał paniczny strach, wiele kobiet pamiętało go przecież z Auschwitz.

## ROZDZIAŁ XVIII



## TRUP W SZAFIE

Na co Mengele liczy w marcu 1945 roku?

– Na to, że może losy wojny potoczą się inaczej – uważa dr Katarzyna Pawlak-Weiss.

Coraz częściej kontaktujemy się ze sobą. Pomieszczenia medyczne pod szpitalem intrygują każdego fachowca, z którym rozmawiam. Moja ciekawość jest zaraźliwa, każdy stara się pomóc, ale wicedyrektorka wrocławskiego IPN-u robi więcej. Naprawdę zaczyna interesować się tym miejscem. W końcu jedziemy do Sieniawki razem. Doktor Pawlak-Weiss, podobnie jak ja kiedyś, jest zaszokowana potężnymi budynkami i instalacjami, które przetrwały do dzisiaj.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego to miejsce wzbudza tyle emocji. – Śmieje się.

Scenariusz jest niemal identyczny jak podczas mojego pierwszego spotkania z Jasiem. Szef Łużyckiej Grupy Poszukiwawczej, szczęśliwy, że ma gości zainteresowanych obozem, niemal przez sześć godzin ciąga nas po ruinach, krzakach i dołach. Piotrek Rodzik dyskretnie robi zdjęcia i z rzadka się odzywa. Katarzyna Pawlak-Weiss, nienagannie ubrana nawet w dniu eksploracji, wygląda w tym otoczeniu jeszcze dziwniej niż wśród swoich archiwów. Eleganckie buty i białe spodnie zwracają uwagę. Jest przepiękny letni dzień, w takie dni tak ubrane kobiety siedzą w kawiarni i piją sok przez słomkę. Nie szukają zmarłych, którzy domagają się swoich praw spod ziemi.

W naszych rozmowach ciągle pojawia się Mengele.

– Uważam, że kiedy przyjechał do Gross-Rosen, to nie operował już z obozu macierzystego, tylko szybko przeniósł się do Reichenau bei Gablonz (Rychnov u Jablonce nad Nisou), gdzie więźniowie pracowali w podziemnej fabryce. Właśnie tam już wcześniej zostały przewiezione archiwa Gross-Rosen i w końcu ewakuowała się komendantura.

Anioł Śmierci cały czas trzyma klasę. Zawsze dobrze ubrany, w błyszczących butach, wierzy w wodza i entuzjastycznie wykonuje swoje obowiązki.

Pod koniec 1944 roku w AL Bad Warmbrunn (Cieplice Śląskie-Zdrój, dzisiaj uzdrowisko, dzielnica Jeleniej Góry) wybuchła groźna epidemia. Więźniowie padali jak muchy, stan obozu zmniejszył się o połowę. W Gross-Rosen przebywał wówczas dwudziestoletni Arnold Mostowicz, który już po wojnie zasłynął jako ten, który zbliżył się do „bogów z kosmosu”, w licznych książkach propagował bowiem tematykę ufologiczną. Przed wojną Mostowicz studiował medycynę w Tuluzie, teraz, słysząc o epidemii, poczuł szansę na zmianę obozu, być może na lepszy. Zgłosił prośbę o przeniesienie do AL Bad Warmbrunn. Umotywowował ją najprościej: jestem lekarzem i mogę pomóc. Niemcom nie zależało na zdrowiu więźniów, więc Mostowicz nie spodziewał się pomyślniej odpowiedzi. Myślał raczej, że zostanie posądzony o lenistwo. Ale miał szczęście. Udało się.

Dostał nowy pasiak i płaszcz. W połowie lutego 1945 roku wraz z lekarzem z Pragi Emilem Voglem ruszył pod eskortą do AL Bad Warmbrunn. Temperatura spadła do minus dwudziestu pięciu stopni. Cieplice leżą blisko gór, od wieków mnóstwo sław, między innymi Marysieńka Sobieska, przyjeżdżało tu dla pięknych widoków i po zdrowie. Jak na ironię, Mostowicz i Vogel też mieli nieść ukojenie chorym, tyle że temperatura nie pozwalała im logicznie myśleć. Na gołych nogach mieli drewniaki, strasznie marzli, dodatkowo ironiczny wydaje się fakt, że ich nowy obóz mieścił się dokładnie kilometr od centrum uzdrowiska. Ale nawet w tej trudnej sytuacji znaleźli pocieszenie. Żandarm, który ich konwojował, mimo że miał na sobie gruby płaszcz i filcowe buty, również z trudem znosił podróż. Na dodatek przeraził się, gdy po przybyciu do celu okazało się, że w AL Bad



Warmbrunn panuje tyfus. Komendant wprowadził kwarantannę i esesmani nie wchodzili nawet za ogrodzenie. Bali się zarażenia.

Więźniowie zostali sami, opiekowali się nimi nowo przybyli lekarze. Do obowiązków Mostowicza należało nie tylko dogłądanie całkowicie osłabionych pacjentów, ale również rozdzielanie jedzenia. Porcje zupy i chleba, jak w każdym innym obozie, były głodowe. Na dodatek dokładnie wyliczane. Mostowicz z Voglem regularnie musieli podawać esesmanom stan obozu, żeby przypadkiem nie wydano im zbyt wielu posiłków. Ciała martwych więźniów mieli wystawiać przed blok.

Potrzeba jest matką wynalazków, tak więc i w świecie upokorzenia nasi bohaterowie się nie poddali. Więcej nawet, odważyli się na pokerowy ruch. Postanowili ukrywać stan obozu, upychając zwłoki w szafach i pod łózkami. W ten sposób udawało im się zdobywać porcje jedzenia, z których zmarli nie mogli już skorzystać. System byłby doskonały, gdyby nie to, że trupy zaczynały po jakimś czasie śmierdzieć i odór robił się nie do wytrzymania.

Kiedy na początku marca skończyła się kwarantanna i obóz został zdezynfekowany, nieoczekiwanie przyjechała do niego grupa wysokich dowódców SS z Josefem Mengele na czele. Więźniowie dziwili się, że taka komisja odwiedza maleńki obóz gdzieś na Dolnym Śląsku. W końcu epidemia to nie koniec świata. Niemal zabawne było to, że wizytacja odbywała się z całą powagą, jak gdyby wszystkie inne sprawy Trzeciej Rzeszy funkcjonowały bez zakłóceń.

„W każdym razie [...] Mengele w otoczeniu kilku oficerów SS wjechał z całą pompą do obozu, przez bramę [...], po czym udał się do obozowego szpitala. Wszystko odbywało się kulturalnie i elegancko, jak to między dżentelmenami, gdy oto przy wejściu do sali kilka dni wcześniej zdezynfekowanej, a teraz wietrzonej – katastrofa! I to jaka! Zza drzwi wypadają w stanie daleko posuniętego rozkładu zwłoki”<sup>[73]</sup> – wspominał Arnold Mostowicz.

Trup dosłownie zwałił się na doktora Mengelego, który uchylał drzwi do jednej z sal.

„Oprawdazający komisję Emil Vogel o mały włos nie zginął, gdy esesman sięgnął natychmiast po pistolet, by go zastrzelić. [...] Na szczęście ktoś esesmana powstrzymał [...]. Czy Mengele ochłonął po drodze z wściekłości, czy też widok umierającego chorego [innego lekarza obozowego] tak podziałał, dość, że były naczelny lekarz Auschwitz machnął tylko ręką i wyszedł z sali. Komisja oglądnęła sobie resztę kwarantanny, pomówiła z miejscowymi esesmanami, wydała jakieś polecenia, których nikt nie zamierzał wykonać, i pojechała. [...] Esesmani coraz paniczniej bali się likwidacji obozu. Epidemia zaś rzeczywiście zaczęła wygasać”.

To dalszy ciąg relacji Arnolda Mostowicza.

Jeszcze w tym samym miesiącu, choć trudno ustalić dokładną datę, Mengele jedzie do AL Sackisch w Bad Kudowa (Zakrzów, dziś część Kudowy-Zdroju). To kolejny kurort, w czasie I wojny światowej popularny wśród niemieckich żołnierzy. Równie chętnie w Zdroju pojawiali się Polacy żydowskiego pochodzenia, głównie z austriackiej Galicji Wschodniej, a po I wojnie z kresów południowo-wschodnich. O nich opowiada zapomniany enerdowski serial *Hotel Polanów i jego goście*, w którym zagrali najwybitniejsi polscy aktorzy: Kalina Jędrusik, Iga Cembrzyńska, Leon Niemczyk i Jan Bińczycki. Żydowska klientela gromadziła się głównie w hotelu Austria, który reklamował się jako znajdujący się „pod nadzorem rabinatu, bardzo blisko placu Zdrojowego, znany ze znakomitej czeskiej kuchni [...], ze światłem elektrycznym i ogrzewaniem”. Zapewniał również „codzienne nabożeństwo w domu”[74]. Zresztą prawie jedna trzecia miejsc w Kudowie nastawiona była na goszczenie „prawowiernych” Żydów, a hotele najczęściej reklamowały się jako ściśle rytualne. W czasie II wojny światowej uzdrowisko zostało zamienione na wielkie sanatorium dla Wehrmachtu. Do pobliskich miejscowości przeprowadziły się również zakłady pracujące na rzecz przemysłu wojennego: Vereinigte Deutsche Metallwerke (VDM), Sehmann, Goldschmidt czy Telefunken. Filia Gross-Rosen powstała w odległości dziesięciu minut pieszej wędrówki od „rytualnych pensjonatów”, parku zdrojowego i eleganckiej pijalni wód mineralnych. W obozie przebywało od około siedmiuset do dziewięciuset pięćdziesięciu kobiet. Ich dokładna liczba nie jest znana. Z dokumentacji wynika,

że podobnie jak dziewczyny z Klein-Schönau, wszystkie zostały przywiezione z Auschwitz.

## ROZDZIAŁ XIX



### MARSZ NIENARODZONYCH

Były więźniarki z Kudowy-Zdrój zostały przesłuchane dopiero na początku lat 70. XX wieku. Na zlecenie Fundacji Shoah zeznawały na posterunkach policji właściwych dla swojego miejsca zamieszkania. Właściwie wszystko wyglądało jak wypełnianie formularza. Każda z nich dostała takie same pytania. Niewiele już wtedy pamiętały, szczegóły były zatarte. Gdzieś w zakamarkach pamięci obijały im się imiona niektórych koleżanek, ale łatwiej niż współtowarzyszki niedoli było im opisać grubą Lisabeth, trzydziestoletnią szatynkę, która pełniła funkcję strażniczki.

– Potwornie się jej bałyśmy. Strasznie mnie pobiła i wyrwała włosy z głowy, bo nie mogłam nadążyć za swoją grupą w drodze do pracy – wspomina Ryfka Apelbaum.

Wśród młodych kobiet, często wyrwanych rodzinom dopiero w 1944 roku, były również takie, które do obozu trafiły w ciąży. Ryfka nie pamięta imienia więźniarki, która urodziła jeszcze w Auschwitz. Tam odebrano jej dziecko. Matka postradała zmysły, a kiedy trafiła do Bad Kudowa, komendant całkowicie odizolował ją od reszty kobiet. Siedziała w zamknięciu, komendant znęcał się nad nią, a potem usunął ją z obozu. Nikt nie wiedział, co się z nią stało.

Stosy dokumentów Muzeum Gross-Rosen są pełne nieprawdopodobnego bólu. Setki suchych relacji na poszarzałych kartkach. Wszystkie pisane na maszynie albo ręcznie. Świat papieru, który w razie katastrofy przetrwa dłużej niż zasoby

Internetu. Rzędy teczek z tasiemką kryją historie ofiar i ich katów. Muzeum nie zezwala na fotografowanie wielu dokumentów, stąd badaczy często czekają żmudne godziny ich przepisywania. To jednak pomaga się skupić, wyłapać niuanse, które łatwo mogłyby umknąć. Spisywanie męczy, ale w muzealnym archiwum pojawia się zupełnie inny problem. Młoda stażystka, która siedzi przy biurku obok i służy mi pomocą w każdej chwili... jest w ciąży. Za każdym razem, kiedy chcę ją poprosić o pomoc w przeszukiwaniu archiwaliów, po prostu nie mogę się do tego zmusić. Śledzę przecież historie dziewczyn dokładnie takich jak ona.

Mniej więcej na miesiąc przed wyzwoleniem AL Bad Kudowa esesmanki wyselekcjonowały kobiety w widocznej ciąży. Na rewirze (w szpitalu obozowym) pracowała wówczas Sara Graff-Rehovoth (z domu Ludkowski bądź Losowka) z Białegostoku. Lekarka miała trzydzieści jeden lat, gdy trafiła do Gross-Rosen. W obozie koło uzdrowiska przebywała od listopada 1944 roku. Jej zeznanie okazuje się kluczowe dla całej historii.

„Otrzymałam polecenie zabrania z naszego obozu kobiet w ciąży. Zrobiłam to osobiście razem z sanitariuszem i innym esesmanem. Przyszedł rozkaz, żeby je odtransportować do Zittau. Droga była trudna, bo Amerykanie bez przerwy bombardowali ten obszar. Pozostawiliśmy kobiety w Zittau, nie wiem, jaki był ich dalszy los. O ile się orientuję, jedna z nich przeżyła. Do Zittau zabrałam około dziesięciu kobiet, bo tam znajdował się dla nich specjalny oddział. Nic nie wskazuje na to, że kobiety ciężarne lub nowo narodzone dzieci zostały zabite”.

Sara Graff używa nazwy „Zittau”, a nie „Klein-Schönau”, ale chodzi o to samo miejsce, bo tylko w Klein-Schönau była wówczas izba porodowa. W literaturze często te dwie nazwy występują zamiennie, prawdopodobnie z tego względu, że znajdujące się w tych miejscowościach zakłady należały do tej samej firmy. Trzeba jednak przyznać, że wprowadza to spore zamieszanie. Natomiast informacja o bombardowaniu przez Amerykanów nie może być prawdziwa, bo dopiero od 17 kwietnia 1945 roku generał Patton, najbardziej porywczy z amerykańskich generałów, rozpoczął akcję zajmowania zachodnich Czech i, najprawdopodobniej, południowo-zachodniego zakątka Dolnego Śląska. Eisenhower zabronił jednak

nienawidzącemu Sowiec Pattonowi prowadzenia dalszego przemarszu, choć ten mógł całkowicie zmienić historię tej części Europy. Lekarka z Bad Kudowa Amerykanów nie mogła więc widzieć ani słyszeć, ale też najzwyczajniej mogła się pomylić, pomieszać fakty, nałożyć na siebie różne sytuacje. Była zmęczona, zmarznięta, głodna. W stresie. Z Klein-Schönau pod eskortą musiała jeszcze wrócić do swojego obozu.

Andrea Rudorff, która zebrała fakty dotyczące kobiet w Gross-Rosen, twierdzi, że relacje (niestety, nie dokumenty) dowodzą, iż Sieniawka stała się centralnym szpitalem położniczym dla podobozów około marca 1945 roku. Badaczka wiąże to z aktywnością doktora Mengelego w filiach Gross-Rosen. Stawia hipotezę, że być może to Anioł Śmierci kazał kierować przyszłe matki w jedno miejsce<sup>[75]</sup>.

Katarzyna Pawlak-Weiss nie ma tu żadnych wątpliwości.

– Nie oszukujmy się, że ktoś się przejmował przyszłymi matkami, na dodatek żydowskiego pochodzenia – mówi. – Niewykluczone, że Mengele miał jakieś plany dotyczące kobiet w ciąży i ich dzieci w kontekście eksperymentów medycznych. Z analizy jego wcześniejszych działań wynika, że fascynowały go ciążę mnogie i doświadczenia na bliźniętach. Im poświęcał najwięcej swojego czasu.

„Centralny szpital położniczy” w Klein-Schönau był tak naprawdę poddaszem nad halami montażowymi. Kobiety, które się do niego dostały, mogły mówić o szczęściu. Agnieszka Dobkiewicz ze Świdnicy podsuwa mi artykuł z czeskiego portalu IDNES.cz o intrygującym tytule *Válečný zločinec Josef Mengele působil i v Chrastavě*. „Válečný zločinec” od razu kojarzy się Polakowi z „walecznym złoczyńcą”, ale tak naprawdę tak po czesku brzmi „zbrodniarz wojenny”. W artykule nie ma niczego nowego – oprócz informacji, że od października 1944 roku w Kratzau i w Bílým Kostelem około siedmiu brzemiennym więźniarkom została podana trucizna. Pojawia się sugestia, że stało się tak za sprawą Mengelego.

Znajduję w archiwach relację z ostatnich tygodni przed wyzwoleniem. Z zapisu wynika jedno: komendantka z Kratzau powiedziała ciężarnej więźniarce, że powinna „wszystko zaaranżować tak, by jej dziecko się nie urodziło”<sup>[76]</sup>. Przyszła matka odmówiła. Na świat przyszedł zdrowy chłopiec. Komendantka przyniosła

jakiś płyn i kazała go podać noworodkowi, ale sanitariuszka nie wykonała rozkazu. Być może miała świadomość, że wojna wnet się skończy.

– To już nie był czas na zabijanie dzieci – powie potem węgierska Żydówka, która w Klein-Schönau odbierała porody. Na strychu przyszło na świat przynajmniej dwadzieścioro dzieci. Obozowa porodówka była równocześnie najpiękniejszym i najstraszniejszym miejscem w całym imperium śmierci. Tylko kobieta, która nosi w sobie życie, jest w stanie współodczuwać i zrozumieć to, co mogło dziać się w głowach i w sercach wykończonych strasznymi warunkami matek. Najpierw ukrywanie rosnącego brzucha, który staje się śmiertelnym zagrożeniem, jeśli dostrzeże go ktoś z obsługi. Potem paniczny lęk przed selekcją. Lęk o dwa życia. W końcu wyjazd w nieznaną, do miejsca, gdzie odbędzie się poród. Ale czy na pewno pozwolą urodzić? Czy jedzie tam, dokąd powiedzieli? A może chwilowy przestój to preludium zabijania? W końcu widok koszar w Sieniawce. Przytłaczające szare budynki, drut kolczasty, kolejny obóz i strych. Tu ma urodzić się moje dziecko? Co będzie dalej? Czy mi je zostawią? Czy będę mogła je przytulić? Karmić? Rok 1945 to nie są czasy Internetu, wszechobecnej informacji dostępnej natychmiast, w każdej chwili, w dowolnym miejscu na świecie. Rok 1945 to ciągle nie czasy, w których wojnę obserwuje się na żywo na ekranie komputera. To czas domysłów, szczególnie kiedy jest się odcięty od jakiegokolwiek wiedzy.

Na dole ciągle pracują więźniowie i robotnicy, a na strychu ponad halami rodzą się kolejne dzieci. Jest ich co najmniej dwadzieścioro. Edith Stern i Hanni M. wspominają, że na „porodówce” jest prymitywnie, a ich lekarka ma tylko igłę i nitkę. I swoje doświadczenie. Strażnicy zachowują się przyzwoicie, być może czują, że ich czas się kończy, a może cud nowego życia i w nich porusza ludzką strunę. Matki dostają lepsze jedzenie, karmią piersią. Razem z maluchami są w tym samym pomieszczeniu. Z dokumentacji wynika, że 17 kwietnia 1945 roku, dwa dni po narodzinach, umiera w Klein-Schönau dziewczynka. Ma numer 96957. Czy zostaje pochowana, a jeśli tak, to gdzie i co dzieje się z jej matką? Tego nie wiadomo.

Trzy dziewczynki, które urodziły się w Klein-Schönau, zostają wciągnięte na listę więźniów utworzoną już 13 maja 1945 roku przez Żydowski Komitet Dolnego Śląska w Reichenbach<sup>[77]</sup>. Zostały wpisane do rejestru Gross-Rosen pod numerami 96951, 96959 i 96960 – to najwyższe liczby udokumentowane dla więźniów całego obozowego imperium. Według prof. Alfreda Koniecznego, badacza historii Gross-Rosen, dziesięcioro dzieci otrzymało numery rejestracyjne z Gross-Rosen (od 96951 do 96960), a następnie zostały przewiezione do Langenbielau na obrzeżach Dzierżoniowa. Najwyższe numery przydzielono dziewczynkom. To Adela Bialik, Estusia Ferensztein i Szajndla Zborzeńska. Szajndla urodziła się jako ostatnia.

Postanowiłam je odnaleźć. Zaangażowałam w to wszystkie możliwe instytucje i Internet. W ciągu zaledwie kilku dni na moją prośbę o pomoc umieszczoną na Facebooku odpowiedziało ponad dwadzieścia osób. Nie udało się. Ale zanim zaczęłam szukać, Jasiu napisał list w nieznaną.

– Znalazłem informację, że 15 marca z podobozu w Bad Kudowa do Sieniawki została przywieziona ciężarna Hanna Maroth. Na porodówce były wtedy cztery inne dziewczyny, Lia, Francuzka, i trzy Czeszki: Rene, Edith i Trude. Ta Trude skojarzyła mi się z Gertrude Schwarz-Sojką, której nazwisko znalazłem w hiszpańskiej pracy o obozach koncentracyjnych. Była tam wymieniona nazwa Klein-Schönau, gdzie Trude urodziła dziecko. Przeczytałem również, że Gertruda po wojnie zamieszkała w Ekwadorze i że ma swoje muzeum. Nie znam ani angielskiego, ani hiszpańskiego, więc pomyślałem: niech inni uczą się polskiego. Napisałem list po polsku, dałem adres Consulado Ecuador i wysłałem e-maila. Myślałem tak: skoro Gertrude Schwarz-Sojka jest malarką i ma w stolicy Ekwadoru swoje muzeum, to wszyscy powinni ją znać. I nagle dostaję odpowiedź... po polsku! No ja mam więcej szczęścia niż rozumu!

List trafił do konsulatu czeskiego. Jedna z pracujących tam pań znała polski i doszła do wniosku, że musi pomóc!

I tak pewnego dnia na dworcu w Zittau stanęła drobna śliczna brunetka, wnuczka Gertrudy – dwudziestodwuletnia Gabriela F. Steinitz. Przyjechała z Ekwadoru do Pragi w poszukiwaniu śladów babci. Razem z Jasiem odebraliśmy



z peronu tę dzielną dziewczynę z drugiego końca świata. Kiedy patrzyłam na jej drobną postać czekającą samotnie, pomyślałam, że wiele lat temu przyjeżdżały tu setki takich młodych kobiet. Była wśród nich jej piękna babcia. Naprawdę piękna, to nie frazes, widać to na starych zdjęciach. Na dodatek w zaawansowanej ciąży. W Gross-Rosen została numerem 86110.

Gertrude Sojka, znana później jako Trude, nigdy nie opowiadała o obozie. Zostawił w niej głęboką ranę. Czasami wspominała tylko o tym, jak została zmuszona, żeby wykopać własny grób, o głodzie i o tym, że ukradła kawałek chleba z ust kobiety, która właśnie zmarła na dur brzuszny. Żeby przeżyć, jadła również skórki z ziemniaków. Obóz przetrwała dzięki temu, że potrafiła robić masaże. Z Auschwitz, podobnie jak wiele kobiet, trafiła do Bad Kudowa, a stamtąd do Klein-Schönau. Jej matka, siostra i kuzyn zginęli wcześniej.

Tyle wiadomo od Anity Steinitz, córki Trude i mamy Gabrieli. Ale i ona nie zna całej prawdy. W dokumentach jest bałagan, daty się nie zgadzają, brakuje wielu faktów. Prawdopodobnie Trude odbyła podróż do Klein-Schönau z Sarą Graff, lekarką z Bad Kudowa.

Co stało się z dzieckiem, z cicią Gabrieli?

Historia Trude to wędrówka przez piekło, a potem powolne osvajanie go do końca życia. Panna Sojka urodziła się w 1909 roku w Berlinie. Jej ojciec Rudolf był inżynierem, współpracował przy rozwijaniu krajowej sieci kolejowej z Eloyem Alfaro, prezydentem Ekwadoru. Liczył, że średnia córka (Trude miała jeszcze dwie siostry i brata) pójdzie w jego ślady, choć ona woląa sztukę. Od najmłodszych lat rysowała, ale ojciec był nieprzejednany. Dziewczyna musiała zacząć studia ekonomiczne. Od razu wiedziała jednak, że to nie dla niej, i po cichu, wbrew woli taty, przepisała się do Pruskiej Akademii Sztuk Pięknych. Prawdopodobnie była studentką Käthe Kollwitz, artystki nielubianej przez narodowych socjalistów. Jeszcze w 1936 roku Trude wystawiła swoje prace berlińskiemu Märkisches Museum, ale wraz z nasileniem się prześladowań Żydów z całą rodziną wyjechała do Pragi. Sojkowie liczyli, że będą tam bezpieczni, zaczynały się jednak trudne lata.

Jeszcze przed wybuchem wojny Trude zdążyła wyjść za Dezidera Schwarza, z którym wyjechała do słowackiej Nitry. Co prawda brat namawiał siostrę artystkę do opuszczenia Europy i dołączenia do niego w Ekwadorze, gdzie wykładał chemię, ale dziewczyna odmówiła. W jej dalszych losach sporo jest białych plam, wiadomo jednak, że do Auschwitz trafiła 1 października 1944 roku; z pewnością wcześniej po raz ostatni widziała się z mężem. W ciążę musiała zajść we wrześniu. Jej matka została rozstrzelana, siostra, szwagier i ich dziecko zginęli w Terezynie. Ojciec zmarł wcześniej. Z Auschwitz Trude została wywieziona do AL w Bad Kudowa. Stamtąd 15 marca 1945 roku trafiła do Klein-Schönau. Prawdopodobnie była w siódmym miesiącu ciąży.

Przyszłe matki w Klein-Schönau nie miały taryfy ulgowej. Więźniarka Henia R. zeznała po wojnie, że jej siostra urodziła 21 marca 1945 roku. Cały czas musiała pracować, jakby nic ważnego się nie wydarzyło. Po porodzie ukryła noworodka, ten zaś był za słaby, żeby krzyczeć, i to mu uratowało życie. To dość zaskakująca relacja, jeśli wziąć pod uwagę, że dla kobiet w ciąży i tych zaraz po porodzie było przewidziane specjalne miejsce na strychu. Dlaczego dziecko było zagrożone?

Czwartego maja 1945 roku Trude urodziła córeczkę – Gabriele Evelin Schwarz. Wojna skończyła się pięć dni później. Dziewczynka zmarła 29 maja.

Gabriele Evelin była chora. Niedożywiona, miała powikłania płucne i bardzo ciężką, rzadką chorobę skóry. Tak wynika z zaświadczenia wydanego przez szpital w Zittau, do którego trafiła po wyzwoleniu obozu. Trudno wyobrazić sobie tragedię matki, która urodziła dziecko za drutami i straciła je zaraz po wyzwoleniu. Trude miała jeszcze jednak nadzieję na odnalezienie męża.

Nigdy go już nie spotkała. Zabrała urnę z prochami malutkiej i wyjechała do Quito, tam, gdzie jeszcze w 1938 roku zapraszał ją brat.

Nowy kontynent oszołomił ją kolorami, zapachami i smakiem oryginalnych owoców. On, a także bliskość brata i jego żony, stały się inspiracją dla poranionej artystki. Trzy lata po wojnie spotkała Hansa Steinitza, byłego więźnia Sachsenhausen. Zakochali się, wzięli ślub. Urodziła trzy córki. Najmłodsza z nich, Anna Steinitz, to mama Gabrieli.

Z czasem Trude niemal całkowicie oddała się sztuce. Choć używała wielu kolorów, z jej prac bił smutek, rodzaj głębokiego rozdarcia, z którym nie mogła sobie poradzić. Jej pierwsze prace pokazywały komory gazowe, więźniów szarpiących się na drutach. Symboliczne obrazy niosły w sobie ogromny ładunek rezygnacji. Potem artystka zainteresowała się abstrakcją, a także sztuką Ekwadoru. Stworzyła własny styl, wykorzystując w pracy materiały z recyklingu i cement. Odeszła w 1991 roku. Tego samego roku w Niemczech zmarł dyrektor Zittwerke.

Miała straszne i ciekawe życie.

– Zaczyna być sławna, ma swoje muzeum, wystawiała w USA i we Francji. – Cieszy się Gabriela, dzieląc się ze mną wszystkimi materiałami dotyczącymi cioci, jakie ma.

Czy Trude spotkała Josefa Mengele w Klein-Schönau? Nigdy o tym nie wspominała, choć zdaniem Andrei Rudorff to właśnie od wizytacji w późniejszej Sieniawce Anioł Śmierci rozpoczął regularne inspekcje obozów kobiecych.

Barbara Sawicka, kierownik Działu Naukowo-Badawczego Muzeum Gross-Rosen w Wałbrzychu, wskazuje mi jeszcze inne miejsce, które wizytował Mengele. To AL Fünfteichen (Miłoszyce w gminie Jelcz-Laskowice), którego więźniowie pracowali w zakładach zbrojeniowych Friedrich Krupp-Bertha Werke oraz w innych przedsiębiorstwach wykonujących prace przy rozbudowie tych zakładów. Kolejne piekło, ulokowane w pięknej okolicy, na przestrzeni czterdziestu dwóch hektarów, otoczone dwoma rzędami płotów z siatki drucianej. Ostatni komendant obozu był zdeterminowany, żeby zamiast ewakuacji więźniów pod koniec wojny wszystkich pozabijać. Więźniowie opuścili jednak obóz, ale podczas marszu szkieletów do Gross-Rosen w styczniu 1945 roku Niemcy mieli zamordować dwa tysiące osób.

– Moim zdaniem Mengele nie miał wcześniejszych kontaktów z Gross-Rosen. Dopiero kiedy we wrześniu 1944 roku Niemcy zaczęli wywozić z Auschwitz część dokumentacji, być może zaczął szukać miejsca, do którego mógłby przenieść ten swój cały „Geschäft”<sup>[78]</sup>. W październiku odwiedził Fünfteichen, może myślał, że

tam ulokuje również ośrodek badawczy, a może zmienił plany i rozważał nawet Zittwerke? – zastanawia się Barbara Sawicka.

Czy to by oznaczało, że Mengele przygotowywał sobie w Klein-Schönau pracownię? A może była to działalność własna komendanta obozu albo inicjatywa zakładów Junkersa, które zamierzały, podobnie jak inne zakłady, eksperymentować na więźniach? Czy lekarze w Gross-Rosen przeprowadzali pseudomedyczne doświadczenia?

## ROZDZIAŁ XX



## ZAKAZ MARNOWANIA ZWŁOK

Profesor Paul Weindling z Oksfordu to jeden z najwybitniejszych na świecie badaczy zajmujących się medycyną nazistowską. Naukowiec ma na koncie setki artykułów, wystaw, prelekcji. To specjalista takiej klasy, że jako ostatecznego argumentu w dyskusji wystarczy użyć: „A Weindling powiedział...” i ma się z głowy oponenta. Słynny badacz odwiedził nawet Wrocław, żeby na tamtejszym Uniwersytecie Medycznym szukać śladów nazistowskich zbrodni. W książce *Victims and Survivors of Nazi Human Experiments: Science and Suffering in the Holocaust*<sup>[79]</sup> poświęca imperium Gross-Rosen dokładnie... jedną linijkę. To linijka w tabelce na samym końcu publikacji. Linijka o wielkim znaczeniu. Pokazuje liczbę więźniów, na których przeprowadzane były pseudomedyczne doświadczenia w obozach koncentracyjnych. Auschwitz: potwierdzone ofiary eksperymentów – 3835, sprawy do wyjaśnienia – 4238. Gross-Rosen: potwierdzone ofiary – 4, do wyjaśnienia – 50. Ani słowa więcej<sup>[80]</sup>.

Znowu staję więc za plecami prof. Gerharda Buhtza, szefa Institut für Gerichtliche Medizin und Naturwissenschaftliche Kriminalistik. Lekarz sądowy zaczyna pierwszą sekcję zwłok w historii Gross-Rosen. Odbywa się ona w samym obozie. Na stole, prawdopodobnie prowizorycznym, leży ciało Stanisława Matuszewskiego.

Nazistowscy urzędnicy działali według dokładnie wyznaczonych schematów. To oczywiste. Skoro w głównym obozie przeprowadzane były autopsje, identycznie powinno to wyglądać w filiach, także w Sieniawce. Dlatego muszę się dokładniej przyjrzeć pracy Buhtza.

Kim był Matuszewski? Zwykłym więźniem Gross-Rosen. Ale też więźniem niezwykłym, bo pierwszym, który odważył się na ucieczkę z obozu. Urodził się w Tomaszowie. Do kamiennego piekła został przywieziony z pierwszym transportem w grupie stu mężczyzn 2 sierpnia 1940 roku. Więźniowie wspominają, że to był piękny słoneczny dzień. „Ujrzeliśmy po raz pierwszy olbrzymie sztolnie, wyrobiska, budynki i hale. Zrozumieliśmy, że te ponure i dziko wyglądające, poszarpane skały staną się dla nas i wielu tysięcy przybyłych po nas ludzi grobem, straszliwym miejscem wyniszczenia” – opowiadał Stanisław Wądołowski z grupy Matuszewskiego. Ich kolega Stanisław Wójciak dodawał: „Pracowałem z Cichockim Franciszkiem przy fundamentach pod nowe bloki. Myśl o ucieczce nie dawała mi spokoju. Namówiłem Cichockiego, żeby mnie zamurował. Prosiłem też Cichockiego, żeby zalał mnie cementem, zabezpieczając niewidoczny otwór do oddychania, a w nocy bym uciekł. Początkowo się zgadzał, lecz później zrezygnował. Na nic moje plany. Pierwszym, który uciekł z obozu, był Stanisław Matuszewski z Tomaszowa, jednak pod laskiem został zastrzelony”.

Człowiek, nad którego ciałem pochylał się teraz Buhtz, zginął 15 sierpnia 1940 roku o godzinie trzynastej trzydzieści. W obozie wytrzymał trzynaście dni.

Wśród szarych kartek, które zdobyłam, znajduje się pełen protokół sekcji zwłok. Medyk sądowy przyjechał do Gross-Rosen razem z asystentem, kierownicą i sekretarką. Biorąc pod uwagę literówki, należy się spodziewać, że protokolantka zabrała ze sobą maszynę, siedziała w pobliżu profesora i pilnie wklepywała. Poznaję szczegóły budowy, wiek i wzrost uciekiniera. Wiem, w jakiej pozycji oddał życie. To dziwne uczucie – zaznajamiać się z drugim człowiekiem w taki sposób. Odzierać go bezkompromisowo z intymności. Nie ma tu jego determinacji, strachu, nie ma momentu nadziei, szaleńczego bicia serca, kiedy więzień wyrывa się oprawcom i zaczyna biec. Dowiaduję się jedynie, że profesor otwiera ciało

mężczyzny w wieku około trzydziestu trzech lat, wzrostu sto sześćdziesiąt dziewięć centymetrów, o średniej budowie ciała, w stanie średniego odżywienia. Buhtz każe odnotować informację o dużym obrzęku w okolicy strefy intymnej. Zmarły ma wszystkie kończyny, na plecach niebiesko-czerwone plamy, czaszkę pokrytą zakrzepłą krwią. Prawa strona twarzy i czoła pokryta jest gliniastym piaskiem. Usta i nos zostały oczyszczone z zakrzepłej krwi. Po lewej stronie czoła, między obszarem oczu a granicą włosów, znajduje się wysoka na sześć centymetrów i szeroka do pięciu centymetrów otwarta rana w kształcie gwiazdy, przez którą można dostrzec mózg.

Opis sekcji zawiera czterdzieści sześć punktów, ale w większości zapis jest nieczytelny. Woda, która zalała Archiwum Państwowe we Wrocławiu w czasie powodzi w 1997 roku, bezpowrotnie wymazała szczegóły pośmiertnego badania ciała Stanisława Matuszewskiego. Udaje się jednak odczytać podsumowanie sekcji. Więzień zmarł w wyniku postrzału czaszki. Poza tym był zdrowy, w jego organach wewnętrznych nie znaleziono zmian chorobowych.

W księdze usług cmentarnych krematorium w Legnicy z sierpnia 1940 roku pod numerem 664 Matuszewski figuruje jako pierwszy spalony więzień Gross-Rosen. Obóz nie ma jeszcze krematorium, dopiero zaczął przecież działalność.

Kolejna sekcja w obozie odbywa się po pięciu tygodniach. Buhtz prosi prezydenta policji z oddziału trzeciego o możliwość skorzystania z osobowego samochodu należącego do firmy Hansa Hussela. Dwudziestego września jedzie najpierw do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, a następnie do Bolkenhain (Bolków), ale z zamówienia na transport trudno wywnioskować, co ma do zrobienia w tym drugim mieście. Bardziej intryguje mnie coś innego. W jakim celu Niemcy zlecają wykonanie sekcji zwłok więźniów niemalże na początku działalności obozu? Czuję, że odpowiedź może być prozaiczna, ale nic nie zmienia faktu, że w Buchenwaldzie, podobnie jak w wielu innych obozach, badania pośmiertne będą miały za chwilę zbrodniczy charakter.

– Po co więźniom robiono sekcje zwłok w Gross-Rosen? – pytam we wrocławskim Zakładzie Medycyny Sądowej.

Cisza. Doktor Jakub Trnka podpowiada mi, że podobno ciała więźniów obozu przywożone były również do zakładu. Może te ciekawsze przypadki? Buhtz interesował się przecież ranami postrzałowymi.

Ciekawe przypadki...

– Po co więźniom robiono sekcje zwłok w Gross-Rosen? – pytam w muzeum Gross-Rosen.

– Być może to kwestia planów dotyczących pozyskiwania organów w przyszłości? A może badań? Ktoś się bardzo interesował genetyką czy budową ciała. Mamy za mało danych. Nie mamy dokumentów – odpowiada dr hab. Dorota Sula z muzeum.

– A może przyczyna jest prosta? Może w pierwszej fazie Gross-Rosen podlegało administracyjnie pod gminę i przepisy wymagały zrobienia sekcji? – dociekam.

– Nie mam dokumentów, niczego nie mogę powiedzieć. – Doktor Sula rozkłada ręce.

Do trzech razy sztuka. Zadam to pytanie specjalistom z Buchenwaldu, w końcu to właśnie tam prof. Buhtz zaczynał obozową karierę.

Ale tu zaczyna się kłopot. Dyrektor muzeum odsyła mnie do historyka muzealnego, ten zaś nie odpowiada przez dwa miesiące, bo jest chory. Piszę więc do działu prasowego, który chyba robi awanturę historykowi, bo ten odpisuje, że jest chory, więc nie będzie odpisywał. Ale, podpowiada, na uniwersytecie w Jenie, tam, gdzie pracował doktor Buhtz, jest specjalistka, która mi pomoże. Poczta specjalistki odbija maile. Piszę do sekretariatu uczelni, ale nikt nie odpowiada. Dzwonię. Słuchawkę podnosi kolega specjalistki i informuje mnie, że ze względów politycznych (kobieta zajmowała się medycyną w czasie narodowego socjalizmu) specjalistka musiała opuścić uczelnię... pięć lat temu. Nikt nie wie, gdzie obecnie przebywa.

– To może ktoś inny odpowie na moje pytania? – zagaduję.



– Niestety, nasz drugi specjalista od historii medycyny zmarł w ubiegłym roku. – Słyszę.

Czy ja gram w jakimś filmie? Nie, szukam odpowiedzi na, wydawałoby się, banalne pytanie.

Pomocną dłoń wyciąga w końcu prof. Christoph Redies z Uniwersytetu w Jenie. Razem ze współpracownikami brał udział w śledztwie podobnym do tego, jakie przeprowadzono w Wiedniu. Jego celem było zbadanie, czy w kolekcji anatomicznej instytutu nie znajdują się jeszcze preparaty anatomiczne pochodzące ze zbrodniczej działalności lekarzy III Rzeszy. Jena również postanowiła rozliczyć się z dawnymi czasami. Od 1933 do 1945 roku instytut anatomiczny uniwersytetu w tym mieście otrzymał dwa tysiące dwieście dwadzieścia cztery ciała, z czego około dwustu należało do osób, które straciły życie w wyniku egzekucji. Większość z zabitych popełniła „zbrodnie” przeciwko przepisom narodowych socjalistów. Równocześnie taka sama liczba ciał została dostarczona do instytutu z okolicznych placówek, w których przeprowadzana była eutanazja. Kilkadziesiąt ciał należało do robotników przymusowych z Europy Wschodniej. Szkolili się na nich studenci medycyny. Z całą pewnością przyjechały ciała dwóch więźniów, którzy uciekli z obozu w Buchenwaldzie i zostali zastrzeleni, oraz dwóch oficerów SS. Sekcje „obozowe” były jednak przeprowadzane przez Wydział Patologii i Medycyny Sądowej, tak więc, niestety, profesor nie umie odpowiedzieć, w jakim celu je wykonywano. Ale podaje mi adres mailowy tajemniczej specjalistki, której szukałam wcześniej.

Specjalistka prosi o chwilę czasu. Nigdy nie odpowiada. Swoją teorię podsuwa mi jednak dr Pawlak-Weiss.

– Nie wiem, po co ta pierwsza sekcja w Gross-Rosen – mówi. – Ale Stanisław Matuszewski był Polakiem. Gdyby zginął Żyd, który według niemieckiego prawa nie był obywatelem, nikt się nie mógł o niego upomnieć. O Polaków w tym czasie jeszcze dbano, nikt nie wiedział, jaka będzie dalsza polityka i czy z pewnych spraw nie trzeba będzie się rozliczać. Może stąd te dokładne procedury? Niemcy dbali o zachowanie przynajmniej pozorów, bo dotyczyło to więźnia politycznego.

W przypadku Żydów, którzy nie mieli żadnych praw, byli bezpaństwowcami, sprawa wyglądała inaczej. Dla Niemców nie mieli żadnej wartości.

Całe to śledztwo zaczyna iść w nieoczekiwanym kierunku. Być może gdzieś jest, albo było, więcej dokumentów. A skoro, co już wiemy, wszystkie uniwersytety łupiły ciała i gromadziły je, skąd się dało, dlaczego nie mogło się tak dziać i w Breslau? Jena miała Buchenwald, a Breslau swoje Gross-Rosen; więcej nawet: filie tego obozu usytuowane w samym mieście, zaledwie kilka kilometrów od klinik. Być może profesor Buhtz wdrożył w swojej nowej pracy podobne procedury jak w poprzedniej? A może posunął się nawet o krok dalej?

\*

W niedzielę 22 czerwca 1941 roku o godzinie trzeciej piętnaście Hitler zaatakował Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich. Nie wiem, jak spędził ten dzień Gerhard Buhtz, zostawił jednak ślad tego, nad czym w tym czasie pracował. Cztery dni po rozpoczęciu największej w czasie II wojny światowej operacji militarnej wysłał list do lekarza obozowego Gross-Rosen. Na ten list również musiałam czekać wiele lat, zanim udało się go wydobyć z zalanych przez powódź dokumentów Archiwum Państwowego we Wrocławiu.

„Drogi Kolego! W celu wyposażenia Pana sal sekcyjnych polecam, co następujące: proponuję wykonać stół z kamienia, położyć na niego płytę, może być metalowa. Z mojego doświadczenia wynika, że stół powinien mieć długość dwóch metrów dwudziestu centymetrów i szerokość dziewięćdziesięciu centymetrów”[81].

Dalej profesor podaje detale dotyczące konstrukcji stołu. Proponuje, żeby dookoła znajdowała się rynna odpływowa na płyny, które mają spływać w okolicy nóg zmarłego. Podpowiada, że warto, by mniejszy stoliczek na instrumenty i do sekcji organów znalazł się nad nogami. Daje uwagi na temat zabezpieczenia się przed opryskaniem płynami zmarłego. Przypomina, że powierzchnia stołu musi być możliwie gładka i że najdogodniej było mu pracować nad zwłokami przy blacie o wysokości około dziewięćdziesięciu centymetrów.

„Kanał odpływowy musi być możliwie szeroki i dobrze dostępny, by odsysane płyny (jelito!) były odseparowane. Do polewania wodą należy używać szlauchu podłączonego do kranu, który z kolei należy zamontować pod stołem sekcyjnym, by polewanie było wygodniejsze. Przy stacjonarnej pracy należy uważać, by obducent przy obracaniu zwłok na stronę prawą miał dobry dostęp do światła dziennego (z ochroną przed latającymi owadami). Do oświetlenia zalecam prostą, ale pewną lampę, cztery silne żarówki ze skrzynką świetlną (konstrukcja ochronna). W razie jakichkolwiek pytań pozostaję do dyspozycji i chętnie na nie odpowiem. Heil Hitler!”

Prof. Buhtz dołącza do paczki dokumentów szkice wykonane przez dr. Lommera, głównego asystenta Instytutu, który również opuścił go jako ostatni w 1945 roku.

Odbiorcą listu jest Friedrich Entress, zaledwie dwudziestosiedmioletni lekarz z Posen, do Gross-Rosen skierowany niemal zaraz po studiach. W obozie pracował od pierwszych dni stycznia 1941 roku, w grudniu opuścił go i wyjechał do Auschwitz. W nowym miejscu tak zorganizował sobie pracę, żeby dziennie zabijać stu pacjentów za pomocą wstrzykiwanego w serce fenolu.

„Rano, około pół do dziewiątej, pojawiał się na bloku przyjęć 28 lekarz obozu Friedrich Entress. Klehr [Joseph Klehr, z zawodu stolarz, w Auschwitz sanitariusz znany z brutalności – przyp. J.L.] meldował mu o przybyłych więźniach oczekujących w ambulatorium na zbadanie. Entress wybierał tych z nich, których należało uśmiercić”[82].

Przed śmiercią fenolową ludzie przechodzili męczarnie – wspominał prof. Władysław Fejkiel, lekarz i więzień Auschwitz.

„Klehr był z zawodu stolarzem. Nie umiał wykonać zastrzyków. Po kilkadziesiąt razy próbował wbić się do żyły. Chorzy jęczeli z bólu, a Klehr wpadał w szał. Bił ich i kopał. Doktor Entress przyglądając się, jak robi te zastrzyki, zwrócił mu uwagę, że działając w ten sposób, nie zabije nawet dziesięciu więźniów dziennie. Posłał go więc na przeszkolenie. I tam nauczono Klehra robienia zastrzyków bezpośrednio w serce.

Wyselekcjonowani więźniowie przechodzili do bloku 29 i byli wprowadzani pojedynczo do małego ambulatorium. Więzień musiał usiąść na taborecie. Klehr obmacywał mu klatkę piersiową, aby wyszukać miejsce wkłucia. Potem wprowadzał igłę i wstrzykiwał przygotowaną porcję trucizny do serca. Inny pielęgniarz przytrzymywał więźnia, aby nie spadł ze stołka. Więzień musiał przed zastrzykiem kłaść jedną rękę na karku, a drugą na łopatkę. Niekiedy pielęgniarz zasłaniał mu usta, aby nie krzyczał”[83].

Entress nie miał nic przeciwko takim praktykom. Zawsze myślę o tym, kiedy oglądam jego zdjęcia z Gross-Rosen. Na ogół pozuje uśmiechnięty, na luzie, często z papierosem w dłoni. Bez munduru byłby zwykłym chłopakiem z sąsiedztwa, który wpadł na pogawędkę. Zastanawiam się, czego „nauczył się” się w barakach Gross-Rosen i z jaką wiedzą wrócił do nich po praktyce w Auschwitz. A może – to tylko myśl dziennikarki, hipoteza – zamierzał pod koniec wojny wykorzystywać nabytą w fabryce śmierci wiedzę na terenie Klein-Schönau? Przecież w Auschwitz na zlecenie IG Farbenindustrie oraz firmy Bayer Entress badał na więźniach efektywność preparatów medycznych oznaczonych jako B-1012, B-1034, B-1036, 3582 i P-111 oraz leków, między innymi rutenolu i peristonu. Były to głównie preparaty sulfonamidowe stosowane w leczeniu gruźlicy, duru wysypkowego, brzuszego i płonicy. Wiadomo, że tylko w doświadczeniach ze środkami farmakologicznymi Entress wykorzystał około dwudziestu osób, z czego zmarło około szesnastu. Mimo braku przygotowania chirurgicznego przeprowadzał również operacje, które nie miały żadnego sensu. Jego działalność w Auschwitz jest dobrze znana, zawisł za nią na stryczku po zakończeniu wojny, ciągle jednak nie wiadomo, jakie miał plany związane z Gross-Rosen. Czy więc sala sekcyjna zaprojektowana przez jego kolegów z Wrocławia miała służyć „szerszym celom”?

Doktor hab. n. med. Tomasz Jurek, prof. UMW, szef Katedry Medycyny Sądowej we Wrocławiu, przyjmuje mnie w dawnym gabinecie prof. Buhtza. Ogląda szkice stołów wysłanych do Gross-Rosen i stwierdza, że lekarze skupili się w tym wypadku przede wszystkim na zachowaniu funkcjonalności tego sprzętu. Nie ma w nim żadnych uduwnień. Profesor robi mi specjalistyczny wykład o tym,

jakie stoły lekarze lubią, a jakich nie, które się lepiej czyści, jaką powinny mieć wysokość.

Kolejny lekarz z katedry, dr n. med. Jerzy Kawecki, prychnął na widok szkiców.

– Sam bym lepsze narysował – mówi. – One są bardzo proste, żeby nie powiedzieć „prymitywne”.

Może dlatego, że nikt nie potrzebował lepszych?

Do prof. Tadeusza Dobosza mam kilka kroków, zajrzę do niego jeszcze raz. Co mi szkodzi?

– To typowe stoły sekcyjne, nie ma tu żadnych specjalnych udogodnień... Chociaż ten zbiornik na końcu mógłby być przydatny do łapania pewnych rzeczy.

– Pewnych rzeczy? – W uszach laika to brzmi dość złowieszczo.

– Zwłoki podczas sekcji bez przerwy się polewa i płucze, prąd wody może więc porwać ciekawe fragmenty, a dzięki dodatkowemu pojemnikowi można je łatwo odzyskać. Lekarz mógł od razu odzyskiwać te elementy drobne i natychmiast wrzucać je do płynu konserwującego. Proszę pani, nawet godziny mogą zepsuć jakość uzyskanych preparatów. Dlatego nazistowskie preparaty mają doskonałą, nieosiągalną dzisiaj jakość. To nie są preparaty ze zmarłych, starszych, chorych. To są preparaty o niezrównanej jakości, bo w celu ich zrobienia specjalnie zabijano młodych i zdrowych więźniów.

Profesor Dobosz mówi do mnie łagodnie, siłą jego słów podkreśla przestrzeń, w której siedzimy.

– Sekcja zwłok to również sekcja poszczególnych organów. Lekarz wydobywa na przykład serce i wrzuca je do specjalnego kontenera, może coś ciekawego się jeszcze ujawni. W krematorium zmarnujemy zwłoki. To niemieckie, racjonalne podejście, dla nas odrażające, ale takie było. Na wszystkie zjawiska trzeba patrzeć przez pryzmat epoki.

Żaden z badaczy nie wie, czy stoły rzeczywiście zostały zainstalowane w obozie Gross-Rosen. Sprzęt zamawiał Entress, który wkrótce po otrzymaniu

szkiców wyjechał do Auschwitz, do Gross-Rosen wrócił dopiero w drugiej połowie 1944 roku. Jest za to jedno przypuszczenie.

– W Gross-Rosen zastanowiło mnie wejście do baraku Blaupunktu. On ma jeden jedyny zjazd, po którym mogłyby jechać taczki. Ten zjazd mi zupełnie do tego miejsca nie pasuje, ale myślę, że taczka można przetransportować ciało albo ciężkie elementy. W baraku są ceramiczne misy, dziwnie to wygląda, być może pomieszczenia miały w przyszłości służyć jako blok patologii, do wykonywania sekcji zwłok. Lekarze z Breslau mogli tu dojeżdżać i prowadzić swoje badania. Ale to tylko hipoteza. Tyle że w baraku Blaupunktu był rewir...

Autorką hipotezy jest dr Katarzyna Pawlak-Weiss.

## ROZDZIAŁ XXI



# PŁYN, KTÓRY NIE BYŁ MLEKIEM

Już w 1939 roku powstał projekt tajnej fabryki bojowych środków chemicznych w Dyhernfurth (Brzeg Dolny). Ta malownicza miejscowość położona jest nad Odrą, około czterdziestu kilometrów od Wrocławia. Do 1945 roku jej znakiem rozpoznawczym był okazały, klasycystyczny pałac przy brzegu rzeki. Otoczony angielskim parkiem z bajkową bryłą, tworzył sielski obrazek, który do dziś zachował się na setkach widokówek. Nieco dalej od Odry, ale wciąż blisko pałacu, stały zakłady koncernu chemicznego IG Farben. Inwestycja ta, zakodowana pod nazwą „Anorgana”, podobnie jak inne przedsiębiorstwa w tym czasie, korzystała z niewolniczej pracy. Na jej potrzeby powstały dwie filie Gross-Rosen – Aussenkommando Dyhernfurth I i II. Więźniowie, których tam wysyłano, posiadali w większości adnotację „RU” (z niem. *Rückkehr unerwünscht* – „powrót niepożądany”). Zatrudniani byli przy produkcji bojowych środków chemicznych, między innymi silnie toksycznego tabunu. Anorgana uchodziła za prawdziwą fabrykę śmierci.

„W obozie tym, prawdopodobnie ze względu na ścisłą tajemnicę, więźniowie byli całkowicie izolowani od innych ludzi, a w przypadkach koniecznych spotkań nie wolno było się im odzywać po karą rozstrzelania” – zeznał w 1968 roku przed Okręgową Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Lublinie prof. Andrzej Waksmudzki, specjalista w zakresie chemii fizycznej, chromatografii oraz

fizykochemii zjawisk powierzchniowych z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej.

Dzięki prof. Waksmundzkemu zachował się ślad po „doświadczeniach lekarsko-chemicznych”, których celem było sprawdzenie poziomu toksyczności materiałów przejmowanych przez personel kolejowy.

„Eksperymenty przeprowadzano co pewien czas na kilku więźniach. Polegały one na tym, że raz nakładano im maski przeciwgazowe, innym razem byli bez masek, i zamykano ich w szklanej komorze wysokiej na około 2 m, szerokiej na około 2,5 m. W komorze tej znajdowały się jakieś zegary połączone z przewodami przebiegającymi po podłodze i ścianach. Każde zamknięcie więźniów w tej komorze trwało po kilka minut. Więźniów poddanych takim eksperymentom kierowano do lekarza na badania. Po tych doświadczeniach u więźniów występowały silne bóle głowy, przejściowa utrata wzroku i duszności, a dolegliwości te trwały do 30 godzin.

Drugi rodzaj eksperymentów polegał na tym, że po kilku więźniów bez masek przeciwgazowych zamykano na dłuższy czas w pomieszczeniach, gdzie napełniano gazem pociski artyleryjskie i bomby lotnicze, albo w wagonach z granatami. Eksperymentom tym poddano około dwudziestu więźniów, z których pięciu, względnie sześciu więźniów zmarło” – pisze Henryk Czernik w pracy *Filie obozu koncentracyjnego Gross-Rosen w Brzegu Dolnym*[84].

Jak wynika z relacji więźniów, nieprzytomne bądź już martwe ofiary dostawały jakieś zastrzyki. Nietrudno, słuchając takich wspomnień, nie poczuć ogromnego strachu człowieka, którego ktoś wpycha do szklanej klatki, potem obserwuje jego reakcje, a następnie z zimnym profesjonalizmem sprawdza, do czego przydało się doświadczenie.

„Jaki mógł być cel tych niewątpliwych dzisiaj doświadczeń na więźniach, którym zresztą sam podlegałem, trudno dokładnie powiedzieć. Przypuszczam, że dokonywane doświadczenia podyktowane były względami praktycznymi, może chodziło o sprawdzenie w ten sposób toksyczności ładunku lub też sprawdzenie następstw lekkich zatruc i czasu rekonwalescencji. Eksperymentom nie podlegali



wszyscy więźniowie, lecz tylko kilkunastu. Czym kierowały się władze, wybierając tych ludzi do doświadczeń, trudno powiedzieć. Można się dzisiaj domyślać, że byli to ludzie w zasadzie przeznaczeni na śmierć” – opowiada prof. Waksmundzki. Dodaje, że część więźniów straciła życie w wyniku eksperymentów, a ich ciała zostały wywiezione do krematorium w Gross-Rosen[85].

Po latach relacje więźniów, odarte z emocji, mogą nie dotykać czytającego. Ale wystarczy spróbować je poczuć. Jan Edward Janas na kilka miesięcy przed trzydziestymi urodzinami został osadzony w obozie głównym Gross-Rosen. Od tej pory był więźniem obozowym o numerze 20751. W drugim bądź w trzecim dniu jego pobytu w obozie do baraku przyszedł oficer SS. Obejrzał wszystkich mężczyzn i wskazał na Janka.

„Byłem wtedy zdrowy, dobrze wyglądający i młody. Oficer zaprowadził mnie do rewiru, tam w gabinecie lekarskim kazał mi się rozebrać do naga, zmierzył wzrost i wagę, badał osłuchowo serce i płuca, uciskał brzuch i dokładnie oglądał. Po badaniu wziął strzykawkę i zrobił mi dwa zastrzyki, w prawy i w lewy pośladek, z tym że zdaje mi się, iż w lewy pośladek ukłuł mnie dwa razy. Lekarz zostawił mnie w rewirze, w sali nr 6. Za około godzinę, może półtorej, dostałem gorączki i straciłem przytomność. Na drugi dzień przyszedł ten sam lekarz, oglądał mnie, zbadał mnie, zrobił sobie jakieś notatki i wyszedł. Po kilku dniach gorączka spadła i spuchły mi pośladki. Po około dziewięciu dniach otworzyły się dwie rany na obu pośladkach. Z ran tych sączyła się cuchnąca ropa. Ropa w dużych ilościach płynęła przez kilkanaście dni. W momentach wzmożonego ropienia dawano mi chyba po dwie pastylki rano i wieczorem”[86].

Po dwóch tygodniach męczarni spowodowanych ropiejącymi ranami Janek został zabrany na „salę operacyjną”. Oficer, który robił mu zastrzyk, przywiązał go pasami do stołu i przytrzymał. Drugi lekarz na żywca „wycinał i czyścił” ropiejące miejsca. „Zabieg był bardzo bolesny” – wspominał po czterdziestu latach w zeznaniu więźni. Wyciek ropy znowu się zwiększył. Dwa tygodnie później sytuacja się powtórzyła, kolejna operacja bez znieczulenia, tym razem rany zaczęły się jednak goić. Jan Janas przebywał w rewirze przez siedemdziesiąt dni.

Siedemdziesiąt dni niepewności, strachu i potwornego bólu. Widział, że lekarz, który na nim eksperymentował, ciągle robił notatki. Początkowo „pan doktor” przychodził codziennie, z czasem pojawiał się rzadziej, na ogół dwa razy w tygodniu. Janas przebywał w Gross-Rosen jedenaście miesięcy, ale przez resztę życia cierpiał z powodu zaburzeń psychicznych[87].

Podobny los spotkał czternastoletniego Jerzego Sobonia z Kielc, który trafił do Gross-Rosen w marcu 1943 roku. Po zastrzyku w pośladek pojawiły się u niego wysoka gorączka i łzawienie oczu, chłopiec „był dziwnie zubożniały na wszystko”. Raz albo dwa razy dziennie dostawał jakieś zastrzyki i „jakiś płyn podobny do mleka, ale chyba nie było to mleko”. Był zresztą w takim stanie, że trudno było mu odróżnić, co właściwie pije[88].

Najpełniejszą relację przedstawił Stefan Kuchniak, rocznik 1919, aresztowany podczas pacyfikacji Woli Szczygiełkowej we wrześniu 1944 roku. Tydzień po przyjeździe do Gross-Rosen jak zwykle po porannym apelu stał w grupie, która miała zaraz ruszyć do pracy. Była siódma rano. Nieoczekiwanie pojawiła się grupa esesmanów, było ich czterech bądź pięciu. Wybrali czterdziestu mężczyzn i zaprowadzili do jednego z bloków. Czekają tam dwóch cywilów w fartuchach lekarskich. Kazali więźniom rozebrać się do pasa i każdemu zrobili dożylny zastrzyk.

„Był to duży zastrzyk, igła mierzyła około dziesięciu centymetrów, a robiący zastrzyk nabierał z flaszki zatykanej szklanym korkiem jakiś żółtawy płyn i wolno wstrzykiwał do żyły. Po zastrzyku zaprowadzono nas wszystkich do pracy. Poczulem wtedy dreszcze, jakby mrówki przeszły po całym moim ciele. Czułem się osłabiony i poczułem pragnienie”[89] – wspominał więzień.

Po kilku dniach ponownie otrzymał zastrzyk, potem jeszcze jeden. Miał po nich zawroty głowy i słyszał szumy. Lekarze z SS interesowali się jego stanem zdrowia. Badali próbki krwi i moczu. W końcu chory poczuł się tak źle, że przez miesiąc leżał w szpitalu. Dostawał w tym czasie trzy razy dziennie „jakiś czerwony płyn”, ale gorączka około trzydziestu dziewięciu stopni długo nie spadała.

Zeznania Stefana Kuchniaka pokrywają się z relacjami innych ofiar dziwnych praktyk medycznych w Gross-Rosen. Osiemnastoletni wówczas Leopold Terpiński został aresztowany za działalność w ruchu oporu i przywieziony na Dolny Śląsk. Na rewirze dostawał pastylki i proszki, po których czuł „zamroczenie i ośpienie”. W tym czasie lekarz SS badał go regularnie, pytał o samopoczucie, osłuchiwał i sprawdzał sprawność ruchową. Niemal identyczne procedury wprowadził lekarz SS w AL Niesky w Saksonii, podobozie Gross-Rosen utworzonym w czerwcu 1944 roku. Dziewiętnastoletni Sławomir Bratek z Białowieży w chwili przybycia na miejsce był silny i zdrowy. Regularnie zaczął dostawać zastrzyki pod łopatkę. Czuł się po nich jak pijany, gorzej widział, tracił orientację.

Te relacje potwierdzają podejrzenia, że w podobozach Gross-Rosen, także w tych tworzonych już pod koniec wojny, psychopaci w białych kitlach nadal oddawali się procederowi zamęczenia swoich ofiar w imię wyższych celów rasy panów.

„Wszyscy ci lekarze dla zaspokojenia osobistych ambicji wykorzystywali szczególne warunki obozu koncentracyjnego – całkowitą bezbronność więźniów wynikającą z braku chroniącego ich prawa, swobodę w wyborze ofiar eksperymentów i niczym nieograniczoną wolność działania niemieckiego lagerarza. Pod pretekstem badań przeprowadzali eksperymenty, których wartość medyczna w najlepszym razie była wątpliwa, w większości przypadków jednak, nawet w świetle kryteriów obowiązujących w tamtych czasach, zupełnie bezużyteczna.

Lekarze ci nie działali na rozkaz. Eksperymenty medyczne nie wchodziły w zakres ich obowiązków w obozie. Ten, kto na tym polu wykazywał się aktywnością, działał z własnej woli i ponosił pełną odpowiedzialność za to, co czynił. Żaden z tych medyków nie dokonał swych przestępczych czynów pod przymusem, żaden z nich zresztą nie próbował się w ten sposób bronić w wytoczonych po wojnie procesach. [...] W istocie lekarze obozowi nie byli w ogóle zainteresowani leczeniem więźniów, gdyż byli oni przeznaczeni na zniszczenia po wykorzystaniu ich w wyniszczającej pracy. Szpital obozowy, zwany potocznie rewirem, był jednak nie tylko miejscem przeznaczonym do leczenia

chorych więźniów, ale również miejscem ich uśmiercania. Lekarze obozowi robili na więźniach różnego rodzaju zabiegi chirurgiczne – jak na fantomach, dla nabrania umiejętności”[90] – pisze prof. dr hab. n. med. Stanisław Sterkowicz, wybitny polski znawca problematyki medycyny nazistowskiej.

Słowa profesora potwierdzają zeznania Kazimierza Hałgasa, lekarza i więźnia Gross-Rosen: „Późną jesienią 1941 roku operacje na więźniach, nie zawsze chorych, wykonywali dla wprawy lekarze SS, jak dr Siegfried Schwela i inni. Zdarzało się, że na następny dzień lekarze kazali przygotować sobie do operacji jeden lub dwa wyrostki robaczkowe, woreczek żółciowy itp. Często zdarzały się zgłoszenia na ochotnika, ponieważ takiemu więźniowi obiecywano długi pobyt w rewirze, lepsze i obfitsze jedzenie, a potem lepszą pracę”[91].

Więźniowie Gross-Rosen opowiadają również, jak wprawiał się na nich obozowy dentysta. Wyznaczał pacjentów, którym „leczył” i usuwał zdrowe zęby. Uczył się. Może trochę nudził. Jego pomocnik zeznaje, że więźniowie byli „unicestwiani głodem, chłodem, biciem, rozstrzałem, powieszeniem, uśmierceniem, eksperymentami, poprzez kierowanie do innych obozów o trudniejszych do zniesienia warunkach i prowokowane samobójstwa przez powieszenie”.

Gerald Posner i John Ware, autorzy książki *Mengele. Polowanie na Anioła Śmierci z Auschwitz*, piszą, że od 1942 roku w Gross-Rosen były przeprowadzane na radzieckich jeńcach doświadczenia z bronią bakteriologiczną. Nie podają żadnego źródła tej wiadomości[92].

Powołana we wrześniu 1971 roku komisja pod przewodnictwem dyrektora Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce sporządziła trzynaście wykazów ofiar eksperymentów w głównym obozie Gross-Rosen.

Czy w Klein-Schönau mogło być inaczej?

– To bardzo trudna sprawa, bo nie mamy żadnych dokumentów potwierdzających fakt eksperymentowania na więźniach. Tylko ich relacje, a część osób osadzonych w obozie już po wojnie starała się o odszkodowania. Nie wszyscy

mieli świadomość, co się naprawdę działo, kiedy dostali jakąś tabletkę, uważali, że to eksperyment. Nie można jednak wykluczyć, że testowane były na nich leki, bo w kilku przypadkach zdrowi więźniowie trafili na rewir. Działo się to w czasie, gdy lekarzem obozowym był Entress. – Doktor hab. Dorota Sula z Muzeum Gross-Rosen jest naukowcem, który nie pozwala sobie na dywagacje. Musi być czarno na białym. Ale nikt przecież nie chwalił się po wojnie tym, co robił w obozie. Dokumenty były niszczone, pamięć zacierana. Również nie wszyscy więźniowie chcieli mówić. Wspomnienia były zbyt straszne. Poza tym wśród zatrudnionych w obozach lekarzy wielu miało powiązania z firmami farmaceutycznymi. Po prostu testowali na więźniach nowe leki. Profesor Sterkowicz pisze, że „te nieplanowane eksperymenty mogły być wykonywane w różnych obozach. Nie były one jednak objęte żadną dokumentacją, stąd też uchwycenie ich liczby i rodzajów nie jest możliwe. Wszyscy wykonujący te badania starali się zacierać za sobą ślady tych zbrodniczych praktyk, a ofiary najczęściej były uśmiercane. Ci, co przeżyli, niewiele wiedzieli [o tym, w] jakim celu wykonywane były na nich różnorakie próby”[93].

Znowu wracam do dr Katarzyny Pawlak-Weiss z wrocławskiego IPN-u. Razem oglądamy plany Sieniawki, zdjęcia, jeszcze raz patrzymy na rysunki, które prof. Buhtz wysłał Entressowi.

– Gdybym nie wiedziała, jakim obiektem była Sieniawka, pomyślałabym, że Niemcy mogli zaplanować w tym miejscu obóz dla Wehrmachtu, w którym leczyliby się ranni żołnierze. Takie stoły byłyby wtedy potrzebne. Niemcy cały czas się szkolili. Trzecia Rzesza to nie tylko problematyka związana z wojną, to również kwestie doskonalenia techniki wojennej. Niemcy nie wiedzieli, czym dysponują Rosjanie, liczył się więc materiał ludzki. Najpierw można było badać rannych żołnierzy, potem posunięto się dalej; zabijano „osoby nieprzydatne”, następnie eksperymentowano na więźniach. Po prostu musiano się na kimś szkolić – mówi wicedyrektorka Pawlak-Weiss.

W Sieniawce mieliby doskonałe warunki. Daleko od frontu, nowoczesne zaplecze, murowane budynki i dostępny w każdej chwili „materiał ludzki”. Piekła

nie ma.

## ROZDZIAŁ XXII



## DNO PIEKŁA

Nie wiadomo dokładnie, jak nazywał się Lagerführer w Klein-Schönau. Czasami pojawia się w tym kontekście nazwisko SS-Oberscharführera Horsta Klehra, niekiedy niejakiego Foerstera w tym samym stopniu. Którykolwiek z nich nadzorował obóz, z pewnością 4 lutego 1945 roku szykował się na przyjęcie gości.

Część komendantury obozu głównego, razem z Johannesem Hassebroekiem, ostatnim komendantem Gross-Rosen, przenosiła się na zachód. Ich następnym przystankiem miało być Reichenau bei Gablonz (Rychnov u Jablonce nad Nisou) w Czechach, teraz jednak zatrzymali się w Zittwerke. Wyjadą niemal za chwilę, podobnie jak dyrektor Zittwerke AG, Jürgen Ulderup, który musi ratować swoje dzieci.

Na czarno-białym zdjęciu zrobionym 11 lutego 1945 roku synowie Ulderupów pozują na tle fragmentu lasu bądź parku. Są u dziadków w Dreźnie. Trzynastego lutego zaczynają się naloty dywanowe na miasto, które nie tylko przejdą do historii II wojny światowej, ale staną się też symbolem tragedii miasta wykorzystywanym później w masowej kulturze. Bomby zapalające spowodowały tak zwaną burzę ogniową, która zniszczyła obszar prawie czterdziestu kilometrów kwadratowych, a tysiącom ludzi przyniosła straszną śmierć z powodu braku powietrza i ze względu na wysoką temperaturę. Dom Ulderupów został zniszczony, rodzinie udało się jednak wygrzebać spod ruin. Christian Peter wspominał potem, że ciocia w hełmie

na głowie wiozła go na rowerze przez pałacę się Drezno. Potem odebrali go rodzice. Ulderup wysłał całą rodzinę do Neuenrade, sam wrócił do Klein-Schönau.

Przyroda wyciszyła się na zimę. „Marsze śmierci” wyruszające z obozów na zachód zbierały straszliwe żniwo. Doktor Johannes Sass, niemiecki pastor, który widział maszerujących ludzi, nazwał ich milczącym orszakiem rozpacz. „Na niektórych wozach ciągniętych za liny przez tuzin więźniów siedzieli bezbronni starcy, chorzy i małe dzieci. Za nimi szli inni, wlokąc za sobą toboły, większość bosa i wyniszczona. Nikomu z miejscowych nie wolno było zamienić z nimi ani słowa ani dać choćby łyka świeżej wody”[94].

Z pobliskiego Kratzau do koszar Sieniawki zostały przetransportowane trzy setki kobiet. Z Görlitz – stu mężczyzn. Zaczęło robić się ciasno. Wkrótce pojawił się kolejny transport, tym razem z AL Hartmannsdorf (Miłoszów) oddalonego od Klein-Schönau o czterdzieści kilometrów. Hartmannsdorf to kolejne piekło w imperium Gross-Rosen. Położone w dolinie, w pobliżu gór. Rządziła w nim sadystyczna obsługa. Więźniowie pracowali na rzecz zakładów zbrojeniowych. Trafiły tu trzy niezwykle ważne w tej opowieści osoby: Władysław Kołłątaj, dwudziestojednoletni Zdzisław Molenda i czterdziestotrzyletni Zygmunt Kulig, więzień lekarz. Trzech mężczyzn w sile wieku, którym udało się cudem doczekać prawie do końca wojny i teraz nie wiedzieli, jak dalej potoczą się ich losy.

Życie AL Hartmannsdorf, na wzór obozu matki, pełne było bezsensownego okrucieństwa. Jeden z więźniów mówi, że na całe życie został mu przed oczami pewien obraz:

„Lagersführer Krüger kazał jednemu więźniowi stać boso na śniegu przez cały dzień na placu apelowym. Był to podobno rosyjski pilot wzięty do niewoli. Miał na imię Misza i pochodził z Krzywego Rogu. Stał on na śniegu po osiem godzin dziennie przez dwa dni. Wrzucano go do łaźni na posadzkę i przykrywano mokrym kocem. Żeby nikt nie mógł mu podać kawałka chleba, pilnował go esesman [...]. Na skutek tych tortur więzień ten zmarł na trzeci dzień, a zwłoki wywieziono do obozu. Więźniów, którzy nie mogli stać już o własnych siłach, raz w tygodniu w ilości ok. 20 wywożono do krematorium i tam palono. Mówili o tym inni



więźniowie. Przez okres ok. 7 miesięcy do krematorium na zagładę wywieziono z Hartmannsdorf kilkuset więźniów”.

Więzień opowiadał dalej, że gdyby nie możliwość wykradania psu jedzenia, też by nie przeżył. Pies dostawał dużo dobrego jedzenia. Początkowo więc mężczyzna drutem wyciągał z miski psa resztki, a kiedy zwierzę się oswoiło, samo podchodziło do niego i więzień zjadał to, czego nie dojadło. W zupie prawie nigdy nie było ziemniaków, tylko w niedzielę każdy więzień otrzymywał po trzy ziemniaki, a kiedy ziemniak był większy – jednego.

„Wychodziliśmy z obozu po długotrwałym apelu porannym rychło rano w kilkukilometrową drogę, prowadzącą przez miasteczko Leśna do sztolni drażonych w górach. Praca nasza polegała na budowie podziemnej fabryki pocisków V-1 i V-2 oraz min magnetycznych. Do specjalnie przygotowywanych sztolni miały być przeniesione Zakłady Zbrojeniowe Fi «Walter».

W drodze byliśmy bici kolbami karabinów przez eskortujących nas SS-Mannów. Zdarzało się często, że w pośpiechu gubiliśmy drewniane obuwie i trzeba było brnąć boso po śniegu. Ponieważ wielogodzinna, ponad ludzkie siły praca wyczerpywała wątłe siły więźniów, zdarzało się że niektórzy ukrywali się w licznych podziemnych chodnikach, aby choć przez chwilę wypocząć czy nawet zdrzemnąć się. Byłem kilkukrotnie świadkiem mordów dokonanych na więźniach w tego rodzaju sytuacjach. Kapo, względnie też «Post», mordował śpiących więźniów uderzeniem kilofa w głowę. Jako ekwiwalent za katorżniczą pracę otrzymywaliśmy codziennie dodatek dla ciężko pracujących w postaci jednej cienkiej skibki chleba posmarowanej margaryną<sup>[95]</sup>. – To wspomnienia Zdzisława Molendy.

Molenda, Kulig i Kołłątaj przebywali na rewirze, kiedy 16 marca z Hartmannsdorfu wyruszył marsz śmierci. Dopiero później trzej więźniowie dowiedzieli się, że ich towarzysze niewoli szli do Klein-Schönau, a stamtąd do Buchenwaldu. Najsilniejsi ciągnęli wozy z dobytkiem esesmanów. Przemarsz pełen był dantejskich scen, na zamarzniętej drodze zostało po nim mnóstwo trupów.

W obozie przebywało jeszcze kilkudziesięciu chorych. Esesmani zostawili otwartą bramę i wyłączyli prąd przepływający przez ogrodzenie. Przed wejściem leżały padnięte konie niemieckich uciekinierów, Rosjanie byli coraz bliżej, ewakuowały się całe wioski. Esesmani pozwolili wciągnąć zwierzęta do obozu i ugotować z nich zupę. Ale więźniowie byli tak wycieńczeni, że transport konia przerastał ich siły. Wśród chorych był rzeźnik z Łodzi. Dowłókł się do końskich zwłok i udzielał kolegom fachowych porad, jak rozebrać mięso. Pod czujnym okiem fachowca Zygmunt, Zdzisław i Władek przynosili kawałki konia do kuchni. Tam mieszały je z zasoloną dynią z magazynów i gotowali<sup>[96]</sup>. Pamiętali, że nie mogą jeść za dużo mięsa. Przy ich dotychczasowej „diecie” mogłoby ich zabić.

Dziewiętnastego marca wszyscy, którym udało się przeżyć, wyruszyli do Zittau. Naprzeciwko obozu znajdowało się gospodarstwo Paula Schreidera. Pracował u niego zaledwie szesnastoletni Henryk Ciupał. Henryk został wywieziony już w 1940 roku, musiał bardzo szybko wydorosnąć, teraz razem ze Schreiderem podpięli do traktora dwie przyczepy, pokryli je plandekami i ustawili w środku ławki. Molenda, Kulig i Kołłątaj załadowali chorych. Esesmani zrobili resztę. Rozległy się strzały. Obsługa dobiła tych, którzy nie mieli wystarczająco sił, żeby jechać. Potem strażnicy podpalili obóz. W trakcie trwającej cały dzień podróży (traktor to nie ciężarówka, choć do pokonania mieli zaledwie czterdzieści kilometrów) zmarło jeszcze trzech więźniów<sup>[97]</sup>.

Wieczorem byli w Klein-Schönau.

Często zastanawiam się, czy bohaterowie tej książki mieli jakąkolwiek szansę, żeby się poznać, porozmawiać. W czasie gdy Kulig i Molenda marzli na traktorze, Tereska, która przeżyła w Zittwerke spotkanie z Mengelem, obserwowała paniczne ruchy Niemców zamierzających przenieść zakłady w inne miejsce. Cieszyła się, że nic z tego nie wyszło, bo dzięki temu uniknęła marszu w nieznane, marszu, który mógł się dla niej skończyć śmiercią. Co prawda linie produkcyjne zostały zdemontowane i załadowane do pociągu, który odjechał do Halberstadt, ale przyszła wiadomość, że tamtejsza fabryka padła pod bombami, i pociąg musiał zawrócić do Zittwerke. Niemcy na nowo montowali wszystko w halach, ale sama

praca powoli zwalniała tempo. W tym zamieszaniu Tereska i tak myślała tylko o jednym. O jedzeniu. Zapamiętała jedno: strażnik powiedział jej, że jeśli jest głodna, to może sobie wyciąć żołądek, ale SS i tak z nią skończy. W obozowym rewirze Klein-Schönau lekarze co tydzień wypędzali nagich chorych na dwór i robili im zimny prysznic. W ten sposób przygotowywali miejsce dla innych. Przyjeżdżały pierwsze dziewczyny w ciąży. Zdzisław Molenda, weteran trzech obozów, w Klein-Schönau stracił wiarę w cokolwiek.

„To co ujrzałem [...], przechodziło wszelkie ludzkie wyobrażenia. Było to prawdziwe dno piekła na ziemi. [...] Sami esesmani mówili o obozie Vernichtungslager (obóz wyniszczenia) [...]. Obóz mieścił się w jednym z fabrycznych gmachów i podzielony był na część męską i żeńską. Żydówki zajmowały się kuchnią, obsługującą więźniów oraz esesmanów. Dienne racje żywnościowe składały się z 100 gramów chleba (słownie: stu) oraz litra przegotowanej wody, w której pływały obierki ziemniaczane, pochodzące z kuchni esesmańskiej. Zatrudnione w kuchni Żydówki utrzymywały niezłą kondycję fizyczną i było oczywistym, że uzyskiwały to przez okradanie swoich męskich pobratymców. Dowiedzieliśmy się później, że poza przygotowywaniem posiłków, świadczyły także usługi seksualne dla członków załogi esesmańskiej.

Zastaliśmy w obozie straszliwe warunki. Praca w zakładach ustała. Wychudzeni Żydzi nie mogli się poruszać o własnych siłach, zalegając cele o cementowych posadzkach, pokrytych garstkami wełny drzewnej, przesiąkniętej kałem i moczem. W obozie grasowały: czerwonka, gruźlica, flegmona, szkorbut a nawet tyfus. Cały obóz był jak gdyby ogromnym rewirem a raczej umieralnią. Doktor Kulig zabrał się natychmiast z całą energią do ulżenia chorym w ich straszliwej doli. Wspieraliśmy go z Władkiem na ile pozwalały nasze wątłe siły. Pomagaliśmy przy opatrunkach, rozdzielaliśmy chorym na szkorbut miksturę, którą dr Zygmunt przygotowywał z wywaru pokrzyw”[98].

Sam Zygmunt Kulig, lekarz, nie był w stanie jeść tego, co kuchnia obozowa serwowała więźniom. W rozgotowanych liściach dębu, pokrzywy, a szczególnie

kapusty można było znaleźć robaki, doktor Kulig odmawiał więc przyjmowania posiłków.

– Ponieważ często do jedzenia nie było niczego innego, a więźniowie o niego dbali, to zawiązywali mu oczy i go tymi „zupami” karmili – opowiada córka lekarza, Maria Kubicka.

„Esesmani widząc naszą «kondycję» zmuszali nas do wynoszenia zmarłych więźniów na plac apelowy, gdzie grupa więźniów paliła zwłoki, oblewając je jakimiś palnymi smarami i okładając drewnem. Do nas należało zdejmowanie zmarłym odzienia, wypisywanie na piersiach i lewym przedramieniu numeru obozowego oraz oddawanie blaszek, tzw. nieśmiertelników, kapie obozowemu, którym był słowacki Żyd.

Załoga esesmańska składała się, poza Niemcami, z Ukraińców i Litwinów. Jeden z nich – Litwin, prześladował mnie na każdym kroku, bijąc po głowie i plecach grubym gumowym kablem, uzbrojonym stalową wkładką. Któregoś dnia odbezpieczył pistolet i zamierzał mnie po prostu zastrzelić. Przechodzący przypadkowo niemiecki esesman wstrzymał go następującymi słowami:

– Nie strzelaj – szkoda pocisku – on zdechnie tak czy owak w najbliższych dniach!”[99].

Ale Molenda nie zamierzał zdychać. W Hartmannsdorfie doktor Kulig uratował mu życie, dlaczego teraz miałyby je łatwo oddawać?

„Zbliżała się zwycięska ofensywa Czerwonej Armii. Już tylko dni brakowały do terminu kapitulacji Niemiec. W obozie nasiliła się makabra. Okropny głód i choroby zbierały codziennie obfite żniwo. Więźniowie umierali masowo. Opadłem całkowicie z sił [...]. Czułem, że już tylko kilkanaście dni uda mi się utrzymać przy życiu, po czym nieuchronnie nastąpi jego kres. Nad miastem Zittau przelatywały coraz częściej samoloty radzieckie”[100].

Molenda nie wiedział – bo gdyby było inaczej, pewnie napisałby o tym w swoich wspomnieniach – że jego przyjaciel Zygmunt prawdopodobnie był

w makabrycznej piwnicy. O tym, co w niej zobaczył, opowiedział dopiero wiele lat później.

## ROZDZIAŁ XXIII



## PŁYN KONSERWUJĄCY

Profesor Andrzej Kulig jest znanym w Polsce patomorfologiem. I synem Zygmunta Kuliga, lekarza, który z troską zajmował się kolegami, najpierw w Hartmannsdorfie, a potem w Klein-Schönau. Cała rodzina Kuligów związana jest z medycyną. Matka profesora była pionierką logopatologii w Polsce i autorką pierwszego polskiego podręcznika z tej dziedziny. Jego trzech synowie pracują w najlepszych klinikach w kraju.

– Dla mnie to niezwykle ważne, żeby przypominać o ojcu, o tamtych czasach – mówi prof. Andrzej Kulig. Po chwili zamyślenia powtarza: – Niezwykle ważne.

– Czy pana zdaniem w Sieniawce prowadzone były eksperymenty pseudomedyczne? – pytam.

Profesor nie odpowiada od razu. Jest wyciszony, skupiony. Sieniawkę odwiedził po raz pierwszy w 2016 roku; Jasiu natychmiast zabrał go do piwnic, żeby fachowym okiem spojrzeć na „betonowe trumny”. Andrzej Kulig zaznacza, że aby zrozumieć całą historię, musi najpierw opowiedzieć o ojcu. O Zygmuncie Kuligu, któremu więźniowie Klein-Schönau z wdzięczności zawiązywali oczy, żeby mógł coś zjeść. Słucham tego jak urzeczona, to jedno z najbardziej wzruszających świadectw tego, co działo się w obozie prawie na końcu świata. Na dodatek za chwilę pojawi się absolutnie nieprawdopodobny wątek.

– Tato urodził się w robotniczo-rolniczej rodzinie w małym wówczas przysiółku Role na peryferiach Suchoj koło Żywca, dzisiaj to Sucha Beskidzka. Był jednym z dziewięciorga dzieci. Po ukończeniu czterech klas chciał uczyć się dalej, na to ojciec pozwolił mu pod warunkiem, że równocześnie będzie pracował jako roznosiciel pieczywa u piekarza w Wadowicach. Tam też uczęszczał do gimnazjum. Był tak dobrym uczniem, że jeden z sędziów sądu w Wadowicach przyjął go do swojego domu na korepetytora, a właściwie towarzysza nauki syna. Po maturze rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na drugim roku studiów zmarł mu ojciec; przyczyną śmierci był nowotwór. Choroba ojca zniszczyła finansowo rodzinę. Ojciec nie miał na czesne, ale przedstawiciel węgierskiej firmy Gedeon Richter pokrył koszty i zatrudnił go jako roznosiciela ulotek medycznych dla lekarzy. W czasie wakacji pracował jako pielęgniarz w szpitalu psychiatrycznym w Rybniku. Na czwartym roku studiów dostrzegł go prof. Latkowski, dał mu pokój w klinice i tam ojciec robił między innymi badania pomocnicze, jak naklewanie lusterka na struny do wykonywania prymitywnych badań EKG, ustawianie światła, aby wykonać badanie na światłoczułym papierze i tak dalej. Zygmunt Kulig skończył studia, został asystentem kliniki, ożenił się i cztery lata przed wybuchem II wojny światowej zaczął pracę w nowoczesnym Szpitalu Ubezpieczalni Społecznej im. Gabriela Narutowicza w Krakowie, pod kierunkiem doc. Siedleckiego, jako jeden z ordynatorów oddziału. Był największym autorytetem rodziny, ukochanym synem babci. Często widzę, że moje decyzje w zasadzie zostały ukształtowane jeszcze w dzieciństwie. Ojca nie opuszczały odwaga, prawość, poczucie honoru, pomagał potrzebującym.

Słucham dalszej części opowieści.

– Wrócił z obozu, gdy miałem trzynaście lat. Zobaczyłem wychudzonego tatę, słabego, mało mówiącego, czującego jakiś wewnętrzny żal, że moje młodsze rodzeństwo nie bardzo go poznaje. Tato mało mówił do nas o obozowym życiu, o kaźni, jaką przeżył. W Gross-Rosen złamano mu miednicę i czasem, przy zmianie pogody, z trudem szedł do pracy. Nie oszczędzał się. Spałem wraz

z bratem koło sypialni rodziców i czasem w nocy słyszałem, jak, rozbudzony ze snu, krzyczał. Mama tuliła go wtedy do siebie i uspokajała. Mimo że były to incydenty, zapisały się w mojej pamięci.

Profesor Kulig kontynuuje swoją historię.

– Chyba w drugiej lub trzeciej klasie gimnazjum lekturą były *Dymy nad Birkenau*. Ponieważ tato nucił czasem jakieś pieśni obozowe, poprosiłem, żeby mi o tym powiedział, przygotowałem kartki papieru... To było jak wczoraj. Tato poprosił mnie do stołu do sypialni. „Andrzeju – powiedział – to było straszne, prawdę tam piszą, ale ja jestem ojcem i mam cię uczyć, abyś wyzbył się na całe życie nienawiści, rewanżyzmu. Tak, tam byli źli ludzie, ale i tacy, którzy podali mi kawałek chleba, gdy szedłem do pracy w sztolni. Oni też się bali, a jednak. Jeśli teraz nauczysz się nienawiści i nie pomyślisz o przebaczeniu mimo bólu, to nigdy nie będziesz człowiekiem. Będziesz dzielił ludzi na dobrych i złych. Chciałbym, abyś był człowiekiem wolnym, a wolność nie cierpi nienawiści. Nienawiść jest przekleństwem świata”. To były taty pierwsze lata po obozie.

Jestem poruszona.

– Mój tato był przesłuchiwany przez Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich. Pamiętam jednak, jak mówił mi o wykonywaniu sekcji zwłok w obozie. Nie mogło to być w Gross-Rosen, bo tam pracował w kamieniołomie, a czując się lekarzem, udzielał pomocy współwięźniom. Potem był w obozie Hartmannsdorf i początkowo pracował w sztolni i tkalni. Tam badał niemieckich majstrów nadzorujących prace w tkalni, a nawet ich rodziny. Mówił doskonale po niemiecku, stąd przychodzili do niego z „podarunkami” w postaci jedzenia, które rozdawał współtowarzyszom. Wiem nawet, że gdy żona komendanta obozu dostała kolki wątrobowej, został „wydezynfekowany”, żeby ją zbadać. W nagrodę dostał nowy pasiak. Sekcje zwłok, o których opowiadał tato, musiały w takim razie odbywać się w Sieniawce, bo tylko tam była taka możliwość. Ojciec mówił mi, że w obozie wykonywano preparaty anatomiczne „ciekawych zmian”, dokładnie tak, jak to było w zakładzie anatomii patologicznej, gdzie pracowałem i specjalizowałem się. Padło chyba nawet nazwisko „Mengele”, ale tylko w ogólnym powiązaniu z preparatami



makroskopowymi w słojach, które były przekazywane do uniwersytetów niemieckich. Taka była wówczas praktyka dokumentowania zmian makroskopowych.

A jednak.

Obóz, o którego istnieniu wszyscy zapomnieli, kompleks, w którym mieszkają setki ludzi, kryje jeszcze straszniejszą historię, niż mogłoby się wydawać na początku. Po głowie krążą mi dokładnie te same myśli, które zagnieździły się tam w dniu, w którym Jasiu pierwszy raz pokazał mi stoły i „betonowe trumny”. Takie rzeczy działy się w Auschwitz, w Dachau, Sachsenhausen, ale nie na skraju Dolnego Śląska. Nic nie wiemy o lekarzach, którzy tu pracowali, ich nazwiska nie pojawiają się w zeznaniach więźniów w żadnym z archiwów. Zupełnie jakby te piwnice nie istniały.

W 2015 roku w Instytucie Psychiatrii im. Maxa Plancka w Monachium zaczął się remont. Podczas przeglądania starych szaf i schowków pracownicy odkryli części ciała i mózgi ofiar nazistowskich eksperymentów. W czasie II wojny światowej ta placówka badawcza regularnie przyjmowała preparaty od Josefa Mengele. Bezwzględny lekarz przekazał swoje „prace” także do Berlina. Kazimierz Czelný, więzień Auschwitz, widział w drewnianej szopie w pobliżu bloku 32 „obozu cygańskiego” „pojemniki z formaliną, w których przechowywano głowy dzieci zmarłych na nomet”. Zeznał, że Mengele kazał te preparaty przekazać do instytutu w Berlinie<sup>[101]</sup>.

Głównym patologiem w zespole Josefa Mengele był dr Miklós Nyiszli, który przed wojną przez trzy lata pełnił funkcję asystenta dr. Georga Strassmana, lekarza sądowego z Breslau. Ze względu na swoje żydowskie pochodzenie Strassman został zmuszony do opuszczenia instytutu na dwa lata przed przejściem go przez prof. Buhtza. Medycyna sądowa w tej jednostce stała na wysokim poziomie, Nyiszli zdobył w Breslau ogromne doświadczenie. Po wojnie złożył szerokie zeznania dotyczące swojej pracy dla doktora Mengele. Mówił między innymi, że dla pozyskania „ciekawych” szkieletów więźniowie z Auschwitz byli celowo wybierani. „Dokonywaliśmy ich pomiarów, a potem Oberscharführer Muszfeld

[właściwie: Mussfeldt – przyp. J.L.] zabijał ich [...] strzałem w tył głowy z broni małokalibrowej. Następnie dostawaliśmy rozkaz wykonania sekcji i spisania bardzo dokładnego protokołu sekcyjnego. Później wytrawialiśmy zwłoki osób o anormalnej budowie chlorowanym wapnem i czyste kości zbieraliśmy do paczek, które wysyłaliśmy do Institut für Rassenbiologische und Anthropologische Forschungen (Instytutu Biologii Rasowej i Antropologii w Berlinie)”. Do zadań dr. Nyiszli należała również konserwacja interesujących z punktu widzenia medycyny eksponatów; były to organy wewnętrzne dzieci i dorosłych, płody i noworodki, głównie bliźnięta, anomalie polegające na podwójnym występowaniu jakiegoś organu w ciele jednego człowieka itd. One również wyjeżdżały w specjalnych paczkach z oznaczeniem: „Pilne, przesyłka ważna dla celów wojennych”.

Mengele przybył do Gross-Rosen 18 stycznia 1945 roku, w marcu przeprowadzał jeszcze selekcje w podobozach. Czy miałby czas na wprowadzenie swoich badań do Klein-Schönau? Raczej nie. Profesor Andrzej Kulig z przekonaniem mówi jednak, że stoły, które obejrzał w Sieniawce, służyły do wykonywania sekcji zwłok zmarłych i prawdopodobnie uśmierconych celowo więźniów.

– Ojciec opowiadał mi, że w Klein-Schönau przebywał mężczyzna, któremu przed uwięzieniem wykonano zespolenie gardzieli z żołądkiem za pomocą fałdu skórnej klatki piersiowej poprowadzonego przed mostkiem. Pozwalał on na komunikację między gardzielią a żołądkiem. Ponieważ tak wytworzony „przełyk” nie miał zdolności perystaltyki (jak to się dzieje u zdrowych ludzi), chory („wyleczony”) musiał własnymi rękami przesuwając po mostku. Był to w owym czasie wysoce oryginalny, wyjątkowy zabieg „plastyczny”. Więzień ten był pod obserwacją i nie wiem, czy został zgładzony, czy też zmarł w innych okolicznościach. W każdym razie wiem, że ten odcinek wytworzonego przewodu pokarmowego został wypreparowany i wysłany gdzieś do niemieckiego muzeum. Nie wiem, czy autopsję nakazano zrobić mojemu ojcu, czy też był tylko obserwatorem tej procedury. Mówił mi o tym, gdy byłem młodym asystentem w Katedrze Anatomii Patologicznej Akademii Medycznej w Krakowie. Obejrzałem

kamienne kadzie w Sieniawce. Moim zdaniem służyły do utrwalania dużych pakietów anatomicznych z ciał, które następnie były utrwalane w formalinie, aby potem, po wypreparowaniu, włożyć je do słoików z płynem konserwującym.

A więc jednak! Kolejny fachowiec nie ma wątpliwości! Tym bardziej że nieoczekiwanie dostaję kolejną informację. Niemalże prezent, co prawda makabryczny, ale pozwalający postawić kropkę nad i. Astrid Ley z Gedenkstätte und Museum Sachsenhausen przesyła mi opinie dwóch fachowców. Pierwszy z nich, Navena Widulin, pracuje w berlińskim Charité, jednym z największych szpitali klinicznych w Europie, który posiada również potężne archiwa. Z ciekawości szukam zdjęcia Naveny, interesują mnie ludzie, z którymi mam kontakt, nawet tak formalny i powierzchowny. Specjalistka okazuje się uśmiechniętą, ładną blondynką, do której kompletnie nie pasuje zainteresowanie sekcjami zwłok. A to nimi właśnie się zajmuje.

Navena Widulin w krótkim liście wyjaśnia, że „betonowe trumny” wyglądają jak zasobniki i mogły być wykorzystywane przy preparacji zwłok. Przyznaje, że nigdy nie widziała takich konstrukcji, sądzi jednak, że musiały mieć pokrywy mocowane tak, aby nie mogły się ześlizgnąć. Na końcu dodaje: „Przed laty przeczytałam książkę lekarza sądowego, który był w Auschwitz. To niewiarygodne, co działo się w obozach koncentracyjnych...”.

Druga opinia jest jeszcze bardziej zaskakująca. Nie ze względu na treść, ale osobę, która ją wydała. To dr Kamila Uzarczyk z Zakładu Humanistycznych Nauk Lekarskich... Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu! Najciemniej jest więc pod latarnią. Doktor Uzarczyk daje odpowiedź na nurtujące mnie od dawna pytanie. Po co wykonywano sekcje zwłok więźniów?

Decyzja o tym zapadła na długo przed II wojną światową. Kiedy naziści doszli do władzy w 1933 roku, zaczęły powstawać pierwsze obozy, często w przypadkowych miejscach, do tego niezbyt duże. Miejscowe formacje SA z własnej inicjatywy więziły i torturowały swoich przeciwników politycznych i Żydów. W 1934 roku władzę nad obozami przejęło SS pod dowództwem Heinricha Himmlera. Zarządzanie systemem represji zostało scentralizowane. Rok

później Hitler, naciskany przez konserwatywny jeszcze wymiar sprawiedliwości, chciał zlikwidować te „dodatkowe” miejsca przetrzymywania przeciwników politycznych i przenieść ich do normalnych zakładów karnych. Himmler zdołał jednak uzyskać zgodę na utrzymanie istniejącego systemu obozów karnych – pod jednym warunkiem. Kryteria, według których kierowano do nich więźniów, miały być utrzymywane przed opinią publiczną w większej tajemnicy. Zgodnie z niemieckim prawem osoby zmarłe w zakładach karnych poddawano też sekcjom zwłok, przeprowadzanym przez wykwalifikowanych medyków sądowych. Himmler nie zgodził się na oficjalne sekcje w obozach. Wydał rozkaz wszystkim obozowym władzom, aby sekcje więźniów przeprowadzane były przez lekarzy SS działających jako patolodzy sądowi.

„Na papierze” każdy zmarły więzień musiał zostać poddany sekcji. W praktyce w oficjalnych aktach zgonu przyczynę śmierci określano najczęściej jako naturalną. Sprzęt do autopsji był również używany do przygotowywania preparatów anatomicznych.

Gdzie jest więc ślad po preparatach z Sieniawki, jeżeli rzeczywiście tam powstawały? Pytam o nie w najważniejszych niemieckich instytucjach związanych z nazistowską medycyną. Dostaję odpowiedź z Instytutu Psychiatrii im. Maxa Plancka. Nigdy nie słyszeli tam o Klein-Schönau, Zittau ani Zittwerke.

## ROZDZIAŁ XXIV



## MIĘKKI DOWÓD

Ciągle nie mogę uwierzyć, że Sieniawka była, bądź miała być, miejscem przeprowadzania strasznych eksperymentów. Z drugiej strony intuicja mi podpowiada, że przynajmniej na pierwszym etapie działalności obozu Gross-Rosen prof. Buhtz odgrywał tam istotną rolę w kwestii doświadczeń na więźniach. Ale nie mam na to dowodów. Nie istnieją potwierdzające tę tezę dokumenty. To tylko domysły. Przeczucie prowadzi mnie jednak znowu do punktu wyjścia. Wtedy znajduję tę historię.

Hildebrand Rolf, urodzony w 1913 roku w Magdeburgu, członek socjalistycznej partii Niemiec, od marca 1942 roku więzień polityczny Gross-Rosen, zeznaje, że w obozie pracował jako pisarz i dentysta pod SS-Hauptsturmführerem Weigelem, szefem gabinetu dentystycznego[102]. „Na pytanie o reżim w obozie wyjaśnił, że reżim był nie do zniesienia, więźniów zmuszano do ciężkich robót przy wydobywaniu granitu przez dziesięć–dwanaście godzin na dobę. [...] Więżniowie byli bici ręką i czworokątnym drutem obciągniętym skórą na specjalnym koźle. Wymierzano nawet siedemdziesiąt pięć pałek”. Rolf zapamiętał, że „Schutzhaftlagerführer Walter Ernstberger, ur. w 1913 roku, w 1944 roku, w różnych okresach czasu, po prostu ręką rozbijał kości policzkowe, tej zbrodni poddano dwóch Niemców i trzynastu obywateli polskich. Wszyscy oni przebywali w rewirze, świadek opiekował się nimi, a pięciu osób nie udało się już

przywrócić do zdrowia i zmarły. Chorych i wycieńczonych strażnicy SS opuszczali głową w dół do zbiornika z wodą, trzymali ich tam jakiś czas, a później na martwych lub prawie martwych wrzeszczeli: «Próżniaku, nie chcesz pracować». [...] Latem 1943 roku zdarzyły się trzy przypadki, że doktor Weigel Frydrych obciął głowy martwym obywatelom radzieckim, wygotował te głowy, usuwał mięso, pozostał czerep, a następnie trzymał je jako pomoce naukowe w swoim gabinecie i dwie głowy odesłał, jedną doktorowi naczelnemu SS-Standartenführerowi Lollingowi<sup>[103]</sup>, a drugą lekarzowi obozowemu Epstowi. Lagerführer Erntsberger brał tę głowę od lekarza dentystry i pokazywał oficerom, jak trzeba bić więźnia, żeby mu połamać kości policzkowe [...]. U wszystkich trupów, które miały złote zęby, dr Wajgel wyrywał je i co miesiąc odsyłał do Zarządu Głównego SS jeden kilogram i więcej”.

Bezmiar okrucieństwa Gross-Rosen jest przytłaczający. Im głębiej brnę w tę historię, tym bardziej męczy się moja psychika. Przez jakiś czas mam wrażenie, że nigdy nie napiszę już pogodnej książki o życiu na zamkach albo o pełnych przygód poszukiwaniach skarbów. Źle śpię, zmarli zaczynają i do mnie krzyczeć, choć od długiego czasu to dla nich właśnie idę ich śladem. Najbardziej prześladują mnie głowy. Opowieści profesora Dobosza o ich preparacji, okropne wspomnienia o dentyście... Przypominam sobie też czaszki, które widziałam zarówno w Zakładzie Anatomii Prawidłowej, jak i w Muzeum Medycyny Sądowej. Wypreparowany zbiór czaszek Aborygenów znajduje się również w magazynach wrocławskich antropologów. Przywiózł go na początku XX wieku prof. Hermann Klaatsch, lekarz, anatom i antropolog. Co jakiś czas upomina się o niego ambasada Australii w Polsce. Te wszystkie preparaty były przecież ludźmi, którzy mieli bliskich, rodziny, domy. Dopiero słoje i pudła odebrały im człowieczeństwo.

Swoje głowy, a właściwie czaszki, miał w swojej kolekcji również Gerhard Buhtz.

Ukrył je prof. Bolesław Popielski, pierwszy powojenny kierownik Katedry Medycyny Sądowej we Wrocławiu, dając początek historii, która stała się przedmiotem sensacyjnego śledztwa...

Bolesław Popielski pochodził ze Lwowa. W roku wybuchu II wojny światowej został docentem medycyny sądowej. Już wcześniej zajmował się między innymi problematyką przetaczania krwi, w 1936 roku jego prace zaowocowały pierwszą w Polsce udaną transfuzją krwi ze zwłok do celów klinicznych. Profesor Dobosz twierdzi, że Popielski w pewnym sensie wyprzedził epokę dzisiejszej transplantologii. W tym samym, 1936 roku uczony zorganizował na Uniwersytecie Jana Kazimierza pracownię serologiczną grup krwi i pierwszą w Polsce stację krwiodawstwa. Zaproponowana wówczas organizacja krwiodawstwa w zasadniczej części obowiązuje w naszym kraju do dnia dzisiejszego. Profesor Popielski był niekwestionowanym autorytetem, a przy okazji człowiekiem niezwykle sympatycznym i szarmanckim. Zawsze też – nie wiem dlaczego, ale miało to wiele uroku – zwracał się do mnie per „panie redaktorze”.

Popielski poznał Gerharda Buhtza na dwa lata przed wybuchem wojny podczas wizyty na Uniwersytecie w Jenie. W 1945 roku polski lekarz przyjechał do Wrocławia i związał się na trwałe z tutejszą Akademią Medyczną. Teraz musiał poradzić sobie z trudną spuścizną po nazistowskim poprzedniku. To nie były łatwe czasy dla takich naukowców. Po niemieckich kolegach zostawał nie tylko bałagan – pozostawiali też mnóstwo tajemnic. A także setki preparatów medycznych, często bez żadnych oznaczeń i bez dokumentacji.

Cofnijmy się do kwietnia 1943 roku. W Klein-Schönau trwają przygotowania do rozbudowy koszar dla zakładów Junkersa. Maszyna Gross-Rosen mieli kolejne życie. W tym czasie Gerhard Buhtz, razem ze swoim asystentem dr. Wernerem Beckiem przewodniczy pracom ekshumacyjnym w Katyniu koło Smoleńska. Trzy lata wcześniej sowieckie władze kazały zamordować strzałem w potylicę co najmniej dwadzieścia jeden tysięcy siedmiuset sześćdziesięciu ośmiu obywateli Polski, w tym dziesięć tysięcy oficerów wojska i policji. Choć masowe mogiły znajdowały się w różnych miejscach, jako pierwsze zostały ujawnione te w pobliżu Katynia.

Niemcy postanowili propagandowo wykorzystać makabryczne odkrycie. Powstała Międzynarodowa Komisja Lekarska, w której skład wchodziłi eksperci

z krajów zależnych od III Rzeszy i jeden ze Szwajcarii. Ich obecność miała uwiarygodnić badania. Marian Wodziński, krakowski anatomopatolog z komisji polskiego PCK i medyk sądowy, wspomina, że prof. Buhtz urządził w Smoleńsku polowe laboratorium sądowo-medyczne.

„Zostałem zaproszony do [...] obejrzenia zbiorów preparatów ze zwłok katyńskich [...]. Pokazywano mi tam preparaty [...] z ran wlotowych z cechami postrzału z pobliza oraz preparaty czaszek z typowymi postrzałami katyńskimi” – relacjonował w 1947 roku Wodziński. Był niezadowolony, że jest jedynym polskim lekarzem obecnym w Katyniu. Miał tam być, ale nie dojechał, między innymi docent Bolesław Popielski ze Lwowa.

W 2003 roku w kilku dziennikach lokalnych, między innymi w „Nowej Trybunie Opolskiej”, dalszą część tej historii opowiedział Jacek Antczak, który miał jeszcze szansę na wysłuchanie wykładu prof. Popielskiego w Polskim Towarzystwie Lekarskim. To był temat, którego Antczakowi zazdrościł każdy dziennikarz.

„W roku 1943 Niemcy przewożą z Katynia do Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie czternaście skrzyń z dokumentami i przedmiotami wydobytymi z masowych grobów w czasie ekshumacji. Część dowodów rosyjskiej zbrodni i spuściznę po polskich oficerach podczas brawurowej akcji ma wykraść wywiad Armii Krajowej. Niemcy odkrywają spisek. Gdy Armia Czerwona zbliża się do Krakowa, szef wszystkich placówek Medycyny Sądowej w okupowanej Polsce, doktor Werner Beck (który wcześniej był asystentem Gerharda Buhtza w Breslau), wywozi wszelkie katyńskie materiały do Instytutu Anatomii Uniwersytetu Wrocławskiego. Podróżując między Krakowem a Wrocławiem, eksperci kontynuują badania identyfikacyjne. Jak zeznał Beck w 1950 roku w Hamburgu amerykańskiemu konsulowi: 22 stycznia 1945 powrócił do Wrocławia, zabrał stąd skrzynie i postanowił przekazać je Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi lub Amerykanom. Jednak z obawy, by depozyt nie wpadł w ręce zaciekle tropiących go Rosjan, został spalony na dworcu kolejowym w Radebeul. O czaszkach katyńskich Beck nie wspominał. Czy któraś ze skrzyń Becka pozostała we Wrocławiu? Czy, co



bardziej prawdopodobne, czaszki były zbiorami szefa katedry, profesora Buhtza, który przewoził je z Katynia via Kraków do macierzystej placówki w Breslau? Buhtz zginął w 1944 roku na Ukrainie. Jego «zdobyczne eksponaty», w tym być może czaszki oficerów katyńskich, pozostały w muzeum Zakładu Medycyny Sądowej do czasu, gdy rozpoczęły się boje o Festung «Breslau». Z tego czasu pochodzi relacja polskiego jeńca, lekarza, który w maju 1945 roku trafił na teren wydziału lekarskiego Uniwersytetu Wrocławskiego, do muzeum Zakładu Medycyny Sądowej. W pomieszczeniach natknął się na szafę z szufladami zawierającymi zdjęcia zwłok polskich żołnierzy. Lekarz dziwił się, skąd to się wzięło w Breslau. Potem zauważył skrzynię ze śmierdzącymi, brudnymi mundurami Polaków i innymi rzeczami osobistymi wskazującymi na to, że należały do oficerów. Przez wiele lat Popielski przetrzymywał w szafie czaszki, o których nigdy nikomu nie mówił. Podobno od samego początku leżały osobno i miały własne oznaczenia: V1, V13, B4, B19, B20 i B28”[104].

Atmosfera zaczęła gęstnieć. Podobno prof. Popielski nie chciał mówić o czaszkach, obawiając się komunistycznych służb. Katyń przez wiele lat był tematem niebezpiecznym. Nie wspominało się o nim głośno. Nie wiadomo było również, co stało się ze skrzynią, w której miały znajdować się między innymi pamiętniki, książeczki wojskowe, guziki z orzełkami, modlitewniki. Już po wojnie jeden z niemieckich pracowników zeznał, iż rzeczywiście widział skrzynię z ciałami. „Zwłoki były w mundurach polskich i mogę oświadczyć, że były w dobrym stanie” – stwierdził.

Kiedy Bolesław Popielski przyjechał do polskiego już wówczas Wrocławia, w placówce medycyny sądowej panował bałagan. Byli tu już szabrownicy, z przekazów wynika również, że kiedy Rosjanie wkroczyli do miasta, pierwsze kroki skierowali właśnie do Zakładu Medycyny Sądowej. Liczyli, że znajdą w nim dokumentację katyńską. Tak się jednak nie stało. Wśród licznych preparatów profesor Popielski znalazł coś innego – siedem czaszek. Rzekomo uznał je za czaszki oficerów zamordowanych w Katyniu i tak opowiadał o nich, po cichu oczywiście, młodszym kolegom. Naukowiec miał ukryć czaszki w skrytce za

regałami. Rzeczywiście ta skrytka istnieje do dziś, pokazał mi ją prof. Tadeusz Dobosz. To świetnie zamaskowana przestrzeń w rogu pomieszczenia, w którym stoją preparaty muzealne. Popielski schował szczątki u siebie w szafie, dopiero na kilka lat przed śmiercią pokazał je członkini Stowarzyszenia Dolnośląska Rodzina Katyńska. Po jakimś czasie, gdy profesor już nie żył, za sprawą Rodzin Katyńskich rozpoczęło się żmudne śledztwo, którego celem było wyjaśnienie kwestii czaszek. Tak przynajmniej wyglądały te wydarzenia w oczach dziennikarzy.

Specjaliści z wrocławskiego Zakładu Medycyny Sądowej zajęli się czaszkami pełni emocji. Chcieli to robić. To była dla wszystkich cholernie ważna sprawa. Cała Polska czekała na wyniki, a dla każdego, kto miał szansę uczestniczyć w badaniach, było to prawdziwe wyzwanie.

„«Dziękujemy za życzliwość w poszukiwaniu prawdy» – odpisał Krzysztof Sosna z Rodzin Katyńskich, prosząc o ustalenie płci, wieku ofiar, wieku znaleziska i kalibru broni. W p.s. dodał: «najstarszy wiekiem jeńiec Kozielska miał 70 lat; wśród zamordowanych była kobieta; „B” na oznaczeniach czaszek to prawdopodobnie „Buhtz”, „V” może się kojarzyć z Ludwikiem Vossem, policjantem nadzorującym ekshumację»” – to kolejny fragment z reportażu Jacka Antczaka.

Profesor Tadeusz Dobosz i dr Jerzy Kawecki wykonali pierwsze oględziny.

– Okazało się, że ktoś, prawdopodobnie sam prof. Buhtz, wygotował czaszki tak dokładnie, że nie można z nich pobrać materiału DNA – wspomina prof. Dobosz.

To były pierwsze schody, trudność absolutnie nie do pokonania. Badacze ustalili jednak, że są to „czaszki mężczyzn w wieku od 30 do 40 albo od 40 do 50 lat [...]. Prawdopodobną przyczyną ich śmierci był postrzał głowy z raną okolicy potylicznej, co sugeruje, że zginęli w ten sam sposób, podczas egzekucji. [...] Pomiary otworów wlotowych i niektórych wylotowych wskazują, że zginęli od strzałów z broni krótkiej o kalibrze 7,65 mm ACP odpowiadającej kalibrowi niemieckich pistoletów, których używali Sowieci w Katyniu”. Nie udało się ustalić wieku czaszek ze względu na ich macerację, białko zostało zdenaturowane,

zniszczone, po prostu usunięte. Profesor Krupiński i prof. Rajchel stwierdzili natomiast, że jedna z siedmiu czaszek według wszelkiego prawdopodobieństwa należała do kobiety. Ta wiadomość zelektryzowała prof. dr. Andrzeja Jagielskiego z Instytutu Geograficznego Uniwersytetu Wrocławskiego.

„Podejrzewał, że, być może, jest to czaszka jedynej kobiety, która zginęła w Katyniu, pilota Janiny Lewandowskiej, córki głównego dowódcy oddziałów powstańczych, później wojsk wielkopolskich, generała Dowbor-Muśnickiego” – wspominał prof. Tadeusz Krupiński, zmarły w 2007 roku wybitny antropolog<sup>[105]</sup>. – „Prof. Jagielski poznał Janinę Lewandowską przed wojną i uważał za swój obowiązek doprowadzić do badań, które pozwoliłyby wykluczyć lub potwierdzić to przypuszczenie. Zwrócił się do prof. dr. Tadeusza Krupińskiego, który wraz z prof. Zbigniewem Rajchelem, dr. Jerzym Kaweckim i lek. med. Hubertem Szatnym dokonali szczegółowych badań. Niestety, prof. A. Jagielski nie doczekał się wyniku ekspertyzy prowadzonej przez wyżej wymienionych, zmarł nagle”.

– Z tego, co wiem, prof. Jagielski jako młodzieniec był zafascynowany Janką, o czym być może przedmiot westchnień nawet nie wiedział – śmieje się dr n. med. Jerzy Kawecki.

Analiza morfologiczna wykazała, że jedna z mocno uszkodzonych czaszek, oznaczona jako V13, należała do kobiety w wieku od trzydziestu do trzydziestu pięciu lat. Stuprocentową pewność mogłyby dać tylko badania DNA, ale, podobnie jak w przypadku innych czaszek, jego wyizolowanie okazało się niemożliwe. Profesor Zbigniew Rajchel zrekonstruował zniszczoną twarzoczaszkę, mimo że w szafie Bolesława Popielskiego znajdowały się jedynie tak zwana tylna mózgowczaśzka i niewielki fragment trzewioczaszki.

– Kwestia, że prof. Rajchel najpierw widział zdjęcie „Janeczki”: a potem dopiero przystąpił do rekonstrukcji brakującej części twarzoczaszki była rzeczywiście kluczowa w tej sprawie, ponieważ istnieje ryzyko, że podświadomość mogła mu trochę pomóc w tej rekonstrukcji. Ponieważ sprawa „pilotki Janeczki” była dla mnie bardzo „dziwna”, zaprosiłem prof. Rajchela i prof. Krupinskiego na

posiedzenie Polskiego Towarzystwa Medycyny Sądowej i Kryminologii i zadałem im to pytanie. Odpowiedz była oczywiście twierdząca – wspomina dr n. med. Jakub Trnka.

Następnym etapem badań była superprojekcja. Polega ona na komputerowym nałożeniu zdjęcia czaszki na fotografię poszukiwanej osoby.

„Superprojekcja wykazała uderzającą (ok. 90%) zgodność cech antropologicznych czaszki z przyżyciową fotografią Janiny” – napisał prof. Krupiński. Wszyscy byli uszczęśliwieni. Janina Lewandowska, kobieta pilot, nazywana była przez współtowarzyszy z łagru „Matką Boską Kozielską”. Jako pierwsza Europejka wykonała skok spadochronowy z wysokości pięciu kilometrów. Za mąż wyszła zaledwie pięćdziesiąt dni przed wybuchem wojny, a już we wrześniu 1939 roku dostała się do sowieckiej niewoli. Czwartego listopada 2005 roku, po identyfikacji, jej czaszkę, a właściwie tyłogłowie, z honorami wojskowymi pochowano w specjalnej urnie w grobowcu rodzinnym w Lusowie. Pozostałe sześć czaszek spoczęło w Sanktuarium Golgoty Wschodu, w parafii wrocławskich redemptorystów na Biskupinie. Na pogrzeb przyszyły tłumy.

Zmarli i żywi odetchnęli.

\*

Trudno zrozumieć, dlaczego Gerhard Buhtz zabrał z Katynia te kilka czaszek. Jaki miał cel? Czy kierowała nim taka sama ciekawość jak wtedy, gdy wiozł do swojego gabinetu w Jenie czaszkę kaprala Kallweita? Intuicja podpowiada mi, że – skoro brak dokumentów – może dzięki temu pytaniu łatwiej będzie odnaleźć ślady preparatów anatomicznych z Sieniawki. Właściwie wyczerpują się już wszystkie możliwości, cały czas poruszam się jedynie w sferze przypuszczeń. Nic nie jest do końca pewne. Nic.

Pierwszy zaczyna mówić dr Jerzy Kawecki, starszy wykładowca Zakładu Medycyny Sądowej, nieco zazdrośnie nazywany przez kolegów gwiazdą zakładu. Często gości w mediach, napisał również książkę wspólnie z Markiem Krajewskim. To właśnie dr Kawecki był w grupie badającej katyńskie czaszki.

– Nie mam żadnej pewności, że te czaszki rzeczywiście pochodzą z Katynia – mówi pewnego dnia podczas niezobowiązującej rozmowy o zupełnie czymś innym. Nie ciągnę tematu, ale zapamiętuję ten sygnał i z tyłu głowy odkładam go na później.

Kolejny ślad pojawia się w pracy dr. n. med. Jakuba Trnki, konsultanta wojewódzkiego w dziedzinie medycyny sądowej, oraz Michała Wępsięcia, byłego pracownika Zakładu Medycyny Sądowej.

„W związku ze stanem zachowania kości, ich opisami, charakterem obrażeń, czasem, w jakim powstały zbiory, hipoteza, iż pochodzą one z Katynia, jest bardzo wątpliwa”[106].

Coś tu jest nie tak.

– Miałem zaszczyt znać profesora Bolesława Popielskiego. Kiedy przyszedłem na studia doktoranckie, profesor był już na emeryturze, ale odwiedzał Katedrę. Mieliśmy pokoje naprzeciwko siebie, co stwarzało okazję do wspólnego picia kawy i rozmów. Profesor nigdy nie mówił, że są to czaszki z Katynia. Był bardzo pragmatycznym i ostrożnym naukowcem. W tym przypadku używał określeń „być może”, „istnieje prawdopodobieństwo”, wskazując, że są na to tylko poszlaki, a nie ma dowodów. Nie robił też z tego żadnej tajemnicy, o tych poszlakach wiedzieli wszyscy pracownicy Katedry i, prawdę mówiąc, traktowali to w kategoriach „legendy”. – Doktor Jakub Trnka zupełnie inaczej patrzy na historię odkrycia czaszek niż opisujący ją dziennikarze. – Rzeczywiście, część czaszek profesor przez pewien czas trzymał u siebie w pokoju, tak jak wiele innych przedmiotów i dokumentów. Myślę, że robił to dlatego, że w tym czasie w muzeum zakładowym trwały prace porządkowe, był ogólny zamęt i bałagan. Ale takich czaszek było więcej. Wykorzystywano je do dydaktyki w czasie zajęć ze studentami medycyny, przedstawiając im przykłady uszkodzeń związanych z postrzałami. Część tych czaszek została przez kolejnego kierownika w czasie porządkowania Muzeum przekazana do Zakładu Anatomii Prawidłowej właśnie jako eksponaty anatomiczne dla celów dydaktycznych.

Dr Trnka przedstawia mi swój punkt widzenia w liście, to właściwie rodzaj wykładu, w którym wyjaśnia niuanse całej sprawy: *Ta legenda o „czaszkach katyńskich” to proste skojarzenie, że jak profesor Gerhard Buhtz był w Katyniu, to pewnie „coś stamtąd przywiózł”. Ale wiemy, że Niemcy zabraniali wywożenia ludzkich szczątków z ekshumacji w Katyniu i sami tego przestrzegali. Znany jest tylko jeden taki przypadek „wywiezienia” czaszki z Katynia. Helge Tramsen, duński chirurg, „przemycił” jako dowód zbrodni czaszkę polskiego oficera do Instytutu Medycyny Sądowej w Kopenhadze, gdzie w 2005 roku została odnaleziona w jednej z szaf.*

*Sensacyjne były wcześniejsze doniesienia mediów, że „odnaleziono w Zakładzie Medycyny Sądowej AM we Wrocławiu czaszki oficerów polskich z Katynia”. Miały to potwierdzić badania naukowe. Ale jakie to mogły być badania? Zapewne antropologiczne – ale co takie badania mogły ustalić? Że są to czaszki mężczyzn z otworem postrzałowym w potylicy. A stąd do Katynia jeszcze bardzo daleko.*

*W czasie wojny i okupacji ginęli głównie mężczyźni a strzelanie w tył głowy było praktykowane przez wszystkich uczestników konfliktów. Także przez Niemców.*

*Wspomnieć też trzeba o innej hipotezie. Rosjanie byli bardzo wyczuleni na sprawy katyńskie. Podobno po upadku „Festung Breslau” do Katedry Medycyny Sądowej przyjechała ekipa NKWD, która miała szukać jakichś śladów po ekshumacjach katyńskich (też na zasadzie prostego skojarzenia, że jak profesor Buhtz tam był, to może coś przywiózł). Gdyby to była prawda, to czy możliwe, że ta ekipa „przeoczyłaby” czaszki katyńskie, które leżały na muzealnych półkach?*

*Oznaczenia literowe na tzw. „czaszkach katyńskich” (litery B i V) naprawdę nie muszą mieć żadnego związku z Katyniem. Oczywiście można te litery próbować dopasowywać np. do niemieckich nazwisk współpracowników profesora Buhtza lub osób z jego otoczenia, np. B= Buhtz, V= Voss (Ludwig Voss był sekretarzem Policji Polowej Tajnej przy komendzie Gł. Grupy Wojsk „Środek”, zabezpieczał badania w Katyniu – nie był lekarzem ani naukowcem). Ale może te litery oznaczają coś zupełnie innego? I co to ma wspólnego z Katyniem? Niemieccy naukowcy byli bardzo skrupulatni i systematyczni, więc gdyby były to naprawdę czaszki z Katynia,*

*każda z nich byłaby oznakowana inaczej i miałyby to odniesienie do dokumentacji z ekshumacji w Katyniu. A tego nie ma.*

*Natomiast wiemy, że Niemcy wykorzystywali zwłoki więźniów z obozów koncentracyjnych do tworzenia preparatów anatomicznych dla celów naukowych i dydaktycznych. Takie preparaty kostne były wykorzystywane na niemieckich uczelniach. Zakład Medycyny Sądowej w Breslau (który prowadził przecież działalność naukową i dydaktyczną) miał kontakty z obozem w Gross-Rosen. A te „czaszki katyńskie” nie wyglądały jak kości przebywające przez kilka lat w ziemi razem z rozkładającymi się tkankami miękkimi. Były bardzo ładnie wypreparowane, właśnie jakby miały pełnić rolę eksponatów... A więc pojawia się inna hipoteza, że może te czaszki pochodzą z innego miejsca i innych okoliczności.*

Trudno mi się zgodzić z hipotezą naukowca, że „w czasie II wojny światowej w tył głowy strzelali wszyscy uczestnicy konfliktów”, ale nie o tym jest ta książka. Niemniej jednak z listu wynika, że prof. Buhtz mógł te czaszki przywieźć skądkolwiek. Na przykład z Gross-Rosen, z którym współpracował.

– Niestety, w chwili obecnej nic nie wskazuje, że tzw. „czaszki katyńskie” mają cokolwiek wspólnego z masakrą polskich oficerów w Katyniu. Nie wiem, czy są to czaszki katyńskie czy nie, ale wiem, że poszlaki nie mogą zastąpić wyników badań naukowych. W obecnej chwili to tylko fakt medialny a nie naukowy. Jednak takie niepotwierdzone naukowo „medialne rewelacje” mają, niestety, także aspekt społeczny. Oto przypadkowy materiał kostny zaczyna być traktowany jako „relikwie narodowe”, którym urządzi się „uroczyste pochówki” – uważa Jakub Trnka.

Od pokoju dr. Trnki do dawnego gabinetu prof. Buhtza dzieli mnie kilka schodów, następnie należy wejść na półpiętro i pokonać następne schody. W tym wielkim, reprezentacyjnym gabinecie czeka na mnie kierownik zakładu dr hab. n. med. Tomasz Jurek, prof. UMW. Profesor Jurek twierdzi, że woli swoją małą pracownię dwa piętra wyżej, ale do tematu naszej rozmowy to okazałe pomieszczenie przystaje najlepiej. Ze ściany spogląda na nas sprawca całego zamieszania, pierwszy powojenny kierownik placówki prof. Bolesław Popielski.

– Mam delikatną sprawę, chyba niezbyt miłą... – zaczynam. – Chodzi o czaszki katyńskie. Czy to możliwe, że profesor Buhtz nie przywiózł ich z Katynia, tylko na przykład z Gross-Rosen?

Naukowiec w ogóle nie jest zaskoczony.

– Parę elementów do tego pasuje, a ja jestem zwolennikiem obalania mitów – przyznaje. – Zawsze podchodziłem do tej sprawy ze zdrowym sceptycyzmem, na zasadzie chłodnej oceny. Naszym czaszkom przyznano status „katyńskich”, ponieważ ich ocena miała charakter historyczny, a nie kryminalistyczny, czyli dowodowy. Szczególnie dotyczy to Janiny Lewandowskiej. Dlaczego? Bo oceny dokonano zgodnie z pewną tezą. Jeśli mamy zdjęcie osoby typowanej i jej potencjalną czaszkę, to jest to do pewnego stopnia weryfikacja założeń, porównanie zgodności cech, a nie rekonstrukcja wyglądu czy też badanie zgodności cech niepowtarzalnych, w pełni indywidualnych. Dlatego superprojekcję, która została w tym przypadku wykonana, należy traktować jako miękkiego dowód, mało kategorię. Dowód taki może być przekonujący dla historyka, lecz dla medyka sądowego już nie. Ale, jak już wspomniałem, cel rekonstrukcji historycznej jest zupełnie inny niż kryminalistycznej. Gdybyśmy mieli czaszkę bez zdjęcia oraz dane o unikalnych cechach indywidualnych w morfologii i weryfikowalibyśmy jej właściciela, byłby to już proces dowodowy. Szczerze mówiąc, od początku mnie dziwiło, że najpierw został „zbudowany pomnik”, powstała pewnego rodzaju legenda, a dopiero później pomyślano o tym, że bez wyizolowania materiału DNA nie można identyfikować ofiary. Jak pani dobrze wie, zbadanie DNA okazało się niemożliwe, więc nie wiem, co jeszcze w tej sprawie da się zrobić. Dobrze by było stworzyć bazy genetyczne rodzin katyńskich. W zasadzie to cel priorytetowy dla wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób zajmują się tą tragedią, łączą z nią bolesną pamięć. Dzięki temu, w razie potrzeby, w podobnych przypadkach będzie można porównywać materiał genetyczny ze znalezionych szczątków z materiałem genetycznym ludzi, którzy mogą być dla ofiar kimś bliskim.

Wygląda na to, że od dawna wiedzieli wszyscy.



Z gabinetu profesora Jurka do pokoju doktora Kaweckiego muszę zejść przez kilka schodów, przejść przez półpiętro i znowu przez kolejne schody. Starsi wykładowcy mają swoje pokoje na parterze, dr. Trnkę i dr. Kaweckiego dzieli od siebie zaledwie kilka metrów. Kaweckie ma komfort o tyle, że pracuje najbliżej sal sekcyjnych. Bardzo lubię jego gabinet. Panuje w nim rodzaj pewnego naukowego nieładu, w którym jest się w stanie połapać tylko jego twórca. I robi to perfekcyjnie. Doktor Kaweckie bez kłopotu wyciąga ze stosu zdjęć stare fotografie prof. Buhtza, które kiedyś odnalazł w zakładzie. Gerhard romantycznie zamysłony na plaży w Świnoujściu, Gerhard z rodziną, Gerhard jako ochotnik na froncie I wojny światowej. W końcu prof. Gerhard Buhtz, człowiek z nalaną twarzą i blizną. Fanatyczny nazista.

– Silna osobność, to widać – śmieje się Kaweckie.

– Jak to się stało, że czaszki rzekomo pozostawione przez Buhtza uznaliście za „katyńskie”? Był nacisk ze strony mediów, władz?

Twarz lekarza poważnieje.

– Nie odczułem nacisku, zabraliśmy się za badania rzetelnie, nasza koncepcja miała charakter roboczy i duże szanse na potwierdzenie. Po pierwsze miejsce, gdzie zostały znalezione czaszki, po drugie ich oznakowanie są znamienne. Mamy tu wiele czaszek i żadne inne nie miały opisów, a na tych były naniesione czarnym tuszem litery B i V z kolejnymi numerami. Rany postrzałowe to nic nadzwyczajnego dla medyka sądowego, ale te czaszki... Mimo typowych obrażeń musiały być wyjątkowe, skoro zostały tak dokładnie oznaczone. Do tego uznano je za godne pozostawienia w muzeum. Czy w takiej fabryce jak Gross-Rosen ktoś by się tym przejmował? Myślę, że ta sprawa zyska jeszcze wyjaśnienie, może znajdą się na przykład jakieś notatki? Profesor Popielski zapewne mógł mieć wątpliwości, ale znane mu były przecież zwyczaje Buhtza polegające na „zabezpieczaniu” głów i czaszek, połączył więc kilka wątków: pracę Buhtza w Katyniu, wyjątkowość zdarzenia, jakim było odkrycie masowych mogił katyńskich w skali międzynarodowej, oraz wynikającą z tego zrozumiałą konieczność zabezpieczenia materiałów kostnych.

Czy to miękki, czy twardy dowód?

Doktor Jerzy Kawecki, podobnie jak wszyscy jego koledzy, mówi z chłodną ostrożnością. Przyznaje – niepewność zawsze istnieje.

– Byłbym nieuczciwy, gdybym powiedział kategorycznie, że są to czaszki katyńskie, a jednak splot wszystkich okoliczności na to wskazuje. Metoda superprojekcji jest rzeczywiście niepewna, ale wszystko, co mogliśmy zrobić, wykonaliśmy zgodnie z naszą najlepszą wiedzą.

– Czyli to mogą być równie dobrze czaszki z Gross-Rosen lub jednego z podobozów? – Nie wiem, czemu ja teraz przyczepiłam się do tego pomysłu.

– Może z Gross-Rosen lub innych grobów masowych ludzi, którzy zostali pozbawieni życia strzałem w tył głowy. Tylko badania DNA i zbieg okoliczności mogą dać absolutną pewność.

Nieoczekiwanie okazuje się, że wszyscy są zgodni.

– Ile procentowo ma pan pewności, że to czaszki z Katynia, a ile, że jednak nie?

– W obecnej sytuacji pięćdziesiąt na pięćdziesiąt – odpowiada dr Kawecki.

Czuję, jak rozwiązanie zagadki Sieniawki zaczyna się od mnie gwałtownie oddalać. Widzę, że po świecie krąży o wiele więcej zagubionych zmarłych.

## ROZDZIAŁ XXV



## ZGWAŁCONA PIOSENKA

Profesor Buhtz nie żyje od prawie roku. Mengele włożył mundur Wehrmachtu i usiłuje przeczekać w lazarecie wojskowym 17 Armii III Rzeszy numer 2/591. Między 30 kwietnia a 2 maja 1945 roku dociera do Saaz w Sudetenland (obecnie to Žatec), gdzie jednym z oficerów medycznych jest jego stary znajomy dr Hans Otto Kahler, również zaangażowany w badania nad bliźniętami. Kahler zgadza się, żeby Mengele został i pracował z nim w szpitalu. Już po wojnie oficer medyczny zeznał, że w dniu jego spotkania z kolegą rozgłosnie radiowe ogłosiły, że Hitler popełnił samobójstwo. Ta informacja budzi jednak wątpliwość Ulricha Völkleina, biografą Mengelego. W radiu bowiem nie podawano wówczas komunikatów dotyczących samobójstwa Führera. Informacja o jego śmierci została przekazana 1 maja, tymczasem Kahler twierdził, że Mengele przybył do obozu 2 maja. Oficer z Saaz, który udawał, że ignoruje nowy mundur kolegi, zanotował jednak, że Anioł Śmierci absolutnie nie chciał uwierzyć w śmierć Hitlera. W ciągu tygodnia cały oddział, w obawie przed Rosjanami, zaczął ucieczkę na zachód.

W Klein-Schönau więźniowie słyszą już pierwsze pomruki frontu. To koniec. Strażnicy zaczynają zachowywać się jak ludzie. Już nie biją. Porcje jedzenia są jakby większe. Ernst Weiss pamięta jednak, że musi z kolegami przygotowywać okopy, bo Niemcy drżą przed radziecką nawałnicą. Do pracy w zakładach chodzą

już głównie kobiety. Trude Sojka za chwilę zacznie rodzić. Zaczyna się odliczanie do wolności.

Doktor Zygmunt Kulig dostaje pod opiekę obozowy rewir, w którym pomaga mu, tak jak potrafi, młody Zdzisław Molenda. Piątego maja 1945 roku esesmani wyprowadzają grupę pięciu tysięcy więźniów i kierują się z nimi na zachód. Doktor Kulig zostaje z dużą grupą chorych. Panuje atmosfera zawieszenia. Nikt do końca nie wie, czego można się spodziewać.

– Szóstego maja 1945 roku pewna bardzo dzielna Węgierka w wieku około czterdziestu lat przecięła drut kolczasty i krzyknęła: „Uciekajmy!”. Ja wolałem poczekać, aż Niemcy zejną z wieżyczek strażniczych, bo niektórzy zaczęli strzelać. Dobra strona tego była przynajmniej jedna: dowiedzieliśmy się w końcu, że ogrodzenie nie było pod napięciem, czego zawsze się baliśmy – opowiada o ostatnich dniach w Zittwerke Ernst Weiss<sup>[107]</sup>.

Jeszcze tego samego dnia jeden z nadzorców morduje strzałem w głowę ciężko chorą Żydówkę. Można wyczuć jednak, że, tak jak wcześniej Mengele, esesmani z Klein-Schönau tracą kły. Ich niepewność powoli zamienia się w strach, a strach w panikę. Weiss obserwuje jednego z esesmanów, który w cywilnym ubraniu usiłuje się wtopić w tłum. Zarówno niemieccy cywile, jak i żołnierze chcą jak najszybciej przedostać się do strefy, gdzie są już Amerykanie. Do węgierskich Żydówek przychodzi Lieselotte Sturm, dwudziestoczteroletnia nadzorczyńni z SS, i błaga je, żeby w razie czego zabrały ją ze sobą na czeską stronę. Dziewczyny się zgadzają.

W drogę wyrusza dyrektor Zittwerke AG, Jürgen Ulderup. W plecaku wiezie miedziane sztabki, ucieka na rowerze. Po jego kierowcy i służbowym samochodzie nie ma już śladu. Ulderup pedałuje, ile się da, musi się bać. Nad Łabą zostaje zatrzymany przez aliantów. Dyrektor Zittwerke jest młody, ma niebieskie oczy, żołnierze podejrzewają, że należy do SS, i chcą go na miejscu zlikwidować. Ale Ulderup ma szczęście. Cholerne szczęście. Dowódca oddziału okazuje się Żydem i kolegą Jürgena z Wyższej Szkoły Technicznej Charlottenburg w Berlinie. Do Stanów Zjednoczonych wyemigrował w 1933 roku, teraz rozpoznaje kumpla ze

studiów i ratuje mu życie. Ulderup rusza w dalszą drogę do rodziny. Nie wie jeszcze – nikt nie wie – co teraz się wydarzy. W tej chwili napędza go przede wszystkim lęk przed Sowietami. Moment na refleksję przyjdzie być może później.

„Kiedy Rosjanie przełamali front, okna w kancelarii zatrzęsły się od huku dział. My jednak dalej pracowaliśmy, inżynierowie wciąż usiłowali udoskonalić linie produkcyjne. 7.5.1945 po południu jeden z inżynierów coś mi dyktował, gdy przybiegł jego zdenerwowany kolega. Mówił, że za godzinę muszą opuścić Zittwerke, bo koniec jest blisko. Wysłali nas na blok, nikt nie wiedział, co się dzieje. Wczesnym rankiem następnego dnia odziały SS porzuciły zakłady. Poczuliśmy ulgę. Powoli topniał w nas strach. Nad ranem odjeżdżał także SS-Oberscharführer Foerster, był bardzo uprzejmy i miły, namawiał nas, żeby 50 kobiet zabrało się z nim i by dobrze o nim mówiły, gdy podda się aliantom. Żadna się nie zgodziła. W obozie został może jeden lub dwóch żołnierzy. W końcu mogliśmy wyjść za druty. Po około godzinie w grupie dwudziestu dwóch osób opuściliśmy obóz i wyruszyliśmy w drogę. Jeszcze nie wiedzieliśmy, że wojna się skończyła, a nie chcieliśmy czekać w obozie. Baliśmy się, że SS wróci i nas wymorduje. Baliśmy się też, że fabryka jest zaminowana” – wspomina Teréz Alexander, która za chwilę miała odliczyć pełen rok od momentu swojego aresztowania. – „Wieczorem dowiedzieliśmy się, że wojna się skończyła”.

„W męskiej części obozu zjawiły się Żydówki, prowadzące obozową kuchnię. Przyniosły nam jakieś resztki żywności, które pozostały w magazynie. Dotarła do obozu wiadomość, że wojska bolszewickie wkraczą do miasta. Więźniowie, którzy mogli się jeszcze poruszać o własnych siłach, rozeszli się po okolicy w poszukiwaniu żywności i odzieży” – opowiada Zdzisław Molenda.

Jest tylko jedna rzecz, o której marzą niewolnicy z Zittwerke. Chcą jeść. Ernst Weiss razem z grupą mężczyzn idzie w kierunku centrum Zittau. Trafiają na wielki magazyn, w którym jest tylko musztarda. Rzucają się na nią i jedzą jej tyle, że muszą potem „liczyć się z konsekwencjami”.

– Po tylu latach cierpienia byliśmy na wolności, i to z kobietami! Ale kobiety nic dla nas nie znaczyły w tym czasie, byliśmy absolutnie aseksualni. Poszliśmy do

farmera, który dał nam kurczaki. Zapytał: „Co zamierzacie z nimi zrobić?”. Odpowiedzieliśmy, że utniemy im głowy i zrobimy rosół. Farmer dał nam siekiere. Spojrzeliśmy na siebie. Po tylu latach w obozach, po patrzeniu na setki trupów, nie byliśmy w stanie uciąć kurczakowi głowy.

Sieniawka została wyzwolona przez 1 Front Ukraiński 52 Armii 9 maja 1945 roku. Rano do obozu wjechał radziecki czołg. Siedzący w nim żołnierz powiedział po prostu: „Jesteście wolni”.

„Wśród węgierskich Żydówek było kilkanaście utalentowanych piosenkarek i tancerek. Zorganizowały one «koncert» dla stacjonującej obok obozu jednostki wojsk radzieckich. Podnieceni widokiem urodziwych artystek żołdacy wtargnęli na zaimprovizowaną scenę i dokonali na dziewczętach zbiorowego gwałtu. Opowiadał nam o tym niecnym wyczynie bolszewickich zwyrodnialców dr. Zygmunt, który opatrywał straszliwe rany zmaltretowanych Żydówek.

Za zgodą Komendanta Wojennego Zittau Żydzi grasujący w okolicy miasta mogli posiadać broń. Likwidowali ukrywających się esesmanów oraz wybijali bydło i nierogaciznę w gospodarstwach rolnych okolicznych wsi. Któregoś dnia kilku z nich przyprowadziło grupę wystraszonych Niemców mających pochować zmarłych więźniów, których liczba zwiększała się z każdym dniem.

Pod naszym nadzorem Niemcy wykopali dwie zbiorowe mogiły. W jednej z nich złożyliśmy zwłoki Żydów, w drugiej Aryjczyków – Polaków, Czechów, Słowaków i Ukraińców. Byli to krańcowo wyczerpani więźniowie pozostawieni przez Niemców w obozie Zittau podczas marszu śmierci. Pochowaliśmy ok. trzystu zmarłych. Poleciliśmy Niemcom przygotować okazały krzyż z dębowego drewna oraz dwie tablice z napisami określającymi liczbę i narodowości spoczywających w mogiłach więźniów obozu śmierci. Niemcy wywiązali się z polecenia doskonale i już następnego dnia dostarczyli krzyż i tablice. Charakterystyczne, że treść napisów wypalonych na tablicach, mimo że zredagowana w języku polskim, była wypisana bezbłędnie” – opisywał Zdzisław Molenda.

Mogiła, o której wspomina były więzień, to ta, o której tak często opowiada Jasiu. Nie ma żadnego śladu po jej oznaczeniach. Trudno nawet odnaleźć ją

w terenie, bo ani doktor Kulig, ani Zdzisław Molenda nie przekazali dokładnych informacji o jej położeniu.

– Moja żona mówi do mnie: nie opowiadaj takich rzeczy o krzyżujących zmarłych, bo ludzie pomyślą, że masz coś nie tak z głową. – Janusz Witek podniesionym głosem opowiada o grobach. Pokazuje miejsce za placem zabaw, gdzie jego zdaniem mogli zostać pochowani więźniowie z Zittwerke. – To najlepsze miejsce na taki pochówek. Blisko, pod laskiem, trzeba będzie ich w końcu znaleźć.

Tak naprawdę nikt ciągle nie wie, ilu dokładnie ludzi przeszło przez to miejsce.

*Encyklopedia obozów i gett*[108] podaje na podstawie dostępnych zapisów, że pomiędzy 4 lutego a 7 maja 1945 roku zmarło dziewięć kobiet i dziewięćdziesięciu mężczyzn. Ile osób straciło życie wcześniej i ile zginęło po wyzwoleniu – to również wciąż nierozstrzygnięty problem. Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich wyliczyła, że przez Klein-Schönau mogło przejść około pięciu tysięcy Żydów. Jeśli dodać do tego jeńców i robotników przymusowych pracujących w zakładach, a potem uczestników marszów śmierci, które tu docierały, liczba ta się znacznie powiększy. O ile?

Zofia Filipiak z Sieniawki została przywieziona w tę okolicę w czasie II wojny światowej. Jej mąż Adolf, który pracował „u bauera”, często woził do Zittwerke zakontraktowane u swojego gospodarza brukiew i ziemniaki. Mógł wjechać na strzeżony teren zakładu, musiał jednak przedtem włożyć specjalnie oznaczony płaszcz. Był to niemiecki płaszcz wojskowy z czerwonym znakiem na plecach przypominającym odwróconą literę V. Dostawca wspominał potem, jak wygłodniali więźniowie usiłovali jeść brukiew na surowo. Strażnicy bili ich wtedy brutalnie kolbami karabinów. Adolf Filipiak dopiero po wojnie opowiedział więcej. W 1945 roku pokazał żonie miejsce, które przypominało niewielkie wzniesienie.

– Jest tam ukryte wejście do wielkich podziemi. Niemcy zapędzili do nich część jeńców i żywcem zabetonowali. Chcieli w ten sposób pozbyć się świadków, którzy znali tajemnice tej fabryki – relacjonował.

– Kiedyś mi się śniło, że te wszystkie trupy patrzą na mnie, ja obok przechodzę i kiedy ich dotykam, to jakby odżywały – opowiada Jasiu. – Jedna pani, która jest jasnowidząca, powiedziała mi, że tu nie przyjedzie. Bo tu jest za dużo zła.

Zła? Na placu zabaw dzieci dzielnie rzucają w siebie kępkami trawy. Na ławeczce siedzi kobieta z papierosem. Ta, która zawsze maluje usta na krwistoczerwony kolor. Nigdy nie zapytam, kim jest. To właściwie jedyna rzecz, której nie chcę wiedzieć o Sieniawce.



## ROZDZIAŁ XXVI



## KRAJOBRAZ PO BITWIE

– Kiedy zobaczyłem szpital i domy mieszkalne w Sieniawce, najbardziej zaszokował mnie widok spacerujących tam matek z wózkami i z małymi dziećmi. Skojarzenia są trudne do wypowiedzenia, ale, jak widać, pewne sprawy nikomu nie przeszkadzają. – Profesor Andrzej Kulig, syn Zygmunta, który ratował ludzkie życie w tym miejscu, z trudem opisuje swoje wrażenia po pobycie w dawnym obozie.

Zaraz po wojnie Sowietci zamknęli niemieckich jeńców w budynkach obozu. Mówi się nawet o trzydziestu tysiącach ludzi. Teraz cierpieli tu żołnierze Hitlera. Głodni, brudni, zawszawieni. Déjà vu historii.

– Ten ośrodek był piekłem – opowie po latach Johann Hamperl z Wilting, który w czasie wojny służył w Werhmachie. – Kiedy nas pędzili do Klein-Schönau, nie jedliśmy i nie piliśmy przez osiem dni. Pragnienie jest gorsze niż głód. Usiłowałem pić wodę z kałuży, wyrywałem z ziemi trawę. Niektórzy koledzy nie wytrzymywali, popełniali samobójstwo.

We wrześniu 1945 roku Sowietci zaczęli wywozić Niemców na Sybir. Równocześnie demontowali, a właściwie kradli, wszystko, co z Sieniawki można było wynieść. Zakłady stały otworem. Niektóre urządzenia żołnierze musieli wyrywać siłą, nie mieli pojęcia, jak je odinstalować.

Roman Zgłobicki przez dwadzieścia pięć lat zbierał relacje mieszkańców tych terenów. Był ostatnią osobą, która dotknęła jeszcze żywej historii, miała szansę porozmawiać z naocznymi świadkami tamtych dni. Wspomnienia spisał w niewielkiej książce, która dla Jasia i jego grupy stała się poszukiwawczą biblią. Na podstawie setek rozmów Zgłobicki ustalił, że w maju 1945 roku „w magazynach zostały m.in. zespoły, cylindry, skrzydełka, wiatraczki, tulejki, obudowy do bomb lotniczych, turbiny. Przy rampie kolejowej stała suwnica do ładowania ciężkich przedmiotów. Zachowały się windy na szynach, które przewoziły silniki do hamowni. [...] Znalezione dziewiętnaście spalonych silników, które następnie wywieziono do Warszawy w celu dokonania badań. [...] Na terenie wschodnich koszar wykopano w 1948 roku dwie cysterny o pojemności 30 tys. i 25 tys. litrów. Obie zostały przekazane do Głównego Instytutu Lotnictwa na Okęciu w Warszawie”. Na ogromnym terenie radzieckie wojsko znalazło również osiem tysięcy trumien z nieheblowanych desek, motopompę, sto sześćdziesiąt dużych gaśnic, kilofy, łopaty, wszystko, co tylko było potrzebne w przedsiębiorstwie produkującym cudowne bronie.

Niemcom udało się wyprodukować tysiąc czterysta trzydzieści trzy Messerschmitty Me 262. Spóźnili się. Brak wyszkolonych pilotów, paliwa i części zamiennych sprawił, że do czynnej służby weszło tylko trzysta maszyn. Mimo wielu zalet Messerschmitt Me 262 nie sprawdzał się w walkach kołowych ze zwrotniejszymi myśliwcami aliantów. Paradoksalnie, przewaga prędkości Me 262 pozostawiała pilotowi niewiele czasu na otwarcie skutecznego ognia. Już wiele lat po wojnie samolot, którym tak zachwycał się niegdyś Adolf Galland, zyskał wartość muzealną, stał się obiektem marzeń kolekcjonerów i miłośników lotnictwa.

Przeglądam giełdy internetowe. Na początku stycznia 2018 roku na sprzedaż został wystawiony „fantastycznie odrestaurowany Me 262”. Cena: ponad pół miliona dolarów, samolot w pełni wyposażony, mnóstwo oryginalnych części. Również znaczki robotników Zittwerke mają świetne ceny. Można je kupić na całym świecie. W Polsce, w Estonii, w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych. Znaczki mają różne kolory i kształty, w zależności od grupy robotników. Na ogół

są mocno zniszczone, często mają adnotację: „brand new” (zupełnie nowy), niekiedy sprzedający uczciwie zaznacza, że to towar „pre-owned” (z drugiej ręki). Na zachodnich aukcjach internetowych ich ceny sięgają nawet stu pięćdziesięciu dolarów. Jestem ciekawa, jaką drogą trafiły w ręce ludzi, którzy teraz chcą na nich zarobić. Takie pamiątki wędrują bez przerwy, od zbieracza do zbieracza. Obóz koncentracyjny w Oświęcimiu również miał kilka epizodów z poszukiwaczami żądnymi drobiazgów prosto z miejsca śmierci. Na określenie tego zjawiska powstał nawet termin: tanatoeksploracja. Ktoś znajdzie coś w ziemi na miejscu kaźni, ktoś inny zedrze kawałek tynku ze ściany, pod którą ginęli ludzie, ale bywa i tak, że ktoś pójdzie jeszcze dalej i wyprodukuje „pamiątkę z obozu”. Swego czasu modne były „opaski z żydowską gwiazdą” sprzedawane w Stanach Zjednoczonych. We Wrocławiu powstała nawet rodzinna firma, która biła pieczętki ładząco podobne do tych z kancelarii obozowych. Fałszerze wpadli ze względu na dziecinną pomyłkę, szkolny błąd. Jedna z pieczęci miała pochodzić z Auschwitz-Birkenau, a w żadnym dokumencie te dwie nazwy nigdy nie występowały w takiej zbitce. Ale kupujących było sporo.

Ktoś może zapyta: co złego jest w sprzedaży znaczków z niemieckich zakładów wojennych? Żaden z więźniów Klein-Schönau nie byłby w stanie pojąć tak postawionego pytania. Pewnie nie zrozumieliby, dlaczego zaraz po wojnie ludzie zaczęli szukać w dawnym obozie skarbów.

Ten teren nie jest jednak łatwy w eksploracji. Jeśli Niemcy coś ukryli, to co i gdzie? Dwadzieścia siedem hektarów powierzchni pokrytej wielkimi zabudowaniami oszałamiało już pierwszych poszukiwaczy. Od zawsze mówili o podziemiach, pisał o nich również Jasiu w swoim pierwszym liście do mnie. To zastanawiające, że w miarę upływu lat ponemieckie obiekty, jak wielkie drzewa, zapuszczają korzenie, tworząc pod ziemią tajemnicze struktury. Płyną kolejne dziesięciolecia, nikt nie może znaleźć do nich wejść, ale podziemia i tak stają się nierozzerwalną częścią historii takich miejsc. W Sieniawce o ich istnieniu byli przekonani już pierwsi powojenni badacze.

W maju 1947 roku inżynier Marian Mazur z Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych (PPT) sporządził notatkę o „obiekcie podziemnym o nieznannej zawartości”<sup>[109]</sup> w Sieniawce. Pisał o czterech wejściach do podziemi, wysadzonych przez wojska niemieckie. Specjalista górnictwa zbadał możliwość dostania się do podziemi, które – jak sugerował – mogą być zatopione. Pół roku później pięcioosobowa grupa pod kierownictwem inż. Stanisława Żmudy zrobiła wykop i próbowała dotrzeć przez niego do podziemi. Nie poradzili sobie z napływającą wodą. Pomimo nieustannej pracy pomp jej poziom nie zmniejszył się ani o milimetr. Wyglądało na to, że wypełniająca podziemia woda musi mieć stały dopływ.

W 1949 roku podziemi nie udało się odnaleźć kolejnej ekipie, tym razem powołanej przez rząd. Wchodzący w jej skład pracownicy odnaleźli głębokie piwnice pod niektórymi budynkami kompleksu. Zaczęli wiercić w betonowym podłożu, aby dotrzeć do niższego poziomu. Kiedy przewiercili kilkadziesiąt centymetrów betonu, natrafili na materiał, którego nie dali rady pokonać. Sprawozdanie kończą informacją: „Dalsze przebijanie niszczyło narzędzia<sup>[110]</sup>”. Ale tajemnica pociągała. Wkrótce Biuro Wojskowe Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego (PKPG) poinformowało, że w podziemiach ponemieckiej fabryki w Łąkach (tak przez chwilę po wojnie nazywała się Sieniawka) znajdują się „remanenty o poważnej wartości”. Twórca notatki miał najprawdopodobniej na myśli albo znajdujące się w podziemiach maszyny, albo zdeponowane tam dobra. Jednak dowódca Okręgu Wojskowego nr IV generał dywizji Wsiewołod Strażewski odpisał lakonicznie, że niczego specjalnie wartościowego w Sieniawce nie ma. W końcu wcześniej byli tam Rosjanie.

Stanisław Lipiński z Bogatyni wspomina, że gdy w latach 1959–1960 przekształcano dawną fabrykę na hotele pracownicze dla robotników z pobliskiej kopalni węgla brunatnego, spychacz niwelujący ziemny kopiec natrafił na dwa metalowe włazy. Ciężkie stalowe wrota prowadziły do dwóch ogromnych podziemnych zbiorników z wodą. Pan Stanisław opowiadał, że woda w zbiornikach cały czas falowała, jakby przelewała się z pomieszczenia do

pomieszczenia. Podjęte przez polskie i radzieckie wojsko próby wypompowania wody nie powiodły się. Pompy pracowały bez przerwy dwa tygodnie, ale poziom wody się nie zmienił. Wojsko zabezpieczyło włązy i zasypało je ziemią.

– Czy to nie potwierdzenie informacji o tym, że Niemcy celowo zalali obiekt, aby uniemożliwić do niego dostęp? – O to Jasiu zapytał mnie w czasie naszej pierwszej rozmowy telefonicznej. Na samym początku, wtedy, gdy jeszcze był poszukiwaczem podziemi, a nie prawdy historycznej. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że Sieniawka ma kilka niesamowitych zakątków. Takich, w których krew poszukiwacza burzy się, a cały organizm domaga się działania. W budynku dawnej komendantury piwnice są wyraźnie zawalone w niektórych miejscach. Szczyty okienek z niższego, niedostępnego poziomu wystają nieco nad gruzowiskiem przemieszanym z ziemią. Czy pod spodem jest coś tajemniczego? Dlaczego posadzka w piwnicach tego budynku została wyprofilowana w taki dziwny sposób? Pomieszczenia mają zaokrąglone rogi, wzdłuż ścian każdego z nich ciągnie się wgłębienie na tej samej wysokości, widać fragmenty uchwytów – to wszystko działa na wyobraźnię. Jednych zachęca do badań, innych do poszukiwań skarbów. Przecież co chwilę ktoś opowiada, że pod polami wokół koszar Niemcy zbudowali jakieś podziemia.

## ROZDZIAŁ XXVII



## CUI BONO?

*Cui bono fuerit?* Kto miał z tego korzyść?

Takie pytanie zadał grubo ponad dwa tysiące lat temu Lucjusz Kasjusz Longinus Ravilla, znany z wyjątkowej surowości rzymski sędzia, cenzor i konsul. Cyceron pisał, że Lucjusz Kasjusz pytał w ten sposób niemal bez przerwy w sądzie, wychodząc z założenia, że najbardziej podejrzany jest ten, kto zyskuje na zbrodni. Do dzisiaj zresztą zasada „cui bono” obecna jest w kryminalistyce. Nikt nie popełnia przestępstwa bez przyczyny. Zawsze w tle są pieniądze, spadek albo czyjaś żona. Złoczyńca zyskuje. W ciężkiej jak cegła biografii Jürgena Ulderupa znajduje się rozdział poświęcony odpowiedzialności kierownika Zittwerke AG za losy zatrudnionych u niego ludzi. Po wojnie inżynier zeznawał w procesie denazyfikacyjnym Waltera Cambeisa, jednego z dyrektorów Junkersa. Na pytanie, czy w Dessau albo w innych siedzibach Junkersa wykorzystywani byli więźniowie z obozów koncentracyjnych, Ulderup odpowiadał:

„Kwestia zatrudnienia więźniów obozów pojawiła się w latach 1942/43. Rozkaz, żeby ich zatrudnić, przyszedł ze sztabu uzbrojenia. Cambeis zakazał zatrudniania więźniów obozowych. Sztab uzbrojenia przydzielił nam po prostu ludzi. Byli oni pilnowani przez oddziały SS”<sup>[111]</sup>.

Jak należy odczytać wyjaśnienia Ulderupa? Szef Zittwerke AG mówi po prostu, że wykonywał rozkazy. Autorzy biografii dają jednak do zrozumienia, że budynki

obożu były w zasięgu wzroku ludzi pracujących w biurach kierownictwa, zaś kierownik „był informowany o relacjach panujących w obozie”. Biografia Ulderupa jest ostrożna, wyważona. Trzej świadkowie, pracownicy Zittwerke AG, przedstawiają Jürgena Ulderupa jako „praworządnego zarządcę, który stał w opozycji do urzędów państwowych i SS, chcąc chronić zatrudnianych przez siebie ludzi przed prześladowaniami politycznymi i polepszać położenie więźniów”. Jakob Christoffel, kierownik kantyny w Zittwerke, zeznał, że Ulderup dbał o polskich pracowników, pozwalając im wyjeżdżać na urlop do Polski. Najślabsze Żydówki i dzieci kazał przenieść do budynku biura, gdzie mogły wykonywać lżejsze prace. Kobiety dostały tam ubrania i buty. Kierownik zabronił również wydawania więźniom zgniłego jedzenia, a nawet więcej – według Christoffela Ulderup nie przypadł do gustu kierownictwu NSDAP w Zittau, bo zadysponował między innymi, aby więźniowie pochodzenia obcego otrzymywali takie same racje żywnościowe jak Niemcy. Christoffel twierdził, że był oczywiście cały czas po stronie Ulderupa i wspierał go, jak tylko mógł. Kiedy w 1958 roku kierownik kantyny został oskarżony o znęcanie się nad więźniami, jego wiarygodność rozsypała się w proch jak zasuszony kawałek papierka.

12 kwietnia 1945 roku Ulderup został aresztowany przez Gestapo. Na zebraniu kierowników ogłosił, że wojna jest już przegrana, Niemcy zaś nie mają broni, która przeważałaby szalę zwycięstwa. W związku z tym dalszy opór i ofiary nie mają znaczenia. Perorował, że miał ideały, ale teraz wszystko straciło sens. Jak sam zeznał po wojnie, miał zostać rozstrzelany w Dreźnie, ale ze względu na bliskość frontu wywieziono go do Mostu w Czechach. Stamtąd więzień został przetransportowany do Pragi, żeby... w tamtejszych zakładach produkcji silników odpowiedzieć na ważne techniczne pytania. Jedynie chwilę posiedział w więzieniu Pankrác, z którego 27 kwietnia został zwolniony na osobisty rozkaz... Hansa Kammlera, człowieka odpowiedzialnego za najważniejsze, w tym podziemne, projekty budowlane III Rzeszy. Kammler nie liczył się z życiem więźniów, to dzięki jego udoskonaleniom krematorium w Auschwitz osiągnęło makabryczną wydajność. Niewolnicy pracujący w podziemiach nie mieli żadnego znaczenia.

W ogóle nie byli ludźmi, jedynie trybikami maszyny, które w razie popsucia po prostu wyrzucano. Czy znany z okrucieństwa esesman znał Ulderupa? Możliwe, że spotkali się wcześniej, kiedy Ulderup – jak się przypuszcza – był zaangażowany w organizację produkcji Junkersa w podziemiach Malachitu obok Halberstadt. Dlaczego Kammler ratował Ulderupa? Moment, w którym do tego doszło, uznawany jest za jeden z najbardziej tajemniczych etapów życia Kammlera. Zbrodniarz wojenny znika, do dzisiaj nie udało się poznać ani przyczyn, ani daty jego śmierci. Nie odnaleziono również jego ciała. Najpopularniejsza jest hipoteza, że Kammler zginął w czasie walk w Pradze, istnieje jednak druga: że został zabity na polecenie Himmlera, który obawiał się, że tajne informacje o nowoczesnych broniach opracowywanych przez III Rzeszę dostaną się w ręce aliantów. Jest i trzecia teoria: Kammler dogadał się z Amerykanami, przekazał im swoją wiedzę i dzięki temu mógł bezpiecznie zniknąć.

*Cui bono?*

Pod koniec 1943 roku zamówienia dla Junkers Flugzeug- und Motorenwerke AG opiewały na prawie dwa miliardy reichsmarek.

Dla takich pieniędzy można zrobić naprawdę wiele.



## ROZDZIAŁ XXVIII



## CZEGO NIE POWIEDZIAŁ DON ROLANDO

Don Rolando skontaktował się z Jasiem.

– Mówił, że od 2003 roku interesuje się Sieniawką, że zna syna dawnego dyrektora Zittwerke i nawet z nim rozmawiał. Proponował, żebyśmy podpisali umowę na poszukiwania, ale nie chciałem. Ja nie szukam skarbów, tylko historii. Roland ma informacje od Herberta Bauera, maszynisty, który 10 marca 1943 roku wjechał na teren Zittwerke ostatnim pociągiem. Bauer twierdził, że pociąg ciągnął cztery wagony ze skrzyniami. Niemcy rozładowali skrzynie do magazynów i nikt więcej ich już nie widział. Podobno znajdowały się w nich dzieła sztuki z Drezna. Maszynista uważał, że skrzynie zostały schowane gdzieś w podziemiach na terenie dawnych zakładów.

W 2006 roku w Sieniawce wybuchła sensacja. Sensację opisała 15 sierpnia w lokalnym tygodniku „Nowiny Jeleniogórskie” Katarzyna Matla.

– Niemieckojęzyczny poszukiwacz skarbów kopie za budynkami mieszkalnymi przy szpitalu psychiatrycznym w Sieniawce. Najdziwniejsze jest to, że kopie późnymi wieczorami i w nocy. – Małgorzata Stawarz pokazuje wielkie łaty zrytego gruntu.

Małgorzata Stawarz, jedna z mieszkanki osiedla w Sieniawce, identyfikuje tajemniczego Niemca jako inwestora, który kilka lat temu planował otwarcie

w Sieniawce przewijalni nici. Miał tu powstać zakład pracy dla wielu osób, ostatecznie jednak plany nigdy nie zostały zrealizowane.

– Gmina przełożyła nawet dachy na budynkach, które miały być wykorzystane na potrzeby przewijalni, ale na tym się skończyło. Zakład nigdy nie ruszył. Dwa lata temu ten pan pokazał się znowu i miałam z nim osobisty kontakt – informuje pani Małgorzata.

Niemiec przedstawiający się jako przybysz z Majorki, rozpytujący o możliwości i szukający współpracowników był gościem w jej domu. Kobieta nie uczestniczyła jednak w rozmowach, ponieważ nie włada językiem niemieckim.

– Najciekawsze jest to, że teraz, kiedy zaczął ryć pod naszymi oknami, kilkakrotnie przechodziłam z psem obok pracującej koparki i robotników, a ten pan zachowywał się tak, jakby nigdy w życiu mnie nie widział. Ja myślę, że on podczas wcześniejszych pobytów tutaj po prostu przygotowywał sobie grunt. Bajerował, że chce otworzyć jakieś centrum młodzieżowe, nawet podpisał jakieś wstępne porozumienie z PKS-em na wynajem garaży. Zaczął kopać, rzekomo pod wieżę widokową, z której młodzież mogłaby malować krajobraz. Ale, o dziwo, pod budowę wieży wybrano nie najwyższy w rejonie punkt, tylko najniższy...

– Wieża była tylko przykrywką. Tak naprawdę już wtedy rozpoczęło się rozkradanie naszej gminy – Jarosław Parkitny, bogatynianin, który wychował się w Sieniawce, nie przebiera w słowach.

Zaczęło się jak u Hitchcocka, ale akcja miała się dopiero rozwinąć.

Mimo podejrzeń Roland i jego grupa prowadzili działania w Sieniawce legalnie. Mieli na wszystko pozwolenie. Nadzór nad pracami sprawował wtedy Wojciech Grabowski z ARGO, pracowni archeologiczno-konserwatorskiej. Czas zatarł ślady tamtej wyprawy, ale archeolog zapamiętał, że niemiecka ekipa miała świetnie przygotowaną kwerendę, a prace trwały prawie trzy tygodnie.

– Próbowali dostać się do podziemi, liczyli, że znajdą w nich ukryte depozyty, może obrazy albo inne zabytki. Nie trafili na nic konkretnego. Trzy lata później

znowu starali się o pozwolenia, ale już ich nie dostali – wspomina Wojciech Grabowski.

– Widziałem u nich rozpiskę pociągów, które opuszczały pod koniec wojny Deutsche Bank w Berlinie i ewakuowały z niego złoto. Podobno do nas trafiło czterdzieści siedem sztabek złota, każda sztabka ważyła podobno dwanaście kilogramów. Roland uważał również, że w Sieniawce mogły zostać ukryte silniki Me 262. W hamowni znaleziono po wojnie duże ilości parafiny, którą Niemcy zalewali części silników, aby nie dostała się do nich wilgoć. Jeżeli, jak podają niemieckie źródła, w Zittwerke został zmontowany pierwszy silnik odrzutowy do Messerschmitta Me 262, to Niemcy musieli gdzieś magazynować te silniki. Na tyłach zakładów działała przecież hamownia z ośmioma stanowiskami i były plany rozbudowy tych stanowisk w innym miejscu kompleksu. Niemcy twierdzą, że wartość kolekcjonerska takiego silnika może sięgać nawet miliona euro. Niemcy twierdzą też, że Sieniawka była dobrym punktem przerzutowym, mieli tu kolej, lotnisko polowe, mogli robić, co tylko chcieli. Dlatego pod koniec II wojny światowej mogło to być odpowiednie miejsce do zdeponowania ważnej dokumentacji bądź wywożonych w pośpiechu depozytów – opowiada Jasiu.

Niemieccy poszukiwacze wkopali się na głębokość prawie dziesięciu metrów i znaleźli szynę podwieszoną pod sufit, a na niej zblocze do zawieszania ładunku. Podobno była to szyna wykorzystywana w przemyśle zbrojeniowym. Przy hamowni trafili również na skrzyżowanie chodników, jeden był obelkowany, drugi miał trapezowy kształt. Wszyscy uznali to za sukces.

Thomas, kolega Don Rolanda, zgrabnie wytłumaczył całą sytuację.

– Kiedy Niemcy ukrywali coś w podziemiach takich jak te, to co trzydzieści metrów zawalali podziemny korytarz. W ten sposób ograniczali możliwość użycia ciężkiego sprzętu do odkopania wejścia. Gdyby nawet udało się udroźnić wejście przy pomocy koparek, kilkadziesiąt metrów dalej znajdował się kolejny zawał. Tam już ciężki sprzęt nie mógł dojechać.

Zaczęło się jednak dziać coś, co zwykle dzieje się w filmach albo tam, gdzie w grę wchodzi duże pieniądze. Pewnego dnia Jasiu napisał do człowieka, który

rzekomo reprezentował Rolanda w rozmowach z polskimi instytucjami. Szef Łużyckiej Grupy Poszukiwawczej nie znał jego imienia i nazwiska, zdobył jedynie adres e-mailowy z pseudonimem tej osoby. Nieznajomy odpisał: „Jesteście dorosłymi chłopcami, pakujecie się z brudnymi buciorami do obcego domu. Wiecie, że możecie ponieść konsekwencje”.

– Chodziło o to, że Łużycka Grupa Poszukiwawcza za bardzo interesuje się tym terenem. Mamy jakiegoś pecha. Ktokolwiek tu przyjedzie, po jakimś czasie albo rezygnuje, albo zaczyna się bać, albo daje do zrozumienia, że robimy coś niebezpiecznego. – Jasiu sam nie wie, co o tym myśleć, ale tamten list dobrze zapamiętał. Kontakt z negocjatorem się urwał, nie chciał dalszych rozmów.

Choć Don Rolando zabiegał o możliwość dalszych poszukiwań, miasto nie chciało z nim już współpracować. A Sieniawka sama dała Łużyckiej Grupie Poszukiwawczej drobną nagrodę pocieszenia.

– W 2012 roku podczas prac budowlanych na głębokości półtora metra koparka trafiła na mały „skarb”: były tam amunicja, broń, hełmy, maski gazowe, identyfikatory, oznaczenia więźniów obozowych oraz czyste blankiety z napisami po włosku. Dokumenty były bardzo zmurszałe, z trudem udało nam się odczytać, że są to prawdopodobnie dowody lojalności dla pracujących w Zittwerke pracowników. Nie było to przypadkowe zrzutowisko. „Pancerfausty”, pociski, blaszki identyfikacyjne – wszystko było dokładnie ułożone. Ze względu na potencjalne niebezpieczeństwo związane z takim znaleziskiem zostali powiadomieni saperzy. Po oczyszczeniu terenu nasza grupa dostała pozwolenie na pozбиieranie przedmiotów związanych z tym miejscem. Są częścią tej historii.

Znaczki, które pozбиierali członkowie ŁGP, to te same, które inni sprzedają przez Internet. Jasiu bez przerwy buszuje po sieci, szuka nowych informacji o Sieniawce, płynie na falach entuzjazmu, które od czasu do czasu opadają ku zniechęceniu. Ale zawsze kiedy rozmawiamy o tym miejscu, szef Łużyckiej Grupy Poszukiwawczej natychmiast ożywia się i zaczyna mówić nieco podniesionym głosem. W ciągu kilku lat, kiedy się znamy, z „zupełnego laika w dziedzinie rozwiązywania tajemnic historycznych”, jak napisał o sobie w pierwszym liście,

zmienił się w tropiciela zagadek miejsca, koło którego mieszka. Zobaczył je inaczej. Sam mówi o sobie żartem: ja jestem taki amator półśledczy historyczny.

Łużycka Grupa Poszukiwawcza stworzyła stronę internetową o Zittwerke, jej członkowie doprowadzili również do powstania pomnika upamiętniającego ludzi, którzy w Sieniawce zostawili zdrowie i życie. Pomógł im ówczesny burmistrz Bogatyni Andrzej Grzmielewicz, któremu zaszczepili zainteresowanie obozem. Tym miejscem nigdy nie zajmowała się żadna instytucja badawcza. Nikt nie prowadził tu oficjalnych badań historycznych ani terenowych. Nikt nie szukał mogił, w których zamordowani więźniowie czekają na oddanie im pamięci. Wszyscy chcieli tylko łupić „remanenty”, jak zaraz po wojnie nazywano przydatne dla państwa niemieckie materiały, maszyny i inne przedmioty.

Janusz Witek jednak nie odpuszcza. Ludzie zaczepiają go na ulicy i pytają, co nowego w koszarach.

– Będę drążył dalej. Trochę jestem z tym już sam, choć Artur i Piotrek wspierają mnie, kiedy tylko poproszę o pomoc. Wszystkie instytucje, do których się zwracam, chcą tylko dokumentów i dokumentów, które potwierdzą zeznania świadków. Dla naukowców i archiwistów Sieniawka to kropla w morzu tysięcy informacji i na sprawdzenie wszystkich poszlak nie chce im się poświęcać czasu. Przynajmniej tak to odczuwam. Przecież po wielu podobozach Gross-Rosen nie został ślad, a tutaj wciąż stoją wszystkie budynki. Ogromny kompleks! Dlaczego badacze tu nie przyjadą? Nikogo nawet nie zainteresowały nasze stoły. A tu wszystko jest! Cała instalacja energetyczna zasilająca obiekt została przeprowadzona przez techniczne korytarze ciągnące się pod ziemią. Firmy budowlane pracujące niekiedy w kompleksie trafiają na te grube kable! – Jasiu mówi z takimi emocjami, jakby miał do mnie żal. Takich jak on są setki. Setki szalonych zapaleńców, niepotrafiących zrozumieć, dlaczego reszta świata nie chce skupić się na tym, co dla nich jest najważniejsze. Ale zaledwie kilkunastu z setek zapaleńców potrafi doprowadzić sprawy do końca, tak jak szef Łużyckiej Grupy Poszukiwawczej.

– Asia, tych podziemi to chyba jednak nie ma... – Pewnego dnia bardziej stwierdza niż pyta.

– Przecież wiesz, że to nieważne.

– No wiem. Ci ludzie są ważni. Ci, którzy tu zostawili życie.

## ROZDZIAŁ XXIX



## KOŚCI

Czy historia kompleksu w Sieniawce doczeka się naukowego opracowania? Być może naukowcy uznają, że nie warto. Nie wiem również, czy prawda odnajdzie kiedyś czaszki profesora Buhtza i czy przepastne zasoby wrocławskich muzeów medycznych oddadzą swoje tajemnice. Zasłona mroku ciągle szczelnie okrywa również to, co działo się w piwnicach obecnego szpitala. Tyle że żaden szanujący się badacz, wiem to od zawsze, nie wyda opinii bez dokumentów. Tylko czy ich brak ma obudzić to miejsce z godności? Czy jedynie szalone głowy z Sieniawki słyszą krzyki zmarłych?

Kończąc książkę, postanowiłam jeszcze automatycznie sprawdzić pisownię tekstu. To często pozwala uniknąć błędów, które wcześniej przeoczyliśmy. Narzędzie w edytorze tekstu proponuje własne zmiany, jeśli jakieś słowo wydaje mu się podejrzane. Przy nazwisku „Mengele” w edytorze wyskoczyło „menele”. To nie jedyny pstryczek w nos, który dostał brutalny lekarz. Swoje ostatnie lata Josef Mengele spędził pod fałszywym nazwiskiem w Brazylii, na obrzeżach São Paulo. Po II wojnie światowej był to znany cel nazistów, uciekali tam i osiedlali się prominentni bandyci. W São Paulo trzydzieści lat po śmierci Mengelego Instytut Medycyny Sądowej postanowił użyć kości „pana doktora” jako pomocy dydaktycznej dla studentów. Przyszli lekarze uczą się na nich, jak dopasować urazy

kości do dokumentacji z życia zmarłego. Jakiś dziennikarz zapytał byłej więźniarki Auschwitz, co poczuła, słysząc tę informację.

– Przeżyłam zbyt wiele, żeby coś czuć[112] – odpowiedziała.

\*

Jest początek maja. W Sieniawce zazieleniła się trawa, słońce grzeje ostro, pacjenci szpitala wyszli na papierosa. Po koszarach kręci się mnóstwo ludzi. Ktoś wyciągnął grilla, obok postawił radio, wiosna daje tyle nowych sił. Plac apelowy, na którym Zdzisław Molenda palił zwłoki więźniów, faluje delikatnie, drzewa pod naporem wiatru szumią miarowo, niosąc wyciszenie. Po raz pierwszy odkrywam zamazany już napis przy halach montażowych: sklep spożywczy. Życie nie znosi pustki, już dawno temu ludzie zaczęli w były obóz wtłaczać swój własny świat.

Kobieta z mocno pomalowanymi ustami wygląda dzisiaj odświętnie. Ma bardzo ładny, choć nieco staromodny płaszczyk. Siedzi koło placu zabaw, tam, gdzie spotykałam ją już wcześniej. Mam wrażenie, że i ją cieszą pierwsze ciepłe dni, twarz wystawia do słońca. Od czasu do czasu otwiera oczy, mruży je, patrzy na łąkę, na której kilkadziesiąt lat temu polscy więźniowie postawili zmarłym krzyż.

– To nie jest dobre – mówi nagle.

– Co takiego? – Przyzwyczaiałam się już do tych dziwacznych konwersacji.

– Że oni są tu, a tamci stąd odeszli.

– Nie ma dokumentów potwierdzających, że oni tu są – mówię.

Wyciąga papierosa, żeby zapalić, i nie zamierza się już odzywać. Dzień jest naprawdę piękny. Czuję rezygnację, ale i spokój. Nie da się przecież wyjaśnić wszystkiego. Z tyłu głowy uwiera mnie tylko jedna jedyna myśl. Gabriele, wnuczka Trude Schwarz-Sojki, malarki, która urodziła w tutejszym obozie córeczkę, zapytała mnie kiedyś:

– Dlaczego on nigdy za to nie zapłacił?

– Mengele?

– Nie, on. Ten dyrektor.



Jürgen Ulderup, dyrektor Zittwerke SA, które korzystało z pracy tysięcy więźniów, niemal natychmiast po wojnie zaczął wspaniałe życie w cieniu swojej nowej firmy. Założył nawet jej filię. W brazylijskim Sorocaba, tam gdzie ma ulicę swojego imienia.

To po sąsiedzku z São Paulo.

W skład Łużyckiej Grupy Poszukiwawczej wchodzi: Janusz Witek, Piotr Rodzik, Mariusz Arendarczyk, Artur Zabłotny, Jarek Muszalski, Thomas Kohlm, Monika Dyrz, Piotr Goźnik.

# PODZIĘKOWANIA

Za pomoc i wsparcie dziękuję dr. hab. Krzysztofowi Szwagrzykowi oraz dr. hab. Maciejowi Trzcíńskiemu, członkom Łużyckiej Grupy Poszukiwawczej: Januszowi Witkowi, Piotrowi Rodzikowi i Arturowi Zabłotnemu, dr Katarzynie Pawlak-Weiss, Dariuszowi Garbie, Piotrowi Dumanowskiemu, Szegő Ivánowi, Michałowi Wepięciowi, Piotrowi Maszkowskiemu, dr. Bartoszowi Krukowi, pracownikom Muzeum Gross-Rosen i wszystkim, którzy pojawili się w tej książce, a także tym, o których pamiętam, ale ich tutaj nie wymieniłam. Szczególnie ciepło i osobiście dziękuję Agnieszce Dobkiewicz i Tomaszowi Bonkowi, którzy nie tylko podtrzymywali mnie na duchu w trudniejszych chwilach, ale i bardzo pomagali w moim historycznym śledztwie. Każdemu życzę takich Przyjaciół. Piotrowi Kałuży, z którym dzielę każdą chwilę życia, dziękuję za wielką cierpliwość.

# BIBLIOGRAFIA

- Barbier M.K., *Spies, Lies, and Citizenship: The Hunt for Nazi Criminals*, Potomac Books, Nebraska 2017.
- Bauer H., *Rund um die Historie eines Anschlussgleis*, Interessenverband der Zittauer Schmalspurbahnen e.V., Oybin 2003.
- Below von N., *Byłem adiutantem Hitlera*, przeł. Z. Rybicka, Bellona, Warszawa 2012.
- Bode C., *Zur Geschichte der Gerichtlichen Medizin an der Universität Jena im Zeitraum von 1901 bis 1945*, Friedrich-Schiller-Universität Jena, Jena 2007.
- Fiszer M., Gruszczyński J., *W ogniu fosforu. Czy masowe bombardowania III Rzeszy były opłacalne?*, „Newsweek” 2018, 14.07.
- Galland A., *The First and the Last*, Ballantine Books, New York 1957.
- Goebbels J., *Dzienniki*, przeł. E.C. Król, Świat Książki, Warszawa 2013.
- Gutterman B., *A Narrow Bridge to Life: Jewish Slave Labor and Survival in the Gross-Rosen Camp System, 1940–1945*, Berghahn Books, New York – Oxford 2008.
- Hałas K., *Byłem w KL Gross-Rosen i Dyhernfurth. Wspomnienia więźnia-lekarza*, Muzeum Gross-Rosen, Wałbrzych 2013.
- Hedgepeth S.M., Saidel Rochelle G. (ed.), *Sexual Violence Against Jewish Women During the Holocaust*, Brandeis University Press, Waltham, Massachusetts 2010.
- Hildebrandt S., *How the Pernkopf Controversy Facilitated a Historical and Ethical Analysis of the Anatomical Sciences in Austria and Germany: A Recommendation for the Continued Use of the Pernkopf Atlas*, „Clinical Anatomy” 2006, 19(2), s. 91–100.

- Hildebrandt S., *The Anatomy of Murder: Ethical Transgressions and Anatomical Science Turing the Third Reich*, Berghahn Books, Oxford – New York 2016.
- Hill R., *Erinnerungen an das KZ*, „Saechsische Zeitung” 2016, 21.09.
- Hossfeld U., John J., Lemuth O., Stutz R., *Kampferische Wissenschaft: Studien zur Universität Jena im Nationalsozialismus*, Bohlau, Köln – Weimar – Wien 2003.
- Kamp M., Deppe I., Kieselbach R., *Jürgen Ulderup (1910 bis 1991). Manager, Unternehmer und Stifter*, August Verlag, Dreesbach 2018.
- Karger J., *Zum Tode von Gerhard Buhtz* „Informationen der Deutschen Gesellschaft für Rechtsmedizin” 1996, 45(5), s. 452–454.
- Kater Michael H., *Doctors under Hitler*, University of North Carolina Press, Chapel Hill 1989.
- Kincel R., *U szląskich wód. Z dziejów śląskich uzdrowisk i ich tradycji polskich*, Silesia, Racibórz – Katowice 1994.
- Konieczny A., *Kobiety w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen w latach 1944–1945*, „Studia Śląskie”, t. 40, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Opole – Wrocław 1982.
- Koredczuk J., *Uniwersytecki Instytut Medycyny Sądowej i Kryminalistyki we Wrocławiu*, „Śląska Republika Uczonych / Schlesische Gelehrtenrepublik / Slezska Vědecka Obec”, t. 4, Atut, Wrocław 2010.
- Koren Y., Negev E., *Kukielki doktora Mengele. Niezwykłe losy żydowskiej rodziny karłów ocalałej z holocaustu*, przeł M. Michalik, Videograf II, Chorzów 2015.
- Kowalski J., Kudelski Robert, Sulik Robert, *Lista Grundmanna*, Melanż, Warszawa 2015.
- Krupiński T., *Uroczystości pogrzebowe czaszek katyńskich*, „Nowe Życie” 2005, 11.
- Kukwa A., *Co nauka zawdzięcza III Rzeszy?*, [on-line:] <http://badania.net/co-nauka-zawdziecza-iii-rzeszy/> (dostęp: ).
- Lamparska J., *Sudety po obu stronach granicy*, Asia-Press, Wrocław 2003.

- Lewy G. *Perpetrators: The World of the Holocaust Killers*, Oxford University Press, London 2016.
- Lifton R.J., *The Nazi Doctors: Medical Killing and the Psychology of Genocide*, Basic Books, New York 1986.
- Madea B., *History of Forensic Medicine*, Lehmanns Media, Berlin 2017.
- Megargee G.P. (ed.), *Encyclopedia of Camps and Ghettos, 1933–1945*, t. 1, Indiana University Press / United States Holocaust Memorial Museum, Indiana 2009.
- Minorowicz-McBride M. (scenariusz i reżyseria), *Josef Mengele. Lekarz SS Oświęcim i jego eksperymenty*, film dokumentalny, produkcja TVN dla Discovery Historia.
- Molenda Z., *Tylem zapamiętał*, Poznań 2007.
- Mołdawa M., *Gross-Rosen. Obóz koncentracyjny na Śląsku*, wyd. 2 popr. i uzupeł., Wydawnictwo MON, Warszawa 1979.
- Moros Peña M., *Lekarze Hitlera. Zbrodnicza medycyna*, przeł. J. Kowalczyk, Wydawnictwo RM, Warszawa 2016.
- Mostowicz A., *Żółta gwiazda i czerwony krzyż*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988.
- Musielak M., Głodowska K.B. (red.), *Medycyna w cieniu nazizmu*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, Poznań 2015.
- Nicosia F.R., Huener J. (ed.), *Medicine and Medical Ethics in Nazi Germany: Origins, Practices, Legacies*, Berghahn Books, New York 2008.
- Nyiszli M., *Byłem asystentem doktora Mengele*, przeł. T. Olszański, [Frap-Books](#), Oświęcim 2000.
- Pluta D., Siuta J., Susło R., Dobosz T., *Muzeum Medycyny Sądowej przy Katedrze Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu – przeszłość, teraźniejszość, przyszłość*, „Opuscula Musealia” 2016, nr 24.
- Posner G., Ware J., *Mengele. Polowanie na anioła śmierci z Auschwitz*, przeł. P. Nowakowski, Znak Horyzont, Kraków 2019.

- Raab G., *Er gehörte zu Hitlers letztem Aufgebot Mittelbayerische*, [on-line:] <https://www.mittelbayerische.de/region/cham-nachrichten/er-gehoerte-zu-hitlers-letztem-aufgebot-20909-art1072717.html> (dostęp:10.04.2019 ).
- Röll W., *Sozialdemokraten im Konzentrationslager Buchenwald 1937–1945*, Wallstein, Göttingen 2000.
- Rudorff A., *Frauen in den Außenlagern des Konzentrationslagers Groß-Rosen*, Metropol, Berlin 2014.
- Schulz A., Zinke D., *Die Generale der Waffen-SS und der Polizei*, t. I: *Abraham-Gutenberger*, Biblio, Bissendorf 2003.
- Seideman W.E., *The Holocaust: Medicine and Murder in the Third Reich*, [on-line:] <https://www.jewishvirtuallibrary.org/medicine-and-murder-in-the-third-reich>(dostęp: 15.03.2019).
- Skowroński J., Sula D., *Arbeitslager Hartmannsdorf – Zapomniana filia KL Gross-Rosen*, Stowarzyszenie Zamek Czocha, Stankowice-Sucha 2015.
- Sterkowicz S., *Nieludzka medycyna. Lekarze w służbie nazizmu*, Medyk, Warszawa 2007.
- Ternon Y., Helman S., *Historia medycyny SS czyli mit rasizmu biologicznego*, przeł. M. Kowalski, Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1973.
- Uziel D., *Arming the Luftwaffe: The German Aviation Industry in World War II*, McFarland, Jefferson 2011.
- Völklein U., *Josef Mengele. Doktor z Auschwitz*, przeł. U. Poprawska, A. Kuć, Prószyński i S-ka, Warszawa 2011.
- Weindling P., *Victims and Survivors of Nazi Human Experiments: Science and Suffering in the Holocaust*, Oxford University Press, London 2016.
- Weiss K., *Filie żeńskie obozu koncentracyjnego Gross-Rosen położone na terenie obecnych Czech na tle hitlerowskiego systemu obozów koncentracyjnych w latach 1944–1945*, praca magisterska pod kierunkiem prof. dr hab. Elżbiety Kościk, Uniwersytet Wrocławski, Wrocław 2002.

Wepścięć M., Trnka J., *Muzeum śmierci*, materiały Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej we Wrocławiu.

Wiesenthal S., *The Murderers Among Us: The Simon Wiesenthal Memoirs*, McGraw-Hill, New York 1967.

Więcek A., *Muzea Wrocławskie od 1814 roku*, TMW „Wratislavia”, Wrocław 1997.

Wróbel B., *Dyhernfurth – fabryka śmierci*, [online:] <https://fakty.interia.pl/prasa/odkrywca/news-dyhernfurth-fabryka-smierci,nId,2186289> (dostęp: 10.04.2019).

Zaloga S.J., *Operation Pointblank 1944. Defeating the Luftwaffe*, Osprey Publishing, Oxford 2011.

Zasoby <http://lgp.org.pl/>

Zgłobicki R., *Dzieje koszar wojskowych w Sieniawce*, Studio Aem Kraków 2005.

Konstrukcje III Rzeszy 5 Podziemne fabryki odrzutowców reż. Steve Baker dla National Geographic.

Archiwa: Archiwum Muzeum Gross-Rosen w Wałbrzychu, Archiwum Państwowe we Wrocławiu, Archiwum Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu, Instytut Pamięci Narodowej, archiwum prywatne Michała Wepścięcia, archiwum prywatne Jausza Witka, Internationaler Suchdienst w Bad Arolsen, Zentrale Stelle der Landesjustizverwaltungen zur Aufklärung nationalsozialistischer Verbrechen w Ludwigsburg, Deportáltakat Gondozó Országos Bizottság (DEGOB), Simon Wiesenthal Center, United States Holocaust Memorial Museum, Centrum vizuální historie Malach, archiwum Shoah Foundation.

# SPIS ILUSTRACJI

Archiwum autorki

Archiwum Łużyckiej Grupy Poszukiwawczej

Bundesarchiv, Bild 102-06198 / CC-BY-SA 3.0

Bundesarchiv, Bild 101I-468-1421-35 / Ketelhohn [Kettelhohn] / CC-BY-SA 3.0

Domena publiczna

Fot. Krzysztof Żmuda

Fot. Maciej Kulczyński

Instytut Pamięci Narodowej: s. 203

United States Holocaust Memorial Museum

Wikimedia Commons /CC-BY-SA-4.0/MOs810

Zakład Medycy Sądowej we Wrocławiu

Zdjęcie udostępnione przez Gabrielę F. Steinitz

Zdjęcie udostępnione przez Janusza Witka

Zdjęcia udostępnione przez Jerzego Kaweckiego

Zdjęcie udostępnione przez Michała Wepsięcia

Zdjęcie udostępnione przez Norberta Podleśnego

---

[1] Domy przysłupowe zaczęły powstawać w średniowieczu na Łużycach Górnych. Budynki tego rodzaju dzielą się na drewnianą część mieszkalną i murowaną – gospodarczą. Konstrukcja nośna w drewnianej części parteru jest zdublowana – to najbardziej charakterystyczny element wyróżniający ten rodzaj architektury.

[2] Sprawa nr 131/1-48 APWr PIGM, sygn. 29, k. 2.

[3] Praca czyni wolnym – taki sam napis znajdował się nad bramą obozu w Auschwitz.

[4] [N. von Below](#), Byłem adiutantem Hitlera, przeł. Z. Rybicka, [Bellona](#), Warszawa 2012.



[5] „Bautzen” to niemiecka nazwa Budziszyna, historycznej stolicy Górnych Łużyc.

[6] Dolny Śląsk.

[7] R. Zgłobicki, Dzieje koszar wojskowych w Sieniawce, Studio Aem, Kraków 2005.

[8] J. Goebbels, Dzienniki, Świat Książki, przeł. E. C. Król, Warszawa 2013.

[9] N. von Below, op. cit.

[10] Ibidem.

[11] Okręg Sudetów utworzono na ziemiach zajętych przez Niemców w 1938 roku.

[12] Zakłady Lotnictwa i Budowy Silników Junkers S.A.

[13] R. Zgłobicki, Dzieje koszar wojskowych..., op. cit.; Herbert Bauer, Rund um die Historie eines Anschlussgleis, Interessenverband der Zittauer Schmalspurbahnen e.V., Oybin 2003.

[14] A. Galland, The First and the Last, Ballantine Books, New York 1957, fragment przełożył P.F. Kałuża.

[15] Ibidem.

[16] N. von Below, Byłem adiutantem..., op. cit.

[17] A. Galland, The First..., op. cit.

[18] S. Sterkowicz, Nieludzka medycyna. Lekarze w służbie nazizmu, Medyk, Warszawa 2007,

[19] J. Kowalski, R. Kudelski, R. Sulik, Lista Grundmanna, Melanż, Warszawa 2015.

[20] Y. Ternon, S. Helman, Historia medycyny SS, czyli mit rasizmu biologicznego, przeł. M. Kowalski, Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1973.

[21] M.M. Peña, Lekarze Hitlera. Zbrodnicza medycyna, przeł. J. Kowalczyk, Wydawnictwo RM, Warszawa 2016.

[22] Ibidem.

[23] Zaprojektował ją dla niego Hans Grisebach, autor między innymi projektu willi noblisty Gerharta Hauptmanna w Jagniątkowie, obecnie dzielnicy Jeleniej Góry.

[24] Park Szczytnicki.

[25] M.M. Peña, Lekarze Hitlera..., op. cit.

[26] Afazja (gr. ἀφασία – niemota) – zaburzenie funkcji językowych powstałe w wyniku uszkodzenia mózgu.

[27] W wolnym tłumaczeniu: oczarowany prąciem penisa (łac. penis = penis, priapus = prącie, fascinatus = oczarowany). Penis magnus fascinatus to forma żartobliwa, poprawna gramatycznie forma brzmiałaby oczywiście penis magnus fascinans

[28] Tę opowieść przekazała synowi, dr. Jerzemu Kaweckiemu z Zakładu Medycyny Sądowej, jego mama, niegdyś studentka profesora Marciniaka.

[29] Seroantropologia – nauka zajmująca się badaniem różnic serologicznych między ludźmi, na przykład częstością występowania grup krwi u przedstawicieli różnych grup etnicznych. Jej twórcą był Ludwik Hirsfeld.

[30] Obecnie Stadion Olimpijski.

[31] Wrocław w III Rzeszy (Naziści w Breslau), atrakcje-wroclawia.pl.

[32] D. Pluta, J. Siuta, R. Susło, T. Dobosz, Muzeum Medycyny Sądowej przy Katedrze Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu – przeszłość, teraźniejszość, przyszłość, „Opuscula Musealia” 2016, nr 24.

[33] Urząd Pracy.

[34] M. Mołdawa, Gross-Rosen. Obóz koncentracyjny na Śląsku, wyd. 2 popr. i uzupełn., Wydawnictwo MON, Warszawa 1979.

[35] Początkowo Gross-Rosen było obozem drugiej kategorii, podobnie jak Auschwitz czy Buchenwald. Do kategorii trzeciej obóz został przyporządkowany na początku 1942 roku i był drugim obok Mauthausen obozem do niej należącym.

[36] K. Hałgas, Byłem w KL Gross-Rosen i Dyhernfurth. Wspomnienia więźnia-lekarza, Muzeum Gross-Rosen, Wałbrzych 2013.

[37] Ibidem.

[38] Ibidem.

[39] S. Wiesenthal, The Murderers Among Us: The Simon Wiesenthal Memoirs, McGraw-Hill, Nowy Jork 1967.

[40] <https://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/781805,Przezylismy-GrossRosen>

[41] Archiwum Muzeum Gross-Rosen, sygn.4826/DP.

[42] Fragment przełożył P.F. Kałuża.

[43] Fragment przełożył P.F. Kałuża.

[44] M. Kamp, I. Deppe, R. Kieselbach, Jürgen Ulderup (1910 bis 1991). Manager, Unternehmer und Stifter, August Verlag, Dreesbach 2018.

[45] Ibidem.

[46] Ibidem, Fragment przełożył P. Dumanowski.

[47] Ibidem, Fragment przełożył P. Dumanowski.

[48] Ibidem, Fragment przełożył P. Dumanowski.

[49] R. Zgłobicki, Dzieje koszar wojskowych..., op. cit.

[50] Centrum wizualni historie Malach.

[51] Ibidem.

[52] Nava Semel Hat of Glass ITHL 1985

[53] IPN GK 298/15, t. 1, t. 2.

[54] Relacja z archiwum Deportáltakat Gondozó Országos Bizottság (DEGOB). Tłumaczenie z węgierskiego: Iván Szegő i za stronę Łużyckiej Grupy Poszukiwawczej.

[55] Ibidem.

[56] Ta data nie zgadza się z oficjalną informacją o rozpoczęciu działalności obozu w Klein-Schönau, ale więźniarka mogła pomylić dni.

[57] Ibidem.

[58] Trudno powiedzieć, skąd Teréz Alexander wzięła pomysł, że to cytat z Shelleya. W rzeczywistości *There will be blue birds over the white cliffs of Dover* to popularna piosenka z czasów II wojny światowej skomponowana przez Waltera Kenta do słów Nata Burtona. Stała się sławna w 1942 roku dzięki wykonaniu Very Lynn. Burton, który był Amerykaninem, nie wiedział, że w Wielkiej Brytanii nie żyją ptaki o takim kolorze, jednak wiele osób interpretuje ten fragment jako zapowiedź powrotu błękitnego nieba nad doświadczony bombardowaniami kraj.

[59] Ibidem.

[60] Josef Mengele. Lekarz SS Oświęcim i jego eksperymenty, scenariusz i reżyseria M. Minorowicz-McBride, produkcja TVN dla Discovery Historia.

[61] R.J. Lifton, *The Nazi Doctors: Medical Killing and the Psychology of Genocide*, Basic Books, New York 1986.

[62] Ibidem.

[63] Ibidem.

[64] U. Völklein, Josef Mengele. Doktor z Auschwitz, przeł. U. Poprawska, A. Kuć, Prószyński i S-ka, Warszawa 2011.

[65] Y. Koren, E. Negev *Kukiełki doktora Mengele. Niezwykłe losy żydowskiej rodziny karłów ocalałej z holocaustu*, przeł. M. Michalik, *Videograf II*, Chorzów 2015.

[66] M. Nyszli, *Byłem asystentem doktora Mengele*, przeł. T. Olszański, *Frap-Books*, Oświęcim 2000.

[67] U. Völklein, Josef Mengele. Doktor z Auschwitz..., *op. cit.*

[68] Ligatura to między innymi czcionka, której oczko (obraz) zawiera co najmniej dwie połączone litery w postaci jednego wspólnego, nowego znaku.

[69] M. Mołdawa, *Gross-Rosen...*, *op. cit.*

[70] U. Völklein, Josef Mengele. Doktor..., *op. cit.*

[71] Ibidem.

- [72] Zeznanie Sary Graff-Rehovoith w archiwum Muzeum Gross-Rosen w Wałbrzychu.
- [73] A. Mostowicz, Żółta gwiazda i czerwony krzyż, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988.
- [74] Ibidem.
- [75] A. Rudorff, Frauen in den Außenlagern des Konzentrationslagers Groß-Rosen, Metropol, Berlin 2014.
- [76] Ibidem.
- [77] Archiwum Państwowe we Wrocławiu, WKŻ 23, Komitet Żydowski na Dolnym Śląsku (WKŻ), Reichenbach (Dzierżoniów), 13.05.1945.
- [78] Interes.
- [79] P. Weindling, Victims and Survivors of Nazi Human Experiments: Science and Suffering in the Holocaust, Oxford University Press, London 2016.
- [80] Ibidem.
- [81] Archiwum Państwowe we Wrocławiu [82/287/0/1/16](#).
- [82] S. Sterkowicz, Nieludzka medycyna..., op. cit.
- [83] Ibidem.
- [84] H. Czernik, Filie obozu koncentracyjnego Gross-Rosen w Brzegu Dolnym, „Acta Universitatis Wratislaviensis” 222, Wrocław 1974.
- [85] Ibidem.
- [86] Archiwum Gross-Rosen.
- [87] Ibidem.
- [88] Archiwum Gross-Rosen.
- [89] Archiwum Gross-Rosen.
- [90] S. Sterkowicz, Nieludzka medycyna..., op. cit.
- [91] K. Hałgas, Byłem w KL Gross-Rosen..., op. cit.
- [92] G. Posner, J. Ware, Mengele. Polowanie na anioła śmierci z Auschwitz, przeł. P. Nowakowski, Znak Horyzont, Kraków 2019.
- [93] S. Sterkowicz, Nieludzka medycyna..., op. cit.
- [94] Sprawozdanie pastora dr. Johannesesa Saša z Podgórzyna (Okręg Jelenia Góra, Dolny Śląsk) [w:] Procedury ewakuacyjne w wioskach karkonoskich i wydarzenia w trakcie wkraczania wojsk rosyjskich, Ostdokumentation 1/188, Bundesarchiv Koblenz, tłumaczenie z niemieckiego za: arkuba (<http://forum.przesieka.pl>).
- [95] Zeznanie udostępnione przez prof. Andrzeja Kuliga.

- [96] „Hartmannsdorf – obozu w Miłoszowie historia prawdziwa” Janusza Skowrońskiego, rozmowa z Z. Molendą, „Przegląd Lubański” 2000, 3.
- [97] J. Skowroński, D. Sula, Arbeitslager Hartmannsdorf – Zapomniana filia KL Gross-Rosen, Stowarzyszenie Zamek Czocho, Stankowice-Sucha 2015.
- [98] Z. Molenda, Tylem zapamiętał, Poznań 2007, s. 199–200.
- [99] Ibidem, s. 200.
- [100] Ibidem, s. 201.
- [101] U. Völklein, Josef Mengele. Doktor z..., op. cit.
- [102] Przesłuchanie odbyło się w 1948 roku. Przesłuchiwał kpt. Czupin z 6 operacyjnego sektora Radzieckiej Wojennej Administracji miasta Berlina w obecności tłumacza Mancewa.
- [103] Otto Lolling, Leitender Arzt KL, od 5 lipca 1942 roku naczelny lekarz niemieckich obozów koncentracyjnych.
- [104] J. Antczak, Siedem czaszek pamięci, „Trybuna Opolska”, 27 kwietnia 2003.
- [105] T. Krupiński, Uroczystości pogrzebowe czaszek katyńskich, „Nowe Życie” 2005, 11.
- [106] Jakub Trnka, Michał Wepięć, Muzeum śmierci, materiały Archiwum Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu.
- [107] Zeznanie z archiwum Shoah Foundation.
- [108] G.P. Megargee (red.), Encyclopedia of Camps and Ghettos, 1933–1945, t. 1, Indiana University Press / United States Holocaust Memorial Museum, Indiana 2009.
- [109] M. Lubicz-Woyciechowski Tajemnicza działalność Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych w świetle zasobów Archiwum Państwowego we Wrocławiu, MyBook, Szczecin 2006.
- [110] M. Lubicz-Woyciechowski, Tajemnicza działalność Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych w świetle zasobów Archiwum Państwowego we Wrocławiu, MyBook, Szczecin 2006.
- [111] M. Kamp, I. Deppe, R. Kieselbach, Jürgen Ulderup..., op. cit.
- [112] Nazi doctor Josef Mengele's bones used in Brazil forensic medicine courses, „Guardian” 2017, 11 stycznia.

# SPIS TREŚCI:

Karta tytułowa

ZAMIAST WSTĘPU

I. KRZYKI ZMARŁYCH

II. DZIEŃ DOBRY W OBOZIE

III. PIWNICA

IV. MÓJ JEST TEN KAWAŁEK WĄTROBY

V. ZABIĆ MAŁEGO POTWORA

VI. ZEMSTA GÖRINGA

VII. BLONDYNKA U HITLERA

VIII. PREPARAT

IX. STO OSIEMDZIESIĄT SŁOIKÓW

X. PROFESOR OD UCIĘTEJ GŁOWY

XI. AUSCHWITZ TO BYŁO SANATORIUM

XII. PIEŚŃ O MAJOWYCH KONWALIACH

XIII. TAKA PIĘKNA BESTIA

XIV. DON ROLANDO

XV. BŁĘKITNE PTAKI

XVI. DOKTOR ŚMIERĆ

XVII. UCIECZKA

XVIII. TRUP W SZAFIE

XIX. MARSZ NIENARODZONYCH

XX. ZAKAZ MARNOWANIA ZWŁOK

XXI. PŁYN, KTÓRY NIE BYŁ MLEKIEM

XXII. DNO PIEKŁA

XXIII. PŁYN KONSERWUJĄCY

XXIV. MIĘKKI DOWÓD

XXV. ZGWAŁCONA PIOSENKA

XXVI. KRAJOBRAZ PO BITWIE

XXVII. CUI BONO?

XXVIII. CZEGO NIE POWIEDZIAŁ DON ROLANDO

XXIX. KOŚCI

Podziękowania

Bibliografia

SPIS ILUSTRACJI

Karta redakcyjna

Projekt okładki  
Marcin Słociński

Redakcja  
Natalia Gawron-Hońca

Opieka redakcyjna  
Robert Medina

Wybór zdjęć  
Joanna Lamparska  
Daniel Natkaniec

Opracowanie map  
Patrycja Pączek

Adiustacja  
Judyta Wałęga

Korekta  
Joanna Kłos  
Justyna Kukian

Copyright © by Joanna Lamparska  
© Copyright for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2019

ISBN 978-83-240-5757-3

Znak Horyzont  
[www.znakhoryzont.pl](http://www.znakhoryzont.pl)

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)  
Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl)  
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków  
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek